

316357

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

Z DUCHEM CZASU

WARSZAWA 1936

---

P R O S T O Z M O S T U

W A L K A Z C I E N I E M



316 357

Zakł. Druk. F. Wasyński i S-ka, Warszawa

K. 1306/60

## WYWIAD Z KOPERNIKIEM

Wywiady z Hitlerem, Stalinem, Mussolinim, Rooseveltem, Einsteinem, Marconim, Shawem, czy Starzyńskim, są już banalne i nie wytrzymują najmniejszego porównania z temi, które udało mi się uzyskać u paru pomników warszawskich. Pierwszy z nich przeprowadziłem z Kopernikiem.

Genjalnego astronoma zastałem na jego cokole, siedzącego jak zwykle tyłem do pałacu Staszica. Ukłoniłem się nisko, a pamiętając, że mam do czynienia z duchownym, rzekłem:

— Niech będzie pochwalony.

Kopernik wyciągnął nieco szyję w moim kierunku (stałem na dole), przyjrzał mi się z pewnem zdziwieniem i zapytał:

— Kto?

— Niech będzie pochwalony — powtórzyłem.

— Kto? — zapytał Kopernik.

Speszyłem się ogromnie i zacząłem się usprawiedliwiać:

— Ja tak, po chrześcijańsku, powitać chciałem.

— Po chrześcijańsku? Nie słyszałem, żeby się tak kto witał. Jakiś nowomodny pomysł. To napewno Dominikanie wprowadzili co?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem, księżę kanoniku.

— Poczekaj, zaraz zejde.

To rzekłszy Kopernik wstał, wcale zwinnie zsunął się z piedestału i stanął przedemną. Wysunął w moim kierunku rękę z dziwnym instrumentem, który zawsze trzyma przed sobą i zapytał:

— Co to jest?

— To ma być mapa nieba.

— Mapa nieba! To, mapa nieba! A bodajby temu, co to robił kazali badać drogę ziemi na tej klatce.

Z pogardą położył przyrząd na niższej kondygnacji cokołu. Przez to widocznie zwrócił uwagę na swój piedestał, bo obrzucił go bacznie spojrzeniem, potem obejrzał się po swojej brązowej postaci i nagle zawołał z najwyższym zgorśzeniem:

— Cóż to figurę ze mnie zrobili? Przecież ja ani święty Pański, ani, uchowaj Boże, pogański bałwan, ani tu mój grób z pomnikiem. Czyście może Prusacy? Nie, przecież to kościół (tu wskazał na Św. Krzyża), nawet wielki kościół. Coprawda dziwnie brzydkie. Znasz Toruń? Tam są piękne kościoły. Nie wiem, czy w całym chrześcijaństwie znajdzie takie.

— Figurę ze mnie zrobili! — powtórzył raz jeszcze ze zgorzonym zdziwieniem. Potem podszedł do pomnika i zaczął zwolna, z pewnym trudem odczytywać:

— Mikołajowi Kopernikowi rodacy... Dziwne litery, jakieś starożytne i brzydkie. I ten słup i moja figura też brzydkie. Wit Stwosz ładniejsze robi. A to kto rzeźbił?

— Thorwaldsen

— Duńczyk?

— Duńczyk.

— Mieszkał tu?

— Nie.

— U Wita Stwosza to do dalekich krajów zamawiali święte rzeźby, a wy sprowadzacie aż z Danji.

Widocznie gorzej coś w polskim królestwie. A z drugiej strony jest też jaki napis?

— Nie, niema. Ale miał być.

— Jaki?

— „Wstrzymał słońce, ruszył ziemię,  
Wdzięczne mu rodaków plemię”.

— Jak?

— „Wstrzymał słońce...”

— O, wstrętni heretycy! Niedosyć, że mi figurę wystawili, jeszcze mi na niej bluźnierstwo chcieli wypisać. „Wstrzymał słońce”. Ja wstrzymałem słońce? Czy ja jestem Mojżesz? O, teraz rozumiem, że mieli w Stolicy Apostolskiej rację, kiedy mi nie chcieli pozwolić wydać mego dzieła. Pokarm dla kacerzy! O strzeżcie się jednego: strzeżcie się czytelników!

— Ale przecież wiadomo, że w dawnych ciemnych wiekach ludzie nie znali astronomji i dlatego Biblia zawiera wiele naukowych naiwności.

— Głupstwo! To nauka jest ciemna wobec Biblii, nie dorasta do jej znaczenia. Ja wstrzymałem słońce? Ja tylko odkryłem układ słoneczny. Przecież nie jestem ciemnym człowiekiem, który sobie może wyobrazić, że słońce stoi w miejscu. A może myślisz, że ono wisi na złotym sznurze, który trzymają aniołowie? Słońce też może być w ruchu.

— Dokoła czego?

— Niestety, Pan Bóg nie pozwolił mi żyć tak długo, żebym mógł to zbadać.

Westchnął ciężko i obejrzał się za siebie.

Fronton pałacu Staszica zatrzymał jego uwagę.

— „*Societas scientiarum varsoviensis*“ — odczytał — to tu się schodzą najznakomitsi teologowie?

— Teologowie? Nie, tu przychodzą różni uczeni.

— Jacy?

— No, na przykład fizycy...

— I o czym oni mówią?

— Mówią, że materja jest rzeczą względną i zniszczalną, że może powstać z niczego, że energja i materja to w gruncie rzeczy to samo. Mówią, że czas jest rzeczą względną, że jest zależny od materji i energii, i żeby znikła materja, toby i czas zniknął, skończył się. Że czasów jest bardzo wiele, a czas na innych światach we wszechświecie biegnie zupełnie inaczej. Że inny jest czas ziemi, a inny czas wszechświata. Niektórzy z nich mówią nawet, że materja jest czemś ujemnem, brakiem czegoś, jakiejś równowagi. Mówią, że światło jest początkiem wszystkiego na świecie, że istnieć może nieskończona ilość wymiarów, a nie te trzy, które my możemy widzieć i wyobrażać sobie, że człowiek nawet nie wie, ile wyższych od niego, a dla niego niewidzialnych światów istnieje...

— I ty mówisz, że to nie są teologowie?

— Jakto? Przecież teologja, to jest nauka o Bogu, o Kościele, o Przykazaniach, o nieomyślności Papieża, o łasce i grzechu, nie o budowie świata.

— Cóż to za nieuctwo u was straszne! Teologja jest to królowa nauk. Wszystko musi dążyć do teologii i wszystko musi być jej w naukach podporządkowane. Teologja uczy także o powstaniu świata i jego końcu. Ci wasi uczeni, to są teologowie, a nie astronomowie, ani przyrodnicy. Lepiej by Pismo Święte

czytali! Wiedzieliby, że czas się zaczął i że się skończy. I Apokalipsa mówi „Że czasu już nie będzie“ i Psalm 89 powiada: „Tysiąc lat przed oczyma Twemi są jako dzień wczorajszy, który już przeminął“. Że czasem naszym nie można mierzyć czasów innych światów, to jasne, jakżeby inaczej można było zrozumieć, że wszechświat został stworzony w sześć dni? A o tem, że światło było stworzone na początku, każdy chrześcijanin wie. Albo, że materja może być stworzona z niczego? Nowina! A istoty, jak mówisz, wielowymiarowe! Czyż nie są opisane w Apokalipsie? Że istnieją wyższe światy? Chybaś coś słyszał o siedmiu chórach anielskich? Czy ci wasi uczeni, to pobożni ludzie i kapłani?

— No... kapłanami nie są, a co do pobożności, to jedni są ateuszami, inni wierzą, ale w swoich książkach nie śmiają pisać o Bogu. Ale wszyscy opierają się na dziele Kopernika.

— O, święty Mikołaju, jakżeż zostałem ukarany za moją pychę! Bezbożni teolodzy piszą książki, które powinny być palone na stosie i opierają swoje kacerskie nieuctwa na mojem dziele. Najtrudniej jest służyć Panu Bogu swoim umysłem. Tak, święty Szymon lepszą drogę obrał do zbawienia, siedząc przez całe życie na słupie. Może to i mnie będzie policzone do zbawienia

To rzekłszy odnalazł swój przyrząd i wspiał się na cokół. Stamtąd jeszcze rzucił ostatnią uwagę:

— Całe szczęście, że moja figura siedzi tutaj tyłem do tych uczonych nieuków, a twarzą do katedry.

Potem usiadł i zastygł w bronz.

## CZUCIE I SZKIEŁKO

Pewien młodzieniec, zdający maturę w Krakowie przed kilku laty, zapytany został przez delegata kuratorjum, co wie o „Romantyczności.” Po dłuższym namyśle odparł:

- Dziewczyna czuje.
- Ale co czuje?
- Czuje kochanka.
- I to wszystko? A cóż ten kochanek?
- On ją także czuje.
- I nic więcej pan nie pamięta?
- Owszem. Jest tam jeszcze starszy pan z mono-

klem.

Tyle zrozumiał ów młodzian z „Mędrca szkiełka i oka” i z „Czucia i wiary”.

Na usprawiedliwienie nieszczęsnego maturzysty powiedzieć należy, że sprawa zrozumienia całego sporu między „czuciem” a „monoklem” jest bardzo skomplikowana i obszerna.

Pierwsza trudność: niema żadnej gotowej zagranicznej formułki, trzeba myśleć własnym polskim mózgiem, bo sprawa tego konfliktu nigdzie nie odegrała takiej roli, jak u nas, nigdzie nie wyrosła na najważniejszy w ciągu półtora wieku problem polityczny, społeczny i kulturalny.

Proces między „szkiełkiem” i „czuciem” rozpoczął się bardzo dawno, wtedy bodaj, kiedy „szkiełko” po raz pierwszy stwierdziło, że w jego polu widzenia niema miejsca na Boga. W ludziach pozostało „czucie i wiara”, ale życie kulturalne poddane zostało

dyktaturze rozumu kierowanego przez „szkiełko”. Inne narody włożyły bez większego szarpania głowę w obrozę racjonalistycznego materializmu. Polacy zaczęli brykać. Romantyzm polski, jako światopogląd, kierunek społeczny i polityczny był bodaj jedynym w Europie „nowoczesnej” silnym buntem przeciw materializmowi.

I tak konflikt wewnętrzny trwał. Kto był wierzący, musiał walczyć z nauką współczesną, kto był uczony, walczył z wiarą, albo o niej starał się nie myśleć.

Aż przyszły takie czasy, że szkiełko wyszlifowano do tego stopnia, iż „starsi panowie z monoklem”, zaczęli dostrzegać dziwy.

Uczeni, wbrew swoim tendencjom, musieli stwierdzić istnienie rzeczy niematerialnych, a raczej ponadzmysłowych. Teorje nie tylko księdza Mendla, ale żydów Einsteina i... Freuda prowadzą prostą drogą do wniosków religijnych, nawet wprost katolickich.

Konflikt między „szkiełkiem” i „czuciem” zmierza do szybkiej likwidacji.

Ale tu następuje dziwo. Nowe teorje naukowe (nie ich twórcy) są w całości atakowane i „rugane” nie w imię materializmu, ale w imię — chrześcijaństwa. Nałóg obawy przed „szkiełkiem” i przekonanie, że każda „nowinka” musi bić w wiarę, poczynił przez lat sto straszliwe spustoszenia.

Naprzykład wiadomo, że Einstein jest żyd, sympatyk komunizmu i że próbuje zbudować coś w rodzaju teorji materialistycznego panteizmu. To wszystko bardzo pięknie. Ale to w niczem nie zmienia faktu, że jego odkrycia pchają naukę w kierunku — katolic-



kości. Tymczasem np. w znanym z tendencji wolnomularskich „Przeglądzie Współczesnym” p. Wortman atakuje teorię Einsteina, jako „masońską” i wroga religji i za argument uważa m. in. czwarty wymiar. Bo skoro świat materialny jest wedle Einsteina tylko powierzchnią jakiegoś świata czterowymiarowego, to może, ironizuje p. Wortman, ów świat czterowymiarowy jest powierzchnią pięciowymiarowego i tak dalej.

Niema powodu do ironizowania. Istnieją podstawy zarówno matematyczne jak i teologiczne do mniemania, że istnieje nieskończona ilość światów wyższych od naszego. Dla katolika to nie powinno być rewelacją — siedem chórów anielskich, nie jest zwrotem retorycznym.

Inny przykład: wiadomo, że Freud jest żyd i wróg religji i pisze w swoich pracach wiele rzeczy powierzchownych i blagierskich, a z jego teorii usiłuje się zrobić coś w rodzaju światopoglądu. Ale wykrycie sfery podświadomości w człowieku, wykrycie w duszy czarnej jamy pełnej skłębionych niskich instynktów i wskazanie, że na straży stoi „cenzura”, która nie dopuszcza wiele rzeczy „z dołu” nawet do świadomości naszej, jest pierwszorzędnym argumentem za prawdziwością nauki kościoła.

Człowiek nie jest kupą materji, w której między innymi procesami chemicznymi odbywa się i chemiczny proces myślenia (a tak sądzą jeszcze niektórzy zafocaficy i naukowe kołtuny), ale poza rozumem posiada owo „podświadome”, w którym bez udziału rozumu odbywa się walka niskich „kompleksów” z „cenzurą”.

Zastąpmy te „kompleksy” słowem „grzech”, a „cenzurę” słowem „Anioł Stróż”, a...

Proszę tylko tej obrony freudyizmu nie kłaść w całości na moje barki. Odpowiedzialność za nią ponosi także p. Bierdiajew, jeden z głębszych współczesnych myślicieli chrześcijańskich.

A więc uświęcenie Einsteina i Freuda? Więc ich teorie przyjąć trzeba w całości za prawdę, stanąć na ich gruncie. Nie. Dlaczego? Bo niema prawdy Einsteina, niema prawdy Freuda, niema prawdy Mendla, ani prawdy Kopernika. Prawda jest jedna. Ale to strasznie trudno wytłumaczyć człowiekowi współczesnemu, wierzącemu tylko w prawdę subiektywną. Współczesny człowiek sądzi, że albo trzeba wierzyć we Freuda w całości, albo wybrać coś z Freuda, coś z innych i z tego stworzyć sobie swoją prawdę. Tymczasem niema prawdy mojej ani twojej, niema prawdy subiektywnej, tylko, wiercie mi, choć to wygląda fantastycznie, istnieje prawda obiektywna, a ludzie są ułomni i raz się do niej zbliżają na jednej stronie swojej książki, raz od niej oddalają o kilkadziesiąt wierszy dalej.

Jeżeli się ma kompas, wskazujący gdzie jest prawda, można spokojnie badać każdą teorię. I nie trzeba rozumować po żydowsku: nie trzeba się bać trefu. Można się dotknąć panteistycznego żyda Einsteina i w jego dziełach znaleźć coś, co nas zbliży do prawdy. Można się dotknąć seksualistycznego żyda Freuda i w jego teorii znaleźć także coś, co nas zbliży do prawdy. Pod jednym bezwzględny warunkiem: trzeba mieć kompas.

Co to jest ten kompas?

(Znacie anegdotę: „Nazwisko świadka?” — „Rozenkranc”. „Imię?” „Izydor”. „Wyznanie?” „Pan sędzia się będzie śmiał”. „Proszę powiedzieć wyznanie!” „Pan sędzia się będzie bardzo śmiał”. „Świadek ma nie robić uwag, tylko podać wyznanie!” „No do bize, ale pan sędzia się będzie bardzo śmiał: rzymsko-katolickie”).

Otóż co to jest ten kompas?

Państwo się będą śmiać, państwo się będą bardzo śmiać — to jest katechizm.

## FELJETON TYLKO DLA INTELIĞENTNYCH

Dla odstręczenia czytelnika mało inteligentnego podamy na początku spis wyrażań które może napotkać w tekście. Są to: filozofja, metafizyka, idealizm, materjalizm, empirjokrytycyzm, teoria poznania, dematerjalizacja materji, solipsyzm, logistyka, marksizm, heglizm, hipoteza, monizm, pluralizm. A teraz do rzeczy.

Szczytem filozofji jest teoria poznania. Wszelkie inne gałęzie wiedzy filozoficznej są tylko jakby stopniami, po których umysł ludzki usiłuje wspiąć się na wyżyny teorii poznania, stara się dotrzeć do jądra tajemnicy świata, dać odpowiedź na pytanie: dlaczego żyjemy, czym jest życie ludzkie, czym jest świat.

Najinteligentniejszy chyba z filozofów świata, Platon, stworzył pierwszy w naszej cywilizacji konse-

kwentny system w tym zakresie. Idealizm platoński dziwnie zbieżny z hipotezami najnowszej nauki ścisłej (że istnieje wyższy świat czterowymiarowy) uznał nasze życie za odbicie tylko jakiegoś wyższego i naprawdę pełnego życia. W tamtym wyższym świecie jest pełniejsze życie bytów rzeczywistych, które nazwał ideami, a na tym świecie żyją jakby cienie tych idei — realne przedmioty. Na tem się zatrzymał, to znaczy nie dał nam opisu wyższego świata, istotnej tajemnicy bytu nie rozwiązał.

W każdym razie dał system jednolity, znalazł wspólny mianownik dla spraw ducha i ciała, stworzył system jedności wewnętrznej — system monizmu. Wspólnym mianownikiem stała się w tym systemie idea.

Drugiego tak konsekwentnego systemu nieprędko się świat doczekał. Jeżeli idzie o filozofję (mowa tylko o filozofji), to dokonywano tu najrozmaitszych warjantów platońskiej koncepcji życia, ale całkiem nowa koncepcja pojawiła się dopiero w wieku XIX-tym

Idealizm tymczasem, ten idealizm, którego ojcem był Platon, usiłowano rozwijać aż do absurdu, aż do solipsyzmu, czyli do uznawania świata za halucynację. Realny jestem tylko ja, wszystko, co widzę i co rzekomo robią inni, co ma się dziać pozamną, jest złudzeniem, jest snem, który mi się śni.

Idealizm przerobił na sposób racjonalistyczny, zgodny ze swoją epoką, Hegel. Światem rządzi myśl. Myśl ta, myśl wszechświata działa wedle pewnych prawideł, jak myśl ludzka, a więc stwarza tezę, prze-



ciwstawia jej antytezę i łączy w syntezie. Co to za myśl? Poco istnieje świat? I Hegel też nie dał odpowiedzi.

To wszystko był monizm idealistyczny. W połowie zeszłego wieku przeciwstawił mu się zupełnie nowy monizm — materialistyczny.

Istnieje tylko i wyłącznie materja. Myślenie jest też procesem materialnym. Materja jest wieczna i rządzią nią niezłomne prawa bytu.

Niedługo trwało panowanie tej nowej szkoły. Materializm bowiem musi opierać się na znajomości materji. Muszę wiedzieć, co jest niezłomnym fundamentem mego światopoglądu. Tymczasem nowa nauka ściśle rozbiła wszelkie dotychczasowe pojęcia o materji. Materja została zdematerializowana. Równocześnie zaś psychologia analityczna zbliżyła zjawiska duchowe do materialnych, powstała sfera zjawisk pośrednich ani duchowych ani materialnych, materja zaś stała się pojęciem niemal idealnym, w każdym razie teoretycznym. Proton, elektron, indeterminizm mikrokosmosu, to zjawiska których nigdy nie widzieliśmy i nigdy nie zobaczymy, prawa, których nie sprawdzimy ściśle empirycznie. Elektron jest podstawą materji, ale czy nie jest właściwie czemś idealnym, czy nie jest idealną podstawą materji?

Materja przestała być sobą, niezłomne prawa materji przestały być niezłomnymi prawami.

Monizm materialistyczny też nie rozwiązał zagadnienia bytu. Pojawiła się nowa filozofja — filozofja rezygnacji. Pragmatyzm, empirjokrytycyzm, logistyka, pluralizm. Tylko celowość, tylko wzory matema-

tyczne, albo też zrezygnujemy z jednego monistycznego systemu. Inna musi być koncepcja rzeczywistości duchowej, inna dotykanej, inna wszechświata, nie ma jednej prawdy absolutnej, jest tylko szereg prawd w różnych systemach.

---

### Dygresja I

*Wysoko ponad dolinę wznosi się szczyt, którego górna część spowita jest chmurami. Ze szczytu tego musi być widok ponad chmury, na olbrzymią przestrzeń. Ludzie chcą zdobyć ten szczyt.*

*Pierwszy turysta przed wiekami trasuje sobie zdołu prawdopodobną drogę. Stara się aby była najprostsza i najlogiczniejsza. Wspina się z wielkim wysiłkiem, pokonywa ledwie zaznaczonymi rysami olbrzymie, pionowe niemal ściany i wreszcie dostaje się na szeroką grań. Czy to szczyt? Turysta nie jest pewien. Dalej iść nie można. Mgła. Grań opada w obie strony. Widać niewiele. Turysta stawia hipotezę: to nie jest szczyt, ale na szczyt wejść nie można, szczyt jest niedostępny. To jest zarazem nasz szczyt, najwyższy dla nas dostępny punkt.*

*Turysta schodzi wdół i opowiada o tem. Nie wszyscy mu wierzą. Wybierają się nowi. Zaczynają nieco inaczej, robią warjanty, większość musi się cofać, nieliczni wchodzi na ową grań, czy szczyt, gdzie znajdują bilet wizytowy pierwszego. Schodzą wdół. Niektórzy mówią, że to nie ramię szczytu, lecz turnia zwornikowa, inni, że szczyt, ale nie główny.*

Po wielu latach inny turysta atakuje górę ale z zupełnie przeciwnej strony. Tylko stamtąd jest wejście na główny wierzchołek. Nową drogą, przy użyciu nowych metod i zdobyczy turystyki (raki, haki, czekan) dostaje się na szczyt. Coprawda mgła dookoła, ale to musi być szczyt. Z dumą wtyka między głązy swój bilet.

Nie zauważył, że o parę kroków dalej wetknięty jest bilet pierwszego turysty. Zauważają to jego następcy. Ale to nic — mówią, to tylko dowód, że to jest szczyt główny, że hipoteza o jakimś ramieniu czy niższym wierzchołku jest zabawną mrzonką. Ze szczytu niema widoku. Realna jest tylko dolina którą znamy.

Wówczas wybiera się w okolice góry wycieczka uczonych. Badają konfigurację góry i stwierdzają, że główny wierzchołek jest dotąd niezbadany. I wówczas wśród turystów rozszerza się hasło: Niema wogóle głównego wierzchołka. Jest szereg szczytów, z których każdy jest w pewnym sensie główny.

Istnieją prócz turystów także lotnicy. Lotnicy wzbijają się nad chmury i twierdzą potem, że widzieli szczyt, że widzieli świat nad chmurami, że ze szczytu jest widok olbrzymi. Ale turyści śmieją się z lotników. Lotnicy — twierdzą oni — ulegają łatwo zrozumiałej autosugestji, a potem opowiadają bajki.

Były parę razy wypadki, że lotnik zabierał ze sobą turystę. Turysta wróciwszy twierdził, że widział niezwykle rozległe widoki.

— A byłeś na szczycie? — pytają.

— Nie byłem, tam nie można lądować, tam można

conajwyżej roztrzaskać maszynę i zostać, ale bez życia.

— A więc nie wiesz nawet czy istotnie widziałeś szczyt — mówią.

— Nie wiem, ale mam przekonanie że to był szczyt.

— Lotnictwo jest przyjemne i efektowne — mówią turyści — ale nie możemy pozwolić, by stało się jakąś nad-turystyką.

---

Filozofja jest ograniczona. Ma taki martwy punkt, poza który nie można wyjść żadnym systemem. Pełne poznanie filozoficzne jest niemożliwe. Tak przynajmniej wskazuje doświadczenie tysiącleci. Jest możliwe inne poznanie. Ale trzeba wówczas zadowolić się zamiast dowodu przesłankami i wiarą. To jest poznanie teologiczne (Teologja — nauka o Bogu).

Czuję jak dreszcz wewnętrznej grozy wstrząsa czytelnikiem: Filozofja służy teologii?

A jednak tak.

Więc reakcja, nawrót do scholastyki, zatracenie całego dorobku ostatnich wieków?

Nie. Nauka postąpiła niesłuchanie naprzód. Związanie filozofji z teologją jest dziś możliwe w sposób znacznie pełniejszy i wyższy niż to robiła scholastyka. Między poznaniem empirycznym a teologją leżała ogromna przepaść, którą starano się zmniejszać przez umieszczanie dzieł naukowych na *index librorum prohibitorum*. Zdobycze fizyki teoretycznej i psychologii analitycznej tę przepaść zmniejszają. W najbliższej

epoce spodziewać się należy niesłychanego rozwoju teologii i filozofji — jej sługi.

Bezczelna fantazja? Porozmawiamy o tem za pięćdziesiąt lat, dobrze?

## Dygresja II

*W chwili, kiedy to piszę, jest dzień Trzech Króli. Trzej królowie, i to jest ich cecha najistotniejsza, nie byli wcale królami, lecz mędrkami. Na samym początku roku obchodzimy święto hołdu, jaki złożyli mędrki Objawieniu.*

*Świat czeka na nowoczesne powtórzenie Epiifanji.*

## W A L K A Z C I E N I E M

Przed paru dniami, wróciwszy wieczorem do domu, siadłem na brzegu łóżka, mocno zmęczony i wpatrywać się zacząłem w swój cień, który leżał przedemną, krótki i gruby, gdyż lampa znajdowała się nad moją głową.

— Ty jesteś — pomyślałem pod adresem cienia — jedynym dostępnym moim zmysłem zjawiskiem dwuwymiarowym. Ty jedyny nie masz żadnej grubości, nie masz ciała, nie jesteś materją.

Wówczas stała się rzecz dziwna, bo cień mi odpowiedział. Nie głosem oczywiście, bo kto nie ma ciała, nie może wydawać dźwięku, ale myślą, którą natychmiast pojąłem.

— Nie rozumiem, powiedział cień, ani tego, co mówisz, ani też dlaczego starasz się ze mnie wyodrębnić i przedstawić jako coś innego. Wszak jesteśmy jednym zjawiskiem, takim samem, jak wszystkie inne cienie ruchome. Bo wiesz chyba, że świat składa się z trzech rodzajów cieni: z cieni nieruchomych, które przesuwiają się tylko stopniowo wokół swej podstawy z zachodu na wschód, z cieni ruchomych częściowo, to znaczy tych, które mają nieruchomą podstawę a ruszają pewnymi częściami swej powierzchni nieregularnie i z powodów dotąd naukowo niewyjaśnionych i z cieni ruchomych, które mogą się same poruszać, jak chcą. My jesteśmy takim cieniem.

— Ależ ja nie jestem cieniem!

— Co opowiadasz za bzdury. Jesteś częścią cienia, jesteś moją funkcją, jesteś tą niezbyt dokładnie co do swej istoty zbadaną moją funkcją, która powoduje, że się ruszam i odróżnia mnie od innych rodzajów cieni.

— Ja nie jestem cieniem, ja jestem człowiek, zjawisko trójwymiarowe, a więc różne od ciebie.

— Nic podobnego! Przedstawiasz mi się jako część moich linii, a więc jesteś dwuwymiarowy, bo wiem dobrze, że widzę jednowymiarowo, ale świat jest dwuwymiarowy. I ty jesteś taką samą moją częścią, jak każda inna, masz długość i szerokość.

— Ja mam ponadto jeszcze grubość.

— Mówisz coś niezrozumiałego.

— Grubość to jest trzeci wymiar, coś trzeciego obok długości i szerokości.

— To nieprawda, tego sobie nie można wyobrazić.

— Ale to jest!

— Nie! Jest tylko to, co można poznać zmysłami. Grubość, to jest coś nadzmysłowego, a więc nie może istnieć, jest bujda, wymyślona dla tumanienia mniej intensywnych cieni.

— Przekonam cię, że jestem czemś odrębnem od ciebie.

To powiedziawszy, podskoczyłem i na krótki ułamek sekundy zawisłem w powietrzu, jednocześnie odrywając się od swego cienia.

— Niezły *truc* — stwierdził cień. Istotnie przez chwilę uległem złudzeniu, jakbym się rozdzielił z jakąś częścią siebie, jakbym stracił świadomość i nie był sobą. Ale ten *truc* mnie nie bierze. To jest naukowo wytłumaczone. Istotą twojego bytu, a więc źródłem siły, dzięki której się poruszamy jest pewien stosunek płaszczyzn. Przed chwilą uległ on dość gwałtownej zmianie i stąd powstało we mnie to chwilowe patologiczne uczucie. Nie dam się nabrać, że może być coś innego.

— Więc ja ci przysięgam, że jest inny, wyższy świat, w którym ja żyję, który oglądam ciągle i którym rządzą inne prawa. Ty jesteś tylko odbiciem tego świata materialnego, jesteś moim cieniem.

— Mógłbyś wymyślić coś nowego. Tą bujda karmią nas od tysięcy lat. Wiem, powiesz teraz, że twoje życie jako coś odrębnego i wyższego musi być właściwą treścią mego życia, że jestem tobie podporządkowany całkowicie, że dla uczciwego cienia zniknięcie jest szczęściem, bo dowodzi, że jego, jak to mówią, „ciało” wypoczywa „po dziennych trudach”, że mam

dbać nie o to, co jest jedynie rzeczywiste, to jest cień, tylko o jakieś rzekome „ciało”, którego śmierć jest dopiero prawdziwym nieszczęściem, bo powoduje moje wiekuiste zniszczenie, z którego się już nigdy nie odrodzę, że powinienem zawsze myśleć tylko o tobie, o tej mojej części, która ma mieć rzekomo naturę z innego świata i troszczyć się o ciebie, zamiast jak najlepiej i jaknajcelowiej układać się w jedynie realnym świecie, na płaszczyźnie. To wszystko mi powtarzano, gdy byłem jeszcze mały i przenikałem się ustawicznie z innymi zabawnie przenikającymi się cieniami, równymi mi wzrostem, które przestawały się przenikać i poruszać, gdy zjawiał się jeden cień długi i mało ruchliwy. To było bardzo ciekawe zjawisko przyrodnicze, że w chwili pojawienia się tego cienia, myśmy wszyscy układali się w równoległe rzędy.

— Myślę, że mówisz o szkole.

— Ach, znów używasz tych metafizycznych zwrotów! Dyskusja w tych warunkach jest z tobą trudna. Mówmy o życiu prawdziwym, o życiu cieni. Nie podnośmy się sztucznie we własnych oczach, twierdząc, że jest w nas coś z wyższego świata. Znamy przecież planimetrję, która może rozwiązać wszelkie zagadnienia i która wyklucza istnienie jakiejś tam „materji”.

— Ależ planimetrja nie wyklucza istnienia materji, tylko nic o niej nie mówi.

— A więc tem samem wyklucza jej istnienie. Oczywiście nie można przeprowadzić planimetrycznego dowodu, że nie istnieje materja, ale niema najmniejszych danych aby istniała i nie udowodnisz mi tego

planimetrycznie. A więc z jakiej szalonej racji przypuszczać istnienie materji?

— Skąd więc wzięły się cienie?

— Znikąd, poprostu są i to narazie musi nam wystarczyć.

— Mam wobec tego do ciebie prośbę. Zrób to dla mnie i na chwilę przypuść, że istnieje materja i istnieje świat wyższy od znanego ci.

Cień ustosunkował się do tego szyderczo.

— Owszem — pomyślał — mogę to na chwilę przypuścić. Możemy pobawić się w myślenie „stereometryczne”. Ba, możemy iść dalej! Przypuszczam więc na chwilę, że jesteśmy tylko odbiciem jakiegoś wyższego świata, do którego ty należysz. Przypuszczam na chwilę, że cień jest tylko przypadkiem, wynikiem braku czegoś wyższego, wyższej równowagi, wynikiem braku „światła”, a nawet, że rzeczą realną nie jest cień, tylko ów świat wyższy. Ale dlaczegożbyśmy się mieli właśnie tu zatrzymać, skorośmy się raz oderwali od twardego gruntu planimetrii? Ja przypuszczam dalej. Przypuszczam więc, że świat twój „materjalny” jest też tylko odbiciem czegoś, że w tobie też jest jakaś część, która jest częścią świata jeszcze wyższego, że materja jest też brakiem czegoś, jakiegoś „nad-światła”, że rzeczą realną skolei jest nie materja, tylko jakiś świat jeszcze wyższy. Oto widzisz, gdzieśmy zaszli, porzuciwszy raz świat znanych nam i rzeczywistych elementów. Dlatego radzę ci, jeżeli nie chcesz zwarjować, wierz w to, co jest — w linję i nie staraj się wierzyć, że może istnieć coś poza płaszczyzną. A zapewniam cię, że w miarę roz-

woju planimetrii wszystko da się wytłumaczyć na świecie. Chyba cię przekonałem wreszcie?

Zbudziłem się. Leżałem na łóżku, a przedemną na podłodze znajdował się tylko cień moich nóg. Kiedy się poruszyłem, by go lepiej zobaczyć, drgnął kilka razy, kurcząc się zabawnie, jakby się bezgłośnie i triumfująco śmiał.

## M S Z A M Y Ś L A N A

W kościele jak zwykle: stadko dewotek, trochę biednych staruszek, które już niewiele od życia oczekują, sporo ludzi prostych, którzy przychodzą trochę z przyzwyczajenia i trochę z braku innych rozrywek, nieco młodej inteligencji, snobującej się św. Tomaszem i tłum. Tłum przynosi tu swoje ranne rodzinne pretensje i wieczorną zabawę. Owszem chce się także trochę pomodlić, między innymi myślami. Vh

I w obecności tego towarzystwa, do którego wyjdzie zmęczony, i niewiadomo nawet czy wierzący ksiądz, ma się dokonać największy cud duchowy świata: przeistoczenie mąki i wina w ciało i krew Boga?

Trudno jest wierzyć, szczególnie po źle przespanej nocy i wśród wielu groteskowych kłopotów życiowych. Święto jest raczej dniem kłopotliwym. (Gdzie ja mam być o drugiej?) Ach, jest ksiądz. Od czego zaczyna się msza? To może być ciekawy eksperyment. Pierwsze słowa...

Ksiądz półgłosem mówi:

— *Iudica me Deus...*

„Sądź mnie Boże”. Jeżeli się te słowa serjo traktuje... Co ja właściwie wiem o istotnym duchowym życiu tych ludzi koło mnie. Nawet moje własne życie duchowe stanowi dla mnie niekiedy niespodziankę. Jaki jestem właściwie? No cóż:

— *Iudica me Deus...*

*...et discerne causam meam de gente non sancta: ab homine iniquo et doloso crue me“.*

To dziwne: msza nie zaczyna się ani od inwokacji ani od kontemplacji ani od ekspiacji. To jest dziwnie życiowe, bliskie, zrozumiałe.

„Rozpatrz sprawę moją przeciw plemieniu nieświętemu. Strzeż mnie od człowieka niesprawiedliwego i podstępnego.”

Dla kogo te słowa ułożono? Nie wiem, ale rozpatrz, Panie, sprawę moją z nieświętem plemieniem. Śledź walkę moją, bo ja muszę walczyć i muszę wiedzieć, gdzie jest przestępstwo, a gdzie zbrodnia. I w dodatku na każdym kroku każdego z nas czeka zguba.

*...Ab homine iniquo et doloso erue me.*

A więc katolicyzm jest religią walczących? Gdzież ten osławiony kwietyzm? Ale czy Bóg pomaga nam w walce? Czemu męczymy się ciągle i ciągle nie widzimy owoców swoich wysiłków?

*Quare me repulisti quare tristis incedo, dum affligit me inimicus?*

Dlaczego odepchnąłeś mnie i dlaczego smutny chodzę, a nieprzyjaciel nęka mnie?

*... Confiteor Deo omnipotenti beatæ Mariæ semper Virgini, beato Michaeli Archangelo...*

Michałowi Archaniołowi? Cóż to jest archanioł? Wiem dobrze, czym się różni zwierzę od kamienia—życiem. Wiem, choć już mniej dobrze czym się różni człowiek od zwierzęcia. Nie wiem czym się różni anioł od człowieka. A skądże mogę wiedzieć, czym się różni archanioł od anioła? Możliwość różnorodności świata wyższego jest nieograniczona.

Czy kiedykolwiek, nawet po śmierci zrozumieję ją? Czy po śmierci dowiem się, co to jest archanioł? A może to zależy odemnie? Dostaję przecież w swoje ręce niezwykle instrument do poznawania wyższych światów — duszę. Ja sam ten instrument stroję i urabiam. A więc każdy krok, maleńki krok w życiu drogą jakichś gigantycznych transmisyjnych urządzeń wykuwa całą wieczność. Nie chcę takiej odpowiedzialności! A może rzeczywiście kontemplacja? Małe, ostrożne kroczki? A efekt? Mały ostrożny efekt po śmierci. Nie, nie zobaczyłbym wtedy Archaniołów. To chyba głód wiecznego szczęścia każe nam robić wielkie kroki, a one jakimś potwornym echem odbijają się tam, gdzie niema czasu ani przestrzeni. Więc to jest brzemię grzechów? Więc odemnie tylko zależy czy poznam Archaniołów?

*Kyrie elejson!*

*Christe elejson!*

Czy wierzę?

*...in unum Deum Patrem omnipotentem factorem coeli et terrae, visibilium omnium et invisibilium...*

Stworzyciela rzeczy niewidzialnych?

A jednak wierzę. Nie dlatego, że nauka współczesna uprawdopodobnia tę wiarę. Nie dlatego, że mnie



w niej wychowano. Nie dlatego, żebym miał szanować tradycję. Nie dlatego, że to pasuje do moich przekonań. Jest coś takiego we mnie, że wierzę. Gdyby nauka udawiała absurd wiary, gdybym był wychowany w ateizmie, gdyby najwstrętniejsze tradycje łączyły się z kościołem, gdybym był materialistą, nawet wtedy bym wierzył.

Dlaczego?

Nie wiem. Może to jest właśnie łaska wiary?

*...dilexi decorem domus Tuae et locum habitationis gloriae Tuae.*

Ukochałem piękno Twego domu i miejsce zamieszkania Twej chwały.

*Ne perdas cum impiis, Deus, animam meam: et cum viris sanguinum vitam meam.*

Nie gub Boże, nie gub mego życia przez ludzi krwawych. Widzisz, jestem skłonny Ci chytrze tłumaczyć, że mogę zrobić jeszcze wiele dobrego, ale Ty wiesz, że to słabość tak mówi przezemnie. Więc nie tłumaczę nic, tylko proszę — nie zatracaj mego życia wśród ludzi krwawych.

*...in quorum manibus iniquitates sunt: dextera eorum repleta est muneribus.*

Chroń mnie od krzywd z ich ręki, ale stokroć bardziej chroń mnie od datków których „pełna jest ich prawica”.

*Pes meus stetit in directo: in ecclesiis benedicam te, Domine.*

„Na prostej drodze stoi moja noga i na zebraniach głoszę Twoją chwałę Panie”. *Ne perdas animam meam...*

*Communicantes et memoriam venerantes... Petri et Pauli, Andreae, Iacobi, Ioannis, Thomae, Iacobi, Philippi, Bartholomaei, Mathaei, Simonis et Thaddei; Lini, Cleti, Clementis, Xysti, Cornelii, Cypriani, Laurentii, Chryzogoni, Ioannis et Pauli, Cosmae et Damiani...*

Zabawne imiona: Kletus, Chryzogon... Czy zabawne? To przecież nazwiska żywych niegdyś ludzi. Dla ich współczesnych nie było zabawne, gdy mówili: „Kletus został ukrzyżowany”, lub „Chryzogona skazali na śmierć”. Tak, tak... Jakże często zapominamy, że jesteśmy kościołem apostołów i męczenników.

Wszyscy naokoło kłękają. Czego będą wysłuchiwać z taką czcią? Hymnów? Słów ekstatycznych? Nie. Usłyszą coś przeraźliwie prostego, opis przemienienia chleba i wina. Opisu dokonał człowiek prosty w sposób rzeczowy i epicki..

*Qui pridie quam pateretur...*

Nie wysłuchują ludzie na klęczkach żadnej z najwspanialszych koncepcyj naukowych ani odkryć. Wysłuchują słów rybaka, które posiadają jedną jedyną wartość — są prawdziwe.

*Pacem relinquo vobis, pacem meam do vobis...*

Co to jest pokój Twój? To nie jest pokój — przerwa między wojnami, ani pokój — idylla, ani pokój — beczynność. Zostawiłeś pokój Twój w duszach walczących. Pokój sumienia, oto jest pokój Twój.

*...qui vivis et regnas Deus.*

Ten pokój daje nam pewność zwycięstwa nawet w dniach największej klęski.

*Laudans invocabo Dominum et ab inimicis meis salvus ero.*

„Wielbiąc wezwę Pana i od nieprzyjaciół moich będę bezpieczny“. O daj mi Boże, pokój Twój. Abym mógł chwalić Ciebie wtedy, kiedy jest najtrudniej. Daj mi jedną łaskę Panie: Jeżeli kiedyś nieprzyjaciele będą myśleli, że mnie zgniotą, jeżeli przyjdzie chwila najcięższej próby, pozwól mi mieć tyle siły, by wielbiąc przyzwać Ciebie, a na nich patrzeć jak się patrzy na stołek albo szkło, albo małą zieloną żabkę. Daj mi tę łaskę, Panie.

*...et ab inimicis meis salvus ero.*

„Ksiądz przechodzi na prawą stronę ołtarza“. Tak było napisane w mojej dziecinnej książce do nabożeństwa. I teraz też ksiądz przechodzi na prawą stronę ołtarza. Miljardy razy przechodzili tak księża i miljardy razy odczytywali słowa największej tajemnicy.

*Et verbum caro factum est.*

A słowo ciałem się stało.

Co za rozpiętość: Boże Narodzenie, choinka, radość rodzinna, siano, mak, prezenty, świece, wódka...

*..et verbum caro factum.*

Dewotki, biedne staruszki, ludzie prości, snobująca się inteligencja, tłum, wszyscy poważnie, ale stanowczo pchają się do drzwi. Każdy się wymodlił na swój sposób. Większość pewnie szczerzej i lepiej odemnie.

*..exaudi orationem meam...*

# M O R A L I T E T

## M O R A L I T E T

*Na scenie w głębi leży ciemny cień wielkiego tłumu, samego tłumu nie widać. Blżej środka na piedestałach stoi kilka figur, których znaczenie objaśni się później w miarę rozwoju akcji. Na samym środku stoją: POLAK, człowiek młody, z ubrania nieco przypominający Gustawa z IV części „Dziadów“, jest bowiem odziany tylko w strzępy zadrukowanego papieru i CZAS, starzec siwobrody z kosą.*

*Zaczyna się CZĘŚĆ PIERWSZA moralitetu, przedstawiająca herezje dziewiętnastego wieku.*

CZAS (do Polaka): Przeprowadziłem Cię tutaj, byś mógł wybrać sobie, która z tych figur ci się spodobą, a które mam zabrać ze sobą poza Styks, tam, gdzie są zapomniane ideje. Teraz ci będę objaśniał. Czy widzisz tę pierwszą osobę, ubraną w ciemny surdut z halsztukiem, w spodnie ze strzemiączkami i kosmaty cylinder?

POLAK: Widzę ją, któż to jest?

POSTAĆ I: Ja jestem Narodowy Liberalizm. Ojcem moim jest naród, ale ja go nie znam dobrze. Matką moją jest Wielka Rewolucja francuska. Kiedy byłem jeszcze zupełnie mały, ludzie wierzyli, że człowiek rodzi się do wolności i że wszyscy ludzie wolni są sobie braćmi, że ludzkość stanowi jedno wielkie towarzystwo i że nie będzie w przyszłości państw ani narodów. Ale ja kochałem mego ojca — Naród i choć nie wiedziałem dobrze kim on jest, nie mogłem uwierzyć innym ludziom. Wolni obywatele wolnych

narodów, to jest cel, o który walczyłem. Wsadzano mnie do więzień, ginąłem na barykadach, wydawałem nielegalną literaturę. Ja obaliłem Metternicha, ja robiłem Wiosnę Ludów i Młodą Italję. Ja byłem w Olszynie Grochowskiej i służyłem u Mierosławskiego i u Langiewicza. Mój cel, to wolność i wielkość Ojczyzny, bo Ojczyzna to jest słowo, którego ja ludzi nauczyłem. Chcę ludowładztwa. Chcę, żeby każdy obywatel brał udział w sprawach pospolitych, aby lud rządził, bo głos ludu jest głosem Natury. Jestem wrogiem wszelkiego absolutyzmu i przyjacielem każdego uciśnionego.

POLAK: Ale co to jest naród?

NARODOWY LIBERALIZM: To, co walczy z tyranami.

POLAK: A co to jest państwo narodowe?

NAR. LIBERALIZM: To jest państwo demokratyczne.

POLAK: A czy obcy, którzy mieszkają wśród narodu, mają także rządzić narodem?

NAR. LIBERALIZM: Naturalnie. Wola ludu to jest suma woli jednostek. Nikt w tej sumie nie może być pominięty. Wolni z wolnymi, równi z równymi!

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Nie znasz doświadczeń państw demokratycznych.

CZAS *podchodzi do* NARODOWEGO LIBERALIZMU *i kosą ściąga go z piedestału, poczem odprowadza za kulisy.*

CZAS *(do Polaka)*: Czy widzisz tę drugą postać z bródką w wysokim kołnierzyku — „*vatermörder*“ i w meloniku?

POLAK: Widzę ją dobrze. Któż to jest?

POSTAĆ II: Ja jestem Światopogląd Organiczny. Ojcem moim jest Naród, ale nie znam zbyt dobrze mego ojca. Matką moją jest Nauka Ścisła, córka prof. Spencera. Kiedy byłem mały, a mój starszy brat, Narodowy Liberalizm już się zestarzał, ludzie wierzyli, że wszystko jest mechanizmem, że społeczeństwa są związane produkcją i dopiero na tej podbudowie wyrastają wszelkie inne łączniki. Ja w to wierzyć nie mogłem, bo kochałem mego ojca i wiedziałem, że dla niego warto zniszczyć nawet całe życie ekonomiczne.

Naród jest organizmem. Jak każdy organizm rozwija się on zgodnie z zasadami ewolucji i staje się tworem coraz pełniejszym. Państwo to tylko mechanizm, naród jest organizmem, przyrodzoną formą bytowania ludzkiego. Może kiedyś cała ludzkość stanowić będzie jeden organizm. W naszym na tysiąclecie zakrojonym etapie ewolucji człowieka organizmem jest naród. W nim i tylko w nim żyje człowiek. Przez niego wogóle jest człowiekiem. Jediną możliwą do ustalenia miarą wartości i oceną zła i dobra jest więc dobro organizmu narodowego. Niema grzechu i cnoty — jest tylko działanie szkodliwe i pożyteczne dla narodu. Celem moim jest najpełniejszy rozwój tego organizmu i wypełnienie nim każdej innej formy.

POLAK: A co sądzisz o Bogu?

SWIATOPOGLĄD ORGANICZNY: Nie jest rzeczą wykluczoną, że Bóg istnieje, jeżeli pojmować Go będziemy jako przyczynę istnienia świata. Ale niema on nic do naszego postępowania. My, ludzie wykształceni dziewiętnastego wieku, nie możemy prze-

cież wierzyć naiwnie w religię objawioną. Czasy Mojżesza, Buddy, Chrystusa, Mahometa minęły i należą do poprzedniego stadium ewolucji.

POLAK: Czy nie przychodziło ci nigdy do głowy, że naród może nie być zjawiskiem ani natury mechanicznej, ani organicznej, tylko duchowej?

ŚWIATOPOGL. ORG.: Nie znam takiej kategorii zjawisk, jestem przyrodnikiem.

POLAK: A jeżeli teoria ewolucji jest fałszywa? Jeżeli teoria organiczna nie jest słuszna?

ŚWIATOPOGL. ORG.: To niemożliwe. To są rzeczy naukowo ustalone.

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Nie znasz doświadczeń najnowszej nauki.

CZAS *podchodzi do ŚWIATOPOGLĄDU ORGANICZNEGO i kosą ściąga go z piedestału, poczem odprowadza go za kulisy.*

CZAS (do Polaka): Czy widzisz tę trzecią postać w tużurku, w binoklach na czarnym sznureczku i z wielką teczką pod pachą?

POLAK: Widzę ją dobrze. Któż to taki?

POSTAĆ III: Ja jestem Etnograf. Ojcem moim jest Naród. Bardzo kocham mego ojca i staram się go poznać. Wiem już jaki ma wzrost i jakie nosi koszule, a nawet dlaczego czasami ma chrypkę. Matką moją jest Geografja, a moi wujowie, to słynni podróżnicy. Ja też znam kawał świata i zbieram osobliwości ludowe. Naród jest to grupa ludzi złączonych wspólnym terytorjum zamieszkania, wspólnymi w dużej części przodkami, wspólnym obyczajem i wierzeniami, a przede wszystkim wspólnym językiem, a co za tem

idzie, wspólną literaturą. Celem moim jest jaknajbardziej rozszerzać mój naród. Chcę, żeby pół Europy mówiło po polsku i żeby mieszkańcy Sudetów nosili góralskie portki. Gdzie sięga polski język, polski obyczaj i elementarz, tam jest mój naród. Imponują mi poniekąd Węgrzy, bo w ich państwie każdy, bez względu na pochodzenie narodowe, jeżeli wchodzi do warstw wyższych, mówi po węgiersku. Ale znacznie bardziej imponują mi Prusy, bo w ich państwie każdy człowiek, bez względu na pochodzenie narodowe, musi z czasem zgermanizować się i mówić po niemiecku, albo wynieść się z Prus. Narodów jest tyle, ile jest języków, przynajmniej w naszej części Europy, bo na zachodzie jest nieco odmiennie, ale i tam budzą się ruchy narodowe i w Katalonji i we Flandrii i w Walji. Wobec wielkiej ilości narodów celem moim jest jaknajwiększej ilości mniejszych narodów narzucić mój język i mój obyczaj.

POLAK: Więc naród, to jest plemię?

ETNOGRAF: Tak, to jest plemię zorganizowane społecznie, plemię, posiadające swoją inteligencję.

POLAK: A państwo narodowe?

ETNOGRAF: To jest państwo, które służy jednemu plemieniu, narzuca jego mowę i obyczaj tym, którzy, żyjąc w tem państwie, mają inną mowę i inny obyczaj.

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Nie znasz doświadczeń nowych państw, ani doświadczeń własnego państwa w przeszłości.

CZAS *podchodzi do ETNOGRAFA i ściąga go kosą z piedestału, poczem odprowadza za kulisy.*

Następnie bierze Polaka pod ramię i prowadzi go na drugą stronę sceny, gdzie stoją na piedestałach postacie bieżącego stulecia.

CZAS (do Polaka): Przejdźmy na tę stronę. Oto masz przed sobą nowe postacie, herezje wieku dwudziestego, herezje Polski niepodległej (do publiczności): Jest ich więcej, niż było tamtych dawnych, ale nie dziwcie się, bo choć powstały w tak krótkim czasie i są płytsze od dawnych, ale w okresach zamętu i rodzenia się nowego porządku, zawsze jest więcej sprzecznych zdań i poglądów. (Do Polaka): Czy widzisz tę postać w kontuszu i okularach amerykańskich, z nożykiem do papieru zamiast karabeli?

POLAK: Widzę, któż to taki?

POSTAĆ I: Jestem Narodowy Tradycjonalizm. Ojcem moim jest naród. Ojca mego kocham bardzo, znam całą jego przeszłość i na szable wezmę każdego, kto mu choć drobny błąd wytknie w jego postępowaniu. Matką moją jest Historjozofja. Celem moim jest najściślejże związanie dziejów narodu w jedną całość, wyprowadzenie każdego obyczaju, każdej instytucji, każdego prawa z odpowiedniej tradycji, z tradycji tysiącletniej państwa polskiego.

POLAK: Więc co to jest państwo narodowe?

TRADYCJONALIZM: Jest to państwo będące dalszym ciągiem i odwzorowaniem państwa Chrobrych i Żółkiewskich, Zamoyskich i Ossolińskich, Oleśnickich i Skargów, Kochanowskich i Konarskich, Chodkiewiczów i Sobieskich, Kadłubków i Morsztynów, ustroju wolnej elekcji i rycerskości, senatorów i rotmistrzów, zamków i zaścianków.

POLAK: Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że ten ustrój jest ustrojem tylko jednej szóstej naszych przodków? Że dla czterech piątych z nich conajmniej ustrojem była pańszczyzna, królem dziedzic, społeczeństwem gromada, kanclerzem ekonom, a trybunałem sąd patrymonjalny?

TRADYCJONALIZM: Ależ tak było w całej Europie.

POLAK: Zapewne, ale też żaden nowoczesny ruch w Europie nie bierze za wzór ustroju XVII czy XVIII wieku. Nie podobasz mi się, twój ideał zanadto przypomina Polskę obecną.

CZAS: *podchodzi do Narodowego Tradycjonalizmu, ściąga go kosą z piedestału i odprowadza za kulisy.*

CZAS (do Polaka): Czy widzisz tę drugą postać w czerwonej koszuli i lakierowanych butach, z sygnetem na palcu?

POLAK: Widzę, któż to jest taki?

POSTAĆ II: Jestem Faszyzm Polski. Ojcem moim jest naród, a matką chęć władzy. Celem moim jest stworzyć elitę narodową. Elita to są ci, którzy potrafią zdobyć władzę i utrzymać się przy niej. Oni wyrażają wolę narodu. Ustrój państwa, zasady gospodarcze, układ społeczny są rzeczą do dyskusji, rzeczą drugorzędną, a zastanawianie się nad nimi jest doktrynerstwem. Zastanawiać się warto tylko nad kształtowaniem elity i sposobem sprawowania władzy. Należy pilnie obserwować zagranicę, by widzieć jakie hasła i jakie metody najlepiej dadzą się u nas zastosować. Naród działa przez elitę, a elita nie może być

skrepowana żadną formułką, tylko dobrem narodu. Organizacja, wychowanie następców, tworzenie rządów, oto moje zadanie.

POLAK: A po czym odróżnia się elitę narodową od nienarodowej?

FASZYZM: Po tem, że się składa wyłącznie z Polaków.

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Nie wiesz, jak źle jest tym, którzy nigdy nie będą w elicie.

CZAS: *podchodzi do Polskiego Faszyzmu, ściąga go kosą z piedestału i odprowadza za kulisy.*

CZAS (*do Polaka*): Czy widzisz tę postać owiniętą w czarny płaszcz aż po oczy, z wielką teką pod pachą?

POLAK: Widzę, lecz któż to taki?

POSTAĆ III: Jestem Polski Rasizm. Ojcem moim jest naród, a matką walka z masonerją. Moim jedynym celem jest wyzwolenie ludzkości spod wpływów żydowskich. „*L'aryen est bon de la nature, mais la juiverie a corrompu les moeurs*”. Z chwilą całkowitego usunięcia żydów, wszystkie sprawy same ze siebie są rozwiązane. Ludzie staną się dobrzy, gdy tylko opadną z nich resztki żydowskich wpływów. Uczciwość wróci do życia, religja zapanuje w duszach, każdy ustrój będzie dobry, każdy porządek gospodarczy sprawiedliwy. Niestety, żydzi są wszędzie i nie wystarczy usunąć samych żydów, trzeba wytracić tych wszystkich, którzy mieli kiedykolwiek z żydami bliższe stosunki, a więc mogą być zarażeni rozkładem. Kto jest Polakiem? Oto pytanie, które mnie trapi najbardziej. Czy wystarczy 66 proc. krwi czysto polskiej? Czy 3 i jedna ósma proc. krwi żydowskiej już

dyskwalifikuje, czy dopiero 6 i pół? Bo na przykład taki...

POLAK: Więc cóżto jest państwo narodowe?

RASIZM: Jest to państwo, w którym niema żydów.

POLAK: I to wszystko?

RASIZM: Wszystko. Pozatem inne rzeczy są obojętne, pójdą naturalnym torem, zgodnie z duchem aryjskim.

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Więcej myślisz o żydach, niż o Polakach.

CZAS *podchodzi do Polskiego Rasizmu, ściąga go kosą z piedestału i odprowadza za kulisy.*

CZAS (*do Polaka*): Czy widzisz tę następną postać we fraku, włożonym na włosiennicę, zamiast sztywnego gorsu i z tekturowym chełmem na głowie?

POLAK: Widzę, ale któż to znów taki?

POSTAĆ IV: Jestem Nowe Średniowiecze. Ojcem moim jest naród, matką literatura zagraniczna. Celem moim jest powrócić mój naród do tej doskonałej harmonji społecznej, gospodarczej, politycznej, kulturalnej, religijnej i obyczajowej, w jakiej znajdował się w średniowieczu. Przedewszystkiem więc muszę odebrać mu to wszystko, co nas różni od tamtej epoki. Musimy być ubodzy, nie używać maszyn i asfaltowych szos. Musimy podzielić się na stany strzegące swej godności i przywilejów. Musimy życie gospodarcze i państwowe oprzeć na związkach wytwórców, na cechach. Każdy musi mieć swoje miejsce w społeczeństwie, a więc w związku zawodowym, w warstwie społecznej, miejscowości. Z całego kraju zrobimy jakby wielkie średniowieczne miasto, na cechach oparte.

POLAK: Odpowiedz mi na dwa pytania. Pierwsze: czy rzucisz dom rodzinny i pojedziesz na długie lata wojować z imperjum angielskim i z całym światem muzułmańskim i ze wszystkimi żydami ziemi i z Grekami i będziesz gotów zginąć poto, żeby Bazylika Grobu Świętego była wyłącznie w ręku katolików i żeby w Betlejem rezydował katolicki starosta?

NOWE ŚREDNIOWIECZE: POCO? Nigdy o tem nie myślałem.

POLAK: Teraz drugie pytanie: Czy wierzysz, że święty Krzysztof w sposób szczególniejszy opiekuje się woźnicami?

NOWE ŚREDNIOWIECZE: Nie, tak tego oczywiście nie rozumiem. Uważam jednak za dobre, jeżeli ludzie obierają sobie jakiegoś patrona.

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Chcesz odtworzać formy średniowieczne, a nie znasz ducha, który je tworzył.

*CZAS podchodzi do Nowego Średniowiecza, ściąga go kosą z piedestału i odprowadza za kulisy.*

*CZAS (do Polaka):* Czy widzisz tę ostatnią postać, ubraną w biało-czerwoną rubaszkę i cyklistówkę z orzełkiem?

POLAK: Widzę ją dobrze, ale któż to jest?

POSTAĆ V: Jestem Narodowy Komunizm. Ojcem moim jest naród, matką Piatiletka. Nie lubię, kiedy mnie nazywają komunizmem, bo jestem wrogiem międzynarodówek i nienawidzę żydów. Nie chcę wcale należeć do Związku Socjalistycznych Republik Rad. Przeciwnie, chcę Wielkiej Polski. Nie porywa mnie

mit światowego proletariatu, ani bohaterstwo wyrzeczenia na rzecz przyszłych pokoleń. Ale porywa mnie myśl gospodarki tak idealnie trzymanej w garści, możliwość dysponowania wszystkiem w skali narodowej. Sprawiedliwość da się urzeczywistnić tylko przy podziale dochodu społecznego między silnie trzymany ludzi. Wszystko musi być podporządkowane dobru Polski w sposób bezwzględny: człowiek, ziemia, maszyna, prawo...

POLAK: Czem się mierzy wartość narodu?

NARODOWY KOMUNIZM: Wartością dokonanych przezeń dzieł.

POLAK: A od czego zależy głównie wartość dzieł?

NAR. KOMUNIZM: Od ich twórców.

POLAK: Jak w twoim ustroju będą powstawać twórcy?

NAR. KOMUNIZM: Państwo ich wychowa.

POLAK: A czemu to państwo ma służyć? Jaka ma być cywilizacja narodu? Czem będzie się mierzyć dobro i zło!

NAR. KOMUNIZM: Scentralizowana organizacja państwa będzie sprawnie o wszystkim rostrzygać w imię użyteczności i sprawności organizacji.

POLAK: A naród? Naród nie ma służyć żadnym większym celom, żadnej wielkiej idei, nie ma spełniać żadnej misji?

NAR. KOMUNIZM: Nie, ma być poprostu silną organizacją.

POLAK: A więc nie podobasz mi się. Nie widzisz, że w twoim ustroju niema miejsca na naród.



CZAS *podchodzi do Narodowego Komunisty, ściga go kosą z piedestału i odprowadza za kulisy.*

CZAS *(do Polaka):* Patrz, coś narobił. Nie wybrałeś sobie żadnej z tych postaci, wszystkie piedestały się puste i znowu zostałeś, jak byłeś — prawie goły i zupełnie sam. Co ja z tobą teraz zrobię?

POLAK: O, patrz, tam się zbliża jakaś kobieta z dwójgiem dzieci. Któż to taki, co to za nowa postać?

CZAS: To nie jest postać.

POLAK: A kto to jest? Kto ty jesteś?

KOBIETA: *(milczy i tylko mocniej przyciąga do siebie dzieci).*

POLAK: Czy ty jesteś Idea? Doktryna? Myśl? Personifikacja? Nauka? Państwowość? Narodowość? Pizyzłość? Teorja? Praktyka? Rzeczywistość? Reforma? Kwestja Socjalna? Herezja? Ortodoksja? Twórczość? Historja? Klasa? Polityka? Miłość? Prawda? Ideologia?

KOBIETA: Ja jestem... nazywam się... Polska.

POLAK *(ogłąda się po sobie z nagłym przerażeniem):* A ja jestem taki nieubrany...

POLSKA: A przecież ci panowie byliby ci dali i koszulę kolorową i czapkę i długie buty porządne.

POLAK: I jakże, tak chodzić w cudzem ubraniu?

POLSKA: Nie, nie trzeba chodzić w cudzem ubraniu. Już lepiej chodź w tych papierkach. Żebym też ja cię miała w cò ubrać! Ale kontusze mole zjadły, sukmany musiałam sprzedać do teatru i tak nic, tyl-

ko te papierki i u mnie zostały. *(Zsuwa chustkę na tył głowy, łokciem trąca i przewraca jeden z piedestałów, siada na nim ciężko).* Bo ja tu właściwie przyszedłam, żeby ci dzieciaki pokazać. Widzisz, jaki ten już spory?

POLAK: Widzę, któryż to jest?

DZIECKO I: Jestem Świadomość Narodowa. Uczyłem się najwięcej od tamtych idej, które ci się nie podobały. Każdy z nich w tem co mówił, mówił także coś słusznego.

Od tego w kosmatym cylindrze, od Narodowego Liberalizmu, dowiedziałem się, że dzieje świata, to dzieje narodów i że człowiek może być wolny tylko wśród swego narodu.

Od tego w długim surducie, od Organicznego Światopoglądu dowiedziałem się, że naród opiera się na świadomości, na związku między żyjącymi, umarłymi i jeszcze nienarodzonymi, że brak jakiegoś organu, choroba jakiejś grupy w społeczeństwie, jest chorobą całego narodu, że aby być człowiekiem, trzeba być najpierw Polakiem.

Od tego w binoklach, od Etnografa, dowiedziałem się, że naród to nie przypadkowe zjawisko, że nie można tworzyć narodu na urząd, że niema narodu bez silnej podbudowy biologicznej, bez ludu.

Od tego w czarnej koszuli, od Faszysty, dowiedziałem się, że o życiu narodu decyduje napięcie psychiczne, energia nie materja, że obowiązkiem tych, którzy się poczuwają do odpowiedzialności za losy narodu, jest nietylko wskazywać, ale i tworzyć organizację dla tych celów.

Od tego w satynowym kontuszu, od Narodowego Tradycjonalizmu, dowiedziałem się, że ponosimy odpowiedzialność za błędy i zasługi przodków, bez względu na to, czy chcemy ponosić tę odpowiedzialność, że w narodzie tkwią pewne instynkty i przyzwyczajenia, z którymi liczyć się trzeba i które trzeba wykorzystywać.

Od tego w papierowym chełmie, od Nowego Średniowiecza, dowiedziałem się, że życie gospodarcze i społeczne, to nie jest dziedzina jakiejś suchej nauki, ale dziedzina życia narodu, gdzie duch narodowy i etyka więcej znaczą, niż popyt i podaż, że gospodarstwo musi być zorganizowane dla narodu i podporządkowane etyce.

Od tego w czarnym płaszczu, od Polskiego Rasizmu, dowiedziałem się, że najniebezpieczniejsze dla życia narodu są ukryte siły obce, świadomie i nieświadomie rozkładowe, że asymilować można tylko tych, którzy są duchowo podobni, że niema wolnego narodu tam, gdzie życiem gospodarczym czy kulturalnym społeczeństwa rządzą obcy, że pierwszym krokiem na drodze do państwa narodowego jest usunięcie od wpływu obcych i wrogich żywiołów.

Od tego w czerwonej rubaszce, od Narodowego Komunizmu, dowiedziałem się, że kapitalizm, gdy mu się zostawi swobodę, zdusi życie narodu, że sprawiedliwość społeczna jest warunkiem rozwoju narodu. Dowiedziałem się także od nich wszystkich tego, czego nie mówili, dowiedziałem się jaka jest natura państwa, społeczeństwa i narodu i czym się różnią od siebie.

POLAK: Więc cóż to wszystko jest?

ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA: Państwo, to jest mechanizm i rządzi nim prawa przyrody martwej, społeczeństwo, to jest organizm i rządzi nim prawa biologiczne, naród, to jest zjawisko duchowe i rządzi nim prawa psychiczne. Dlatego tak ważny dla narodu jest język, bo myśli się i nawet czuje zawsze w jakimś języku. Dlatego też tak ważny jest dla narodu człowiek, bo naród żyje tylko przez ludzi, nawet przez zmarłych ludzi.

POLAK: Czy więc naród jest rodzajem ducha biorowego, świętym kolektywem, aniołem, czy też jest zbiorem cech psychicznych, powtarzających się u pewnego rodzaju ludzi?

ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA: Nie jest ani tem, ani tem. W dziedzinie duchowej istnieje jeszcze o wiele większe bogactwo zjawisk, niż w świecie fizycznym, a przecież i tu niekoniecznie trzeba być albo pleśnią albo ssakiem.

POLAK: To wszystko pięknie, ale mnie nietylko chodzi o to, co to jest naród, ale i o to, co mam dla niego robić?

DZIECKO II: To ja ci opowiem.

POLAK: A ty kto jesteś?

DZIECKO II: Ja jestem Program.

POLAK: Ach, więc ty jesteś ideologja narodowa?

PROGRAM: Nie, nie jestem ideologją narodową. Niema ideologii narodowej. Niema także ideologii katolickiej. Jest ideologja marksistowska, jest ideologja humanitarna. Jest religja katolicka. Jest program narodowy, który się może nazywać w każdej epoce i w każdym narodzie inaczej. Kiedy przed półtora

wiekem zamarł na długo duch wiary wśród ludzi, usiłowano stworzyć sobie przeciw jakiś pion moralny, usiłowano dać ludziom religję bez metafizycznych pierwiastków. Powstały wtedy te dziwne pół-religje, oparte na wierze w materję, które nazwano ideologjami. Marksizm rozwiązać się stara wszystkie kłopoty człowieka. Nie można być jednocześnie wierzącym katolikiem i wierzącym marksistą. Pod wpływem pół-religji humanitaryzmu szerzonej przez masonów i pół-religji marksizmu, szerzonej przez socjalistów, chciano stworzyć także pół-religję — nacjonalizm. Balicki nie mógł być wierzącym katolikiem, bo starał się być wierzącym nacjonalistą. Nie mógł być członkiem kościoła, kto był członkiem pół-kościoła: Wolnomularstwa, Międzynarodówki czy Ligi Narodowej. Dziś to już przebrzmiało. Do zbawienia duszy, uczciwości w życiu prywatnem i publicznem potrzebna jest religja. Do celowego działania politycznego, do rządzenia, do służenia narodowi potrzebny jest program. Może on być obliczony na tysiąc lat, ale zawsze to będzie program — plan działania, a nie ideologja — nauka o pomysłach.

POLAK: Ależ w takim razie może być parę programów narodowych.

PROGRAM: Naturalnie. Ale o to się nie martw. Nie grozi Polsce zbyt wielka ilość programów, grozi jej brak jakiegokolwiek programu polskiego.

POLAK: A co na to poradzić?

PROGRAM: Najpierw zrozumieć dobrze, że ja nie jestem ani ideologją, ani herezją, ani zamkniętą ściśle doktryną, a potem starać się, żebym rósł i rozwijał

się. Kiedy się urodziłem, nie było u nas nic nowego, a ponieważ nie umiałem mówić, nazwano mnie tendencją. Teraz zaczynam przemawiać, choćby w dziedzinie gospodarczo-społecznej i wyrastam na program. Od ciebie zależy, żebym rósł prędko.

CZAS: Tak, znacznie więcej od ciebie, niż ode mnie (*zasuwa kurtynę*).

## I D E A L I Z M   D Z I E J O W Y

— Nie jestem materjalistą pod względem przekonań.

— A czem pan jest?

— No, rozumie się, idealistą.

— Co pan przez to rozumie?

— Że o dziejach ludzkich nie decydują względy materjalne, tylko idealne.

— Może mi pan to jakoś bliżej wyjaśni.

— Przedewszystkiem walka klas. Klasa, to sztuczny twór mózgowy, to swego rodzaju urojenie. Niema właściwie klas w tym sensie, jak to rozumieją materjaliści, są tylko warstwy w społeczeństwie, złączone ogólnym interesem. Solidarność różnych warstw tego samego organizmu, ich ścisła zależność, to jest istota życia społecznego. Solidaryzm, nie walka klas i moralność, nie materjalne dobra — oto sens dziejów, oto, co uważam za podstawę swego idealizmu.

— Mam dwa pytania: pierwsze, czy pan nie uważa się jednak za należącego do pewnej grupy społecznej? Czy pan nie zauważył, że pański sposób używa-

nia dóbr materialnych, t. zw. życie kulturalne i poglądy na większość spraw są wspólne z pewną liczną grupą ludzi, a odrębne od innych grup?

— Oczywiście, ale tych grup nie nazywam klasami, lecz warstwami.

— Dlaczego?

— Ponieważ istotą klasy jest wspólność położenia materialnego, a istotą warstwy wspólność typu kulturalnego i zainteresowań zawodowych.

— Czy gdyby pan stracił środki utrzymania i został, dajmy na to, z nędzy parobkiem, byłby pan mimo to, nadal członkiem swojej warstwy?

— Nie — ponieważ nie mógłbym kontynuować mojego życia kulturalnego i miałbym inne zainteresowania zawodowe.

— Czemu? Czy ze względu na upadek moralny?

— Nie, ze względu na brak środków materialnych.

— Pięknie. A teraz weźmy odwrotną sytuację. Jest pan parobkiem, który nagle otrzymał środki materialne, osiadł w mieście, ma pewne ambicje. Czy mógłby zostać członkiem pańskiej warstwy społecznej?

— Mówiąc szczerze i bez przesądów, po kilku latach wysiłków, oczywiście mógłby.

— Doszliśmy do tego, o co mi szło. Istotnymi różnicami między ludźmi są różnice duchowe. Ale w ustroju kapitalistycznym, we współczesnym społeczeństwie, różnice społeczne sprowadzają się niemal całkowicie do różnic materialnych. O posiadaniu lub nieposiadaniu t. zw. kultury decyduje możliwość jej kupienia. Społeczeństwo kapitalistyczne jest społeczeństwem klasowym. Zatem klasy istnieją, a ich

negowanie jest nie idealizmem lecz idealizowaniem.

— Pan miał dla mnie, zdaje się, dwa pytania...

— Owszem. Drugie innej natury: czy pan sądzi, że nowe wartości można zdobyć bez walki?

— Bez szlachetnej walki nie.

— A co to jest szlachetna walka?

— Naprzykład dwóch uczonych rywalizuje w odkryciu jakiegoś pierwiastka, lub artysta łamie się w sobie dla wydobywania nowych form.

— A nie sądzi pan, że może istnieć równie twórcza i w gruncie rzeczy szlachetna walka grup ludzkich, walka zbiorowa?

— Czemu nie? Walka prądów literackich, programów społecznych, kierunków teologicznych...

— A walka narodów?

— Tego właśnie czekałem. Widzę do czego pan zmierza. Chce pan powiedzieć, że treścią dziejów jest współzawodnictwo i wojna plemion, władców i państw. Wojna jest tylko złem, może koniecznym, może nawet mającym swoje dobre strony ale złem, do którego jeżeli nie usunięcia, to przynajmniej zmniejszenia należy dążyć. Wojny powinny być coraz rzadsze i o coraz szlachetniejszych celach. To jest mój idealizm historyczny.

— I znowu nie idealizm, tylko idealizowanie. Pan wcale nie widzi do czego ja zdążam. Ja nie mówię o walce plemion czy państw—o wojnie. To nie są rzeczy istotne, to są tylko objawy. Ja mówię o walce narodów.

— Co za różnica?

— Różnica ogromna. Naród, to nie jest plemię, ani państwo, to nie jest ogół ludzi, mówiących jednym językiem. Naród to jest typ życia duchowego. Na tle plemion, często także państw, wyrasta pewien typ życia duchowego, wspólne pojęcia, wierzenia, reakcje uczuciowe, sposób myślenia. Naród jest wspólnotą duchową, ideową. I naród jest ciągle w ruchu naprzód. Wśród współczesnych Polaków istnieje wielka ilość ludzi różnie związanych z narodem, więcej lub mniej będących członkami narodu. O sile narodu stanowi jaka jest suma jego życia w ludziach, jak wielka część narodu bierze udział w twórczości, w życiu duchowym. Dzieje ludzkości, to dzieje powstawania ośrodków typu życia duchowego, ich rozszerzania się na otaczające masy ludzkie, ścierania się różnych takich ośrodków, podboju jednych przez drugie, słabszych cywilizacyjnie przez silniejsze i osiągnięcie tą drogą nowych wyższych wartości. Słowem dzieje ludzkie, to dzieje walki narodów. Walki plemienne, tworzenie państw, wojny, to tylko objawy wtórne, zewnętrzne tej walki narodów: ośrodków duchowych — ideowych i cywilizacyjnych.

— A walka klas?

— W każdym społeczeństwie istnieją grupy społeczne, które wiele łączy, ale zawsze znacznie więcej dzieli. Współczesną formą takiej grupy jest klasa. Różne klasy mają pewne wspólne interesy, ale bardzo nieliczne, mają zato bardzo wiele sprzecznych interesów i walczą ze sobą. Czynniki materialne rozbiłyby każde społeczeństwo i narodowość, gdyby nie przeniakał i nie łączył ludzi różnych klas czynnik niemate-

rialny, dominujący — typ życia duchowego. Toteż w interesie rozwoju narodu leży znoszenie różnic klasowych. Naród pełny, to naród bezklasowy. Dla życia duchowego narodu, materialna strona życia społecznego jest tylko tłem.

— Podbudową?

— Nie, raczej oszalewaniem.

— A walka ras?

— Walka ras nie stanowi treści dziejów. Rasizm jest odmianą materializmu dziejowego i dlatego jest nie do pogodzenia z prawdziwym idealizmem.

— A więc twierdzi pan, że typ rasowy nie ma wpływu na ideje?

— Mam ochotę zaryzykować twierdzenie, że typ życia duchowego więcej kształtuje typ fizyczny, niż naodwrot. Dusza jest związana z ciałem, ale nie jest mu podporządkowana. Dlatego rasizm jest zapoznawaniem całości na rzecz fragmentu.

— Potępia pan rasizm? A więc...

— Wiem, wiem! Może pan nie kończyć. Właśnie jednym z grubszych błędów w kwestji żydowskiej jest ograniczanie jej do zagadnienia rasy fizycznej. To nie kręte włosy i grube wargi czynią dla nas żydów obcymi. Inne podobnie wyglądające ludy wschodnie nie budzą w nas tych uczuć. Żydzi nie są jednolitą potęgą jako rasa fizyczna, są silni przez to, że stanowią niezwykle zwarty typ życia duchowego, stanowią naród skrajnie przeciwny do naszego. Dwie rasy można skrzyżować, a krzyżówka często pod względem i fizycznym i intelektualnym stoi na wysokim poziomie. Typy duchowe skrzyżowania nie zno-

szą. Jeden z nich musi zwyciężyć całkowicie, albo też jednostka jest bez wartości.

— Pański idealizm jest poprostu niczem innym, jak tylko mistycyzmem.

— Nie. Nie mówię o niczem mistycznym. Mówię o cywilizacji i o psychice, a to nie jest żaden mistycyzm. To nie jest oczywiście materjalizm, to jest idealizm dziejowy. Konsekwentny idealizm dziejowy musi stać na stanowisku, że treścią dziejów jest walka

narodów.

## R Z E C Z   O   O D D Y C H A N I U

Rzecz, która mnie w życiu kosztuje najwięcej, a może kiedyś nawet i zgubi, jest mój autokrytycyzm. Posuwa się on tak daleko, że na przykład, kiedy wieczorem zasypiam i już zaczynam tracić świadomość rzeczywistości, nagle pojawia się skądś we mnie chłodna obserwacja: aha, zasypiam właśnie w tej chwili. Rzecz prosta, że natychmiast budzę się wtedy całkowicie i już napróżno czekam na moment do zrobienia ponownie tej cennej autoobserwacji. Ma to ten dobry skutek, że gdy się leży, nie mogąc zasnąć, przychodzi do głowy najwięcej cennych i nowych pomysłów.

W ciągu dnia człowiek ciągle musi myśleć o czymś, musi myśleć o czym myśleć. Podczas bezsennej nocy myśl nieskrępowana przez wolę, biega sobie tam i sam po śmietniku życiowych spostrzeżeń i czasem znajdzie wśród odpadków wrażeń jakiś cenny klejnocik.

Wiedzą o tem lekarze. Toteż pamiętam, jak jeden z moich kolegów uniwersyteckich udał się kiedyś do rektora z niezwykle szczegółowym i pomysłowym projektem, dotyczącym spraw organizacyjnych studenckich. Rektorem był wtedy profesor medycyny. Przejrzał on projekt i nagle zwrócił się do autora:

— Pan cierpi na bezsenność, prawda?

— Czemu, magnificencjo?

— Bo tak szczegółowy i pomysłowy projekt można ułożyć tylko w ciągu bezsennej nocy.

Otóż podczas pewnej bezsennej (spowodu opisanej autoanalizy) nocy, przyszła mi do głowy makabryczna w treści, dość prosta refleksja: człowiek nie może przestać oddychać przez całe życie, jest skazany na wieczne oddychanie. Każdy wciągnięty kawałek powietrza musi być wypuszczony, na miejsce wypuszczonego musi być wciągnięty nowy. Pierwszy raz wdycha człowiek powietrze bezpośrednio po przyjściu na świat i już rusza w nim maszyna do oddychania. Dopiero w chwili śmierci „wydaje ostatnie tchnienie“, to znaczy, zwraca światu kredyt powietrzny, zaciągnięty przy urodzeniu. Przykre, prawda?

Kiedy właśnie tak sobie rozmyślałem o oddychaniu i kredycie, nagle, drogą mechanicznego skojarzenia, stanął mi przed oczyma przeczytany tytuł artykułu w jakimś dzienniku. „Kraj dusi się z braku kredytu“. Kraj dusi się... Oklepana metafora, czy pewien sens głębszy? Ten się może dusić, kto oddycha. Czy kraj oddycha? Kraj niewątpliwie nie, bo kraj, to pojęcie geograficzne. Ale naród, czy naród oddycha?

Naród jest tworem cywilizacyjnym, kulturalnym. Zatem powietrzem dla niego są nowe myśli, nowe idee, nowe hasła i nowy ład. Naród wciąga je, wchłania, przerabia i zużywa. Niewątpliwie tak. Idą do organizmu. Ale potem trzeba coś z nimi zrobić. Już są zużyte, wysane, nic z nich więcej nie będzie. Naród wydycha je wtedy. Tylko w dziewięciu wypadkach na dziesięć zawsze znajdzie się jakaś siła, która mocno dwoma palcami bierze naród za nos i nie pozwala mu wydychać. Wtedy naród czerwienieje na twarzy i zaczyna się rzucać. Czasami bywa to z tą odmianą, że naród już wytchnął wszystkie zużyte idee, a dopiero kiedy chce wciągnąć nowe, biorą go za nos. Skutek jest mniej więcej ten sam, tylko jeszcze bardziej przykro.

Wdychamy nowe poglądy, wyobrażenia. Wdzierają się ostrym prądem. Mają charakter bezkompromisowy. Tworzą zwarty nowy kompleks. Przybierają kształt absolutyzmu, całkują, podporządkowują sobie wszystko, nieraz brutalnie. Potem następuje stopniowo stabilizacja i rozluźnienie. Moment pozornego bezruchu. Potem coraz więcej wolności, automatyzmu, coraz mniej przymusu, potem kryzys, maleńki moment pustki i zaczyna się nowy wdech. Tak jest w życiu idei, a wślad za tem w życiu systemów gospodarczych, społecznych, politycznych, naukowych, organizacyjnych.

Oddech wszakże może być krótki lub długi. Człowiek zdrowy i silny ma głęboki oddech, taksamo i naród. Słabość naprzykład naszego narodu w ostatnich epokach polega na jego dychawiczności. Krótko, szyb-

ko i płytko wchłania nowe idee, prędko je zużywa i wyrzuca. Toteż jest ciągle zadyszany. Popatrzcie jak równo oddycha Anglja (jeden oddech od Wilhelma Orańskiego), jak ze świstem wprawdzie, ale całymi płucami Rosja (wdech pierwszy: Iwan Groźny, wdech drugi: Piotr Wielki, wdech trzeci: Lenin).

Proszę oddychać głębiej! To powiedzenie lekarza jest jedną z najpierwszych rad dla Polski. Oddychać głęboko i równo. Wdech raz! Wydech dwa. Nie za prędko!

Nietylko naród zresztą oddycha. Kto zna bliżej życie jakiejś organizacji, także zauważyć musiał jej oddychanie.

Największą umiejętnością rządzenia, tajemnicą, zapewniającą długie piastowanie władzy, jest — kierowanie oddechem. Nie zatykać nosa palcami. Pozwolić wytchnąć, pozwolić na zmianę kierunku, to umiejętność trudna, lecz niezbędna.

Jeżeli się komuś zatka nos, to trzeba się liczyć zawsze z tem, że delikwent albo się udusi na amen, albo się wyrwie i wtedy odetchnie bardzo silnie i gwałtownie.

Są nawet podobno w Indjach jogowie, którzy leczą wszelkie choroby przez uczenie odpowiedniego oddychania. Słyszałem, że mieli nawet adeptów w Europie.

Oddychanie, to dziwnie beznadziejna, ale bardzo istotna funkcja.

## OPOWIADANIE DZIADUNIA

— Dziadziu, co to znaczy: Jaś mówi, że jest nacjonalistą?

— To znaczy, dziecinko, że Jaś chce państwa narodowego, że chce wszystko budować na narodzie.

— A kto to, dziadziu, wymyślił?

— Widzisz, dziecko, najciekawsze, że narodu nikt nie wymyślił, on się sam zrobił.

— A jak to było, dziadziu?

— Toby strasznie długo opowiadać.

— Ale opowiedz, dziadziu, musisz opowiedzieć!

— No dobrze. Więc widzisz, tu gdzie teraz mieszkamy było kiedyś zupełnie inaczej. Mieszkali tu ludzie, którzy byli naszymi prapraprapradziadkami i mówili po polsku, ale nie byli Polakami. Nie mieli jednego rządu, ani wojska, ani szkół, nie wierzyli także w Pana Jezusa.

— A w co wierzyli?

— Tego, moje dziecko, nikt dobrze nie wie. Jeden strasznie stary pan, co się nazywa pan Brückner i mieszka w Berlinie u hitlerowców, mówi, że nie mieli żadnego wspólnego boga, tylko każdy ród czcił swoich przodków i swoich duchów-opiekunów, a każdy tatuś był zarazem jakby księdzem dla swojej rodziny. Inni ludzie, nawet poganie mieli swoje wielkie i małe bóstwa, a my nie. Dlatego dziadziusiowi tak się zdaje, że jeżeli u nas ludzie nie bardzo głęboko myślą o Panu Bogu i mało było znakomitych teologów, to znaczy uczonych księży, to dlatego, że u nas sama nauka o Bogu jest świeższa, niż gdzieindziej. Ale ty

tego nie rozumiesz, tylko dziadzius jest stary i dlatego tak sam do siebie trochę gada, więc powiem ci co było dalej. Więc potem tych ludzi, co u nas mieszkali, zaczęły wychowywać dwie takie dziwne rzeczy. Jedna z nich to było państwo, to znaczy wojsko, urzędy, sądy, więzienia, podatki, prawa, nagrody, a druga z nich to był kościół, to znaczy książki pobożne, księża, kaplice, klasztory, kazania, rachunek sumienia, pokuta, modlitwa, śpiewy, papież w dalekim Rzymie... Bo widzisz nie wszystkie narody wychowywały się przez państwo i kościół. Na wschodzie, tam gdzie mieszkają Turcy, Arabowie, Persowie, Indusi, Rosjanie i Grecy, było tylko państwo.

— To tam kościołów nie było?

— Był kościół, ale ten kościół to było to samo co państwo, a król był największym księdzem. I dlatego tam się nie wychowały narody, tylko się wychowali mieszkańcy państw-kościółów. A u nas nie mógł się człowiek stać tylko częścią państwa, bo mu kościół przeszkadzał. Kościół uczył, że trzeba słuchać więcej Pana Boga, niż króla i człowiek musiał myśleć i wybierać, kiedy słuchać i kogo słuchać. I tak z ludu zrobił się naród. Bo widzisz między ludem a narodem jest taka różnica jak między żelazem a stalą. Trzeba, żeby żelazu było i bardzo zimno i bardzo gorąco, żeby różne siły nad niem się łączyły i dopiero wtedy robi się z niego stal. Taksamo z ludu robi się naród.

— To kiedy u nas zrobił się naród?

— To bardzo trudno powiedzieć. On się robił długo i jeszcze ciągle się robi po troszeczkę i jest coraz



twarszy i coraz ostrzejszy. Chociaż czasami, to mu przeszkadzają. A już najwięcej to mu przeszkadzili dawno, dawno temu, jeszcze za ostatnich Jagiellonów i długo później. Bo się wtedy taki dziwny czas na świecie zrobił, że się znalazł trzeci wychowawca narodu, taki fałszywy tatuś.

— Jak on się nazywał, dziadziu?

— Nazywał się: tajna organizacja. Odsunął on trochę kościół, wsunął się trochę na jego miejsce, wołał naród do ciemnego kącika i radził mu różne rzeczy na ucho. A narodowi to bardzo szkodzi. Tak widzisz, jakby kto tatusia zamknął w komórce i kazał mu tylko przez drzwi z resztą rodziny rozmawiać, toby tatuś był, jak obcy człowiek. A jakby kto taką komórkę za kilkadziesiąt lat otworzył, toby zobaczył, że tam są trzy komórki i trzech małych tatusiów siedzi i każdy co innego gada i każdy jest ze siebie bardzo zadowolony, a każdy mniejszy, niż się po głosie zdawało. I pokazałoby się, że mamusia słuchała innego tatusia, a braciszek innego.

— Ale przecież tatuś musi czasem iść do komórki?

— Ale jak człowiek musi coś robić w ciemnej komórce, to tego nie lubi i jaknajprędzej stamtąd wychodzi.

— A jak to skończyło się, co dziadzius opowiadał?

— Z tym narodem? Więc widzisz naród coraz bardziej się wychowywał i teraz chce być sobą, być cały złączony jednakowo, i widzisz jakby tego... naród jak to niektórzy ludzie powiadają chce być zorganizowany, chce rządzić i wiedzieć, że rządzi... Ale dziadzius gada, a tyś zasnął tymczasem.

## Z D E N A C J O N O W A N I

W „Pawich Piórach” Kruczkowskiego jest scena, która utkwiała mi szczególnie w pamięci. Siedzi sobie panna ze dworu i medytuje. Panna jest ziemianką, ale studjuje medycynę, z przekonania jest socjalistką, podczas pobytu na wakacjach leczy fernali i czuje się ideowo z nimi związana, a jednocześnie zdaje sobie sprawę doskonale z tego, że w ich oczach jest dziewczką i że istotnie tryb życia, stosunki towarzyskie, wychowanie — wszystko to wiąże ją z klasą, którą potępia, z klasą obszarniczej burżuazji. Myśląc o swoim zawieszeniu w próżni, o sprzeczności wewnętrznej, panna robi nad sobą smutną uwagę: „Zdeklasowana”.

Ten obraz lepiej od uczonych definicji tłumaczy, co rozumieli socjaliści pod słowem: zdeklasowanie i wyjaśnia moment zasadniczy tego pojęcia, owe zawieszenie w próżni, tę przejściowość, sprzeczność odziedziczonego z wypracowaniem. Wskazuje także na istnienie na rubieżach grup społecznych takich przejściowych granicznych, niewyraźnych „pasów” ludzi nieokreślonej przynależności.

Zamiast długich wywodów i my stwórzmy obraz, który wiele może wyjaśnić i wiele musi poprzedzić.

Siedzi sobie panna... albo nie, lepiej: siedzi sobie inteligentny młody człowiek pochodzący z żydowskiej rodziny i medytuje. Młody człowiek jest z pochodzenia żydem, ale studjuje z zamiłowaniem literaturę polską i historję Polski, z przekonania, z wyboru, chciałby być Polakiem, należy do liberalnej, przyjmującej

jącej także „osoby wyznania mojżeszowego” i bezwyznaniowe, organizacji w zasadzie polskiej, obcuje z kolegami Polakami, ukończył polskie szkoły, czuje się ideowo z Polską związany. Jednocześnie wszakże zdaje sobie w głębi duszy sprawę z tego, że w oczach tych kolegów jest żydem, że jego stosunki rodzinne, pokrewieństwa, znajomości, sposoby reakcji na zewnętrzne zjawiska, jego konstytucja nerwowa, wyobraźnia, wspomnienia dzieciństwa — wszystko to łączy go z narodem, z którego wyszedł, który często potępia, z narodem żydowskim. Myśląc o swoim zawieszeniu w próżni, o sprzeczności wewnętrznej, jakimż słowem mógłby swój stan określić? — „Zdenacjonowany”.

Dwa wyjaśnienia: jeżeli wybrałem przykład zdenacjonowanego żyda, to nie dlatego, by to był przykład jedyny, ale dlatego, że jest u nas najpospolitszy. Zdenacjonowanie zdarza się na rozmaitych poziomach kulturalnych i między rozmaitymi narodami. Nie zawsze towarzyszy mu pełna świadomość zawieszenia w próżni. Zdenacjonowany jest polski chłopak ze Śląska Opolskiego, który należy do Hitlerjugend, ukraiński działacz, który wyznaje komunizm, zdenacjonowany jest także każdy Polak należący do K. P. P., bo choć wszystko, co odziedziczone jest w nim polskie, to jednak ideowo należy do narodu sowieckiego, rosyjskiego. Zdenacjonowani w pewnym sensie są wszyscy od pokoleń mieszkający w Stanach Zjednoczonych Polacy, Włosi, Niemcy, Irlandczycy.

I drugie wyjaśnienie. Zawieszenie w próżni zdenacjonowanego żyda jest szczególnie wyraźne, ponie-

waż odległość między narodami żydowskim i polskim jest bardzo znaczna. Różnice między poszczególnymi klasami w tym samym narodzie są stosunkowo małe — zdeklasowanie nie jest zbyt wielkim wykołajeniem. Różnice między narodem np. niemieckim a polskim są bez porównania większe, niż różnice między poszczególnymi klasami każdego z tych narodów — toteż zdenacjonowanie jest w tym wypadku znacznie większym wykołajeniem niż zdeklasowanie. Jeszcze większe są różnice między jakimś narodem chrześcijańskim, a nie-chrześcijańskim, np. między Polakami a Chińczykami, czy między Polakami a żydami. Tutaj zdenacjonowanie jest wielkim wykołajeniem, jest ogromną tragedją osobistą.

Bardzo jest przykro nie czuć się wrośniętym w jakąś mocną grupę społeczną. „Człowiek jest stworzeniem politycznym” powiedział pewien mędrzec starożytny (czy nie wszystko jedno, który), a pewien nowożytny mędrzec użył określenia „*appetitus societatis*.” Otóż człowiek zdenacjonowany, a denacjonacja jest zjawiskiem szerszym i głębszym od wszelkiej deklasacji, człowiek więc zdenacjonowany jest człowiekiem społecznie głodnym, takim, którego naturalny apetyt społeczny jest wiecznie niezaspokojony.

Wy wszyscy, którzy buntujecie się przeciw tyranji obyczaju i skrępowaniu narodowem współżyciem, którzy pragniecie za wszelką cenę swobody i nieskrępowanej twórczości, pomyślcie przez chwilę o tragedji mechesów i reneatów, o nienasyconym drażniącym głodzie psychicznym ludzi zdenacjonowanych. Jedyłą pożyteczną samotnością jest samotność w narodzie.

## „DAS LEID DER DEUTSCHEN G E S C H I C H T E“

W okresie „brunatnego *Kulturkampf*“, po mowie Goeringa, nocie Stolicy Apostolskiej i procesach księży oskarżonych o „Devisenschieberstwo“, warto przeczytać poniższe, pozornie, ale tylko pozornie, niezwiązane z temi sprawami słowa „Przywódcy Młodzieży Rzeszy“ — Baldura von Schiracha, wypowiedziane w jego „*Hitler-Jugend*“

„Myśl, aby wprowadzić katolickich i protestanckich kapelanów Młodzieży Hitlera, przeczy naszej więzi koleżeńskiej i dlatego jest nie do przyjęcia. Gdyby święto narodowo-socjalistycznej młodzieży miało być odprawiane przez jednego duchownego katolickiego, a jednego ewangelickiego, odczuwałby każdy chłopak i każda dziewczyna różnicę wyznania jako mur, rozdzielający koleżeństwo. Gdzie ramię w ramię maszeruje dwóch młodych Niemców, tam szedłby wówczas katolik i protestant, a wraz z nimi krzywda dziejów Niemiec.

Zamiast jedności i wspólnoty byłaby różność i rozdarcie. A w takim razie dwa miliony wielkiej wojny rzeczywiście padłyby napróżno. I poległ z *Feldherrnhalle* również.”

„Krzywda dziejów Niemiec“ — tegoby nie napisał, ani nie zrozumiał w ten sposób żaden z polityków przedwojennych Niemiec. Nato trzeba być człowiekiem nawskroś nowoczesnym, narodowym i społecznym jednocześnie.

Prześladowani duchowni katolicycy w Niemczech powinni sparafrazować słowa Ewangelji i powiedzieć o hitlerowcach: „Panie, odpuść im, albowiem nie wiedzą, co czynić.“ Bo cóż mają czynić niemieccy narodowi socjaliści? W życie swego narodu wnieśli nowy prąd, potężne dążenie do jedności narodowej i idea-

lizmu dziejowego. Szli pchani podmuchem nowych czasów, zgodni z instynktem, który kazał im wysoko podnosić wartości nadzmysłowe, mityczne, budować na jedności duchowej narodu, na wspólnym heroicznym wysiłku. I tak, chcąc czy nie chcąc, zbudzili dążenie do celów wyższych, zbudzili ducha religijnego. Dla liberała, socjalisty czy junkra podział Niemców na dwa wielkie obozy duchowe, na dwa style życia wewnętrznego, na dwie koncepcje boskości nie był tragedją. Dla narodowego socjalisty musiał się stać tragedją.

Krzywda dziejów Niemiec.... Tak, bezwątpienia, protenstanzizm był krzywdą dla Niemiec. Dla Anglii, Holandji czy Szwecji był źródłem parowiekowej wielkiej kariery politycznej, bo stworzył religję imperjalizmu. Dla Niemiec był tylko przekleństwem. Dał im rzeź wojny trzydziestoletniej, dał im rozbitcie wewnętrzne, dał odrębność Austrii, krótkotrwałą karierę Prus i — „brunatny *Kulturkampf*“. Gdyby hitlerowcy mogli być zupełnie konsekwentni powinni by niszczyć pomniki Lutera, jego dzieła spalić na stosie wraz z Remarque'iem i Heinem i wyprzeć go się, jak się wyparli Hohenzollernów.

Nie, nie w spadku po kapitalizmie, nie w niezdecydowaniu programowym narodowego socjalizmu, nie w zachowaniu podstaw ustroju kapitalistycznego tkwi tragedia Niemiec. „*Das Leid der deutschen Geschichte*“, to jest właśnie to, że „gdzie ramię w ramię maszeruje dwóch Niemców, tam idzie katolik i protestant“.

I rób tu jedność takiego narodu! Nawrócić wszyst-

kich katolików na protestantyzm? Nonsens! Protestantyzm nie ma dziś żadnej siły atrakcyjnej ku temu. Nawrócić wszystkich protestantów na katolicyzm? A więc większość zmusić do przyjęcia religii mniejszości, religii którą zwalczała przez pół tysiąca lat? Na to trzeba aby hitlerowcy wszyscy byli wyłącznie katolikami i to fanatycznymi katolikami. Więc zastąpić religję ideologią partyjną? Nie. To niemożliwe, nie wytrzyma ideologia konkurencji, nie zadowoli wszystkich potrzeb duchowych człowieka XX-go wieku. Więc stworzyć nową religję? To próbują niektórzy. Religja starogermańska, religja krwi, rasy, miecza? Ależ panowie, kto w to naprawdę, tak na śmierć, uwierzy? Kto w troskach życia zwróci się do operowego Wotana? Kto w chwili zwątpienia podniesie wzrok ku podobiznie Fraji? Czy znajdą się dewotki, całujące miecz Zygryda? Religji nie można wymyślić, to trudno!

. . . . .

...albowiem nie wiedzą, co czynić.

Rodaku drogi! wybaczyć cię do siebie zwrócę ciem osmieszonym imieniem — Polaku-katoliku, pomyśl na chwilę o Twoim sąsiedzie z zachodu i pozwól sobie na tę małą satysfakcję: pomyśl o nim z litością.

Ale niech cię ta litość nie wzbija za bardzo w dumę. Prawda, że nasz naród nie jest podzielony na dwie niemal równe siły swoją częścią — katolicką i protestancką. Prawda, że próby wszelkich sekt i neo-pogańskich teorii nie mają widoków powodzenia. Prawda, że młode pokolenie polskie potrafi w jedną całość

złąć swoje narodowe i społeczne stanowisko z totalnie religijnym poglądem na świat, ale...

Ale, czyś był kiedy drogi rodaku, za Bugiem, Sanem, Niemnem? Czyś widział w jednej wiosce kopułki romantycznej cerkiewki, a w drugiej jasny barokowy kościółek? Czyś widział na rozstaju dróg dwa schylone wiejskie krzyże — jeden prosty z Pasją, osłoniętą daszkiem, a drugi skośnie przekreślony niżej krótszym ramieniem, z Pasją podwiązaną białą chusteczką?

Jeżeliś widział, to pomyśl chwilę. Wyobraź sobie, że ogarnął Polskę potężny ruch, obejmujący całe nasze życie, że w tym ruchu jest jakiś Kierownik Młodzieży Rzeczypospolitej. Jakby on to napisał:

„Myśl, aby wprowadzić katolickich i prawosławnych kapelanów młodzieży”...

Kto nie chce machnąć ręką na całe Kresy Wschodnie, ten musi zrozumieć, że jedno z największych, najtrudniejszych i najważniejszych zagadnień Polski nosi imię: różnice wyznaniowe.

## S O W I E T S K A J A   N A C J A

Asumpt do napisania tego feljetonu dał mi pewien publicysta wileński, który z oburzeniem zaatakował mnie za to, że w jednym z poprzednich feljetonów wskazywałem przykład *Hitlerjugend*. Jak może „katolik, narodowiec i antymason”, zapytywał ów publicysta, widzieć coś słusznego w idei *Hitlerjugend*?

W ten sposób zaatakowany nie mam innego wyj-

ścia, jak tylko dla równowagi wywołać nowe zgorzenie: Napijemy pozytywny feljeton o bolszewikach.

Klaus Mehnert, jedyny bodaj Europejczyk, który mieszkał wśród komsomolców w kolektywach studenckich i pracował w kołchozie, napisał w swej książce (wydanej przed przewrotem hitlerowskim):

„W Niemczech prowadzimy walkę, która wielu ludziom wydaje się beznadziejna — walkę o to, aby każdy obywatel był świadom, iż jest odpowiedzialnym ogniwem całości, pracownikiem i bojownikiem w wielkiej armji narodowej. Świadomość ta stała się w Rosji, wskutek rewolucji, udziałem milionów.”

Jest tylko jedna droga wzbudzenia w masach tej świadomości, droga mimo wszystko zawsze zmierzająca do unarodowienia społeczeństwa. Jest to droga wciągnięcia tych mas w walkę. Najłagodniejszą formą takiej walki jest walka partyj o władzę w ramach legalnych. Forma to najdłuższa i skuteczna tylko wtedy, gdy obejmuje naprawdę szerokie masy. Ostrzejsza znacznie forma tej samej drogi to wojna narodowa, najostrzejsza, najkrótsza i najskuteczniejsza — to rewolucja.

Tenże sam Klaus Mehnert opisując pewne zebranie w kołchozie na wsi sowieckiej, podaje, że przewodniczący na poparcie swych wywodów, cytował zdanie Lenina: „Kto nie pracuje, nie powinien również jeść”. Lenina? A myśmy naiwnie przez blisko dwa tysiące lat wierzyli, że to powiedział pierwszy—święty Paweł.

Ta cytata z Lenina rzuca wąski ale jaskrawy snop światła na jedną sprawę. Proszę mi powiedzieć dlaczego rewolucje społeczne i ruchy reform społecznych występują tylko w krajach cywilizacji chrześcijańskiej?

Przewroty społeczne i reformy społeczne zdarzają się i w krajach innych cywilizacji, ale są to zawsze reformy od góry, od dołu jako ruchy reformy czy fermentu działają poza cywilizacją chrześcijańską tylko ruchy czysto religijne. W Chinach w 1065 nastąpił przewrót gospodarczy, który wprowadził gospodarkę planową i ustrój niezmiernie podobny do ustroju Z. S. R. R. Ale ustrój ten wprowadził mandaryn Wang-Nam-Szea z rozkazu cesarza, przy współudziale uczonych, bez woli społeczeństwa. Podobnie i przewrót japoński w drugiej połowie zeszłego stulecia był „oktrojowany” przez Mikada. Ruchy społeczne natomiast na wschodzie, to był Buddyzm czy Islam.

Jaka jest tego przyczyna?

„Łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego” — mówi Ewangelja.

„Kto nie chce pracować niech nie je” — mówi święty Paweł. „Rabunkiem jest nie dzielić się swoim dobrem z ubogimi” — mówi św. Jan Chryzostom. „Wolno będącemu w skrajnej potrzebie wziąć czyto jawnie czy skrycie rzecz, którą inny ma w nadmiarze” — mówi św. Tomasz z Akwinu.

Tylko chrześcijanie mają w sobie twórczy niepokój, ów głód sprawiedliwości społecznej. Głód sprawiedliwości społecznej musi powstać w człowieku, który codziennie powtarza „Przyjdź Królestwo Twoje”.

I dlatego, chociaż jeszcze żadna rewolucja nie zaspokoila tego głodu, powstają w chrześcijaństwie coraz to nowe ruchy społeczne, wysuwające do władzy

nieraz właśnie wrogów chrześcijaństwa, a przecież wynosi ich ku górze na swoich barkach ta bardzo chrześcijańska namiętność do sprawiedliwości społecznej.

Ludzie niechrześcijańskich cywilizacji patrzą na sprawy społeczne inaczej, nie szukają sprawiedliwości, lecz sprawności.

Znakomity sofista grecki Kallikles mówi:

„Prawo i zwyczaj ustanawiają zawsze ludzie słabi i tłum”. „Chcą niemi przestraszyć ludzi silniejszych, którzy posiadają moc stworzyć sobie więcej korzyści, niż oni, aby tego nie czynili, jakgdyby źle było i niesłusznie mieć więcej korzyści, niż inni”. „Kto chce żyć sprawiedliwie, winien wymagania swe podnieść możliwie najwyżej i nie ograniczać ich, lecz potrafić w sposób męski i rozumny zadowalać je w całej ich wielkości i spełniać każde swe życzenie”. „Dla mężów, którzy bądź to są z domu synami królów, bądź to z natury urodzili się, by zdobyć władztwo, księstwo i moc, cóżby mogło być haniebniejszego i gorszego nad skromność?” „Wygoda, beztroska i wolność, jeśli rozporządzają dostatecznymi środkami — oto cnota i szczęście; wszystko inne, to szych, przeciwna naturze umowa społeczna, gadanina i rzecz bez wartości.”

Czy to nie przypomina czegoś? Ale tak bardzo, wyjątkowo?

Przypomina ostatnią mowę ministra niemieckiego Leya wymierzoną przeciw katolickiej religii, zawierającą uzasadnienie ideologiczne narodowego socjalizmu. Ley opiera się na Nietzschem i niewątpliwie wierzy, że przemawia przez niego duch germańskich jasnowłosych ludzi. Nie, panie Ley! To mówi przez pana duch Kalliklesa! takiego czarnego, kędzierzawego, wrzaskliwego Welscha z nad morza Śródziemnego.

I hitlerowców i bolszewików wyniósł ku górze głód

sprawiedliwości społecznej mas. I jedni i drudzy teraz go tępią.

Na wiosnę roku zeszłego, z okazji powrotu ocalałych z wyprawy „Czeluskiń”, użył Radek w „Izwiestjach” wyrażenia „Sowietskaja nacja” — naród sowiecki. (Teraz już się tam pisze i o ojezyźnie sowieckiej i o honorze i wielu innych rzeczach).

Naród sowiecki to nie jest zmiana szyldu, pod którą wstydliwie ukrywają się Rosjanie. Naród sowiecki, to jest lud rosyjski + przeszło sto mniejszych ludów Z. S. R. R. (Ukraińcy, Gruzini, Białorusini, Tatarzy, Turkmeni, Ormianie, Mongołowie, Osjaci, Osetyńcy, Karelowie i t. d. i t. d.) + doktryna leninowska, to jest całkiem nowy naród, o różnych narzeczach, ale wspólnym sposobie myślenia.

Chrześcijański głód sprawiedliwości społecznej... rewolucje... unarodowienie mas... naród sowiecki...

W naszej epoce wszystko zmierza jakby siłą fatalną do jednego celu — do narodu jako dominującej formy życia ludzkiego.

## EUROPA I BARBARZYŃCY

— To wszystko faszyzm! Całą Europę ogarnia faszyzm. I zniszczy ją...

— Co pan nazywa faszyzmem w tym sensie?

— Faszyzm, to walka z wolnością jednostki, z ustrojem parlamentarnym, z wolnością słowa i poglądów, z wiarą w naukę, z dorobkiem ekonomii, praca, etyki wyzwolonej, z humanitaryzmem, z kulturą,

z postęmem, z tolerancją, z braterstwem narodów, z wolną konkurencją, z godziwym nawet zyskiem, z całym ustrojem gospodarczym, z całym dorobkiem kulturalnym ostatnich paru wieków, ze wszystkimi zdobyczami politycznymi człowieka.

— Do tej pory wymienia pan wyłącznie negatywne cechy.

— Bo też faszyzm, jako prąd międzynarodowy nie ma żadnych cech pozytywnych, albo w każdym kraju inne, w każdym sprzeczne ze sobą, poza bardzo ogólnymi wszędzie jednakowymi frazesami o wspólnocie narodowej, nowym porządku i sprawiedliwości.

— O to mi tylko chodziło. Faszyzmem nazywa pan bunt przeciw stylowi i tendencjom ubiegłych paru wieków. To jest wspólne wszystkim świeżym ruchom w Europie. Zrzucenie sztucznego, jednakowego jarzma, czy marazmu, potem już następuje w każdym kraju co innego...

— Faszyzmem nazywam, jeżeli panu o to idzie — barbarzyństwo. Barbarzyństwo, które od wewnątrz zalewa Europę i niszczy jedność europejską i europejską kulturę.

— Co pan nazywa europejską kulturą?

— Kulturę, która rozwinięta w Grecji i Rzymie, stała się dziedzictwem ludów europejskich i po wyjściu ich z mroków średniowiecza, zakwitła znowu wspaniale, tworząc Europę nowoczesną, postępową, demokratyczną, przodującą światu.

— Czyli, że właściwie Europa, według pana, powstała jako Europa dopiero w szesnastym wieku, a nawet może później?

— Oczywiście, choć kultura jej ma początki w świecie starożytnym.

— Otóż, pozwoli pan sobie powiedzieć, że ta Europa, to nie była żadna Europa, że prawdziwa Europa istniała i jeszcze szczątkowo istnieje, i teraz właściwie odradza się gwałtownie.

Grecja ani Rzym, to nie była Europa, tylko Morze Śródziemne, eksponowana część Europy, promieniująca poza Europą. Prawdziwa Europa zaczęła się po upadku Rzymu. Nas Polaków bardzo pośrednio obchodzi Rzym starożytny, to nie był nasz Rzym. Bardzo bezpośrednio natomiast obchodzi nas Rzym średniowieczny, nasz Rzym. Jedność europejska istniała bardzo silna przez długie wieki, oparta na chrześcijaństwie i poczuciu misji religijnej wobec reszty świata i na walce z tą resztą świata; na walce z Maurami, Saracenami, Tatarami, Turkami. W tej Europie Polska była czemś bardzo wielkim. Ta Europa, to Europa soborów i krucjat, walk o tjarę i djadem, Europa męczenników i rycerzy bez zmayı, inkwizycji i miłości ziemi.

— Ależ ona się skończyła przez Odrodzenie i nową epokę kulturalną.

— *Bluff!* Potem było tylko rozbijanie Europy, jako cywilizacji. Potem była epoka konsumowania dorobku średniowiecza. Zjadało się stary zapas, niszczyło więzi i prawdy.

— Ale tworzyło się piękne dzieła kultury.

— Co się stworzyło pięknego, to nie w walce ze średniowieczem, a w dalszym rozwijaniu jego treści. Renesans, a zwłaszcza już Reformacja, to był najazd

barbarzyńców na Europejczyków, najazd obcych kultur na kulturę chrześcijańskiej Europy.

— Więc wyrzeka się pan Rzymu starożytnego?

— Nie! Przyjmuję go w tem, co przekazał Europie średniowiecznej, co przekazał Polsce.

— A prawo rzymskie?

— Z prawem rzymskiem, jest, jak z ekonomją klasyczną. I jedno i drugie jest wspaniałą gimnastyką umysłową, imponuje zwartością i logicznością. Ale i jedno i drugie może mieć znaczenie tylko pomocnicze, nie decydujące. Nauka ekonomji i nauka prawa stały się dziś zbiorem martwych formułek, czemś znacznie gorszem od późnośredniowiecznej scholastyki. Niech pan trochę postudjuje ekonomję, albo prawo, znajdzie pan tam dziesiątki problemów żywo przypominających zagadnienie o ilości aniołów na końcu szpilki.

— Więc według pana barbarzyństwem jest?

— To, co pan nazywa Europą.

— A Europą?

— To, co pan nazywa barbarzyństwem.

## NIESPODZIEWANI KRÓLOWIE

Zmiana dynasty w Zjednoczonym Królestwie odkorkowała w całym świecie wstydliwie ukrywany rezerwoar tęsknot monarchistycznych. Co robi Edward? Co lubi Edward? Co mówi Edward? Co robił, lubił i mówił Jerzy? Jak się ubiera Edward, co jada Edward, co myśli Edward? Jaki jest ceremonjał na

dworze, co król może, czego nie może? Te zainteresowania są wspólne wszystkim. Popularne dzienniki wiedzą, że takie szczegóły zapewnią im poczytność na t. zw. ulicy. A czy i w nas samych nie odzywają się jakieś zabawne ciągoty? Przystrajamy je ironją i żartem, a jednak... Przypomina mi się, jak w pewnym skrajnie socjalistycznym tygodniku widziałem fotografie uroczystości z królami. Opatrzono były tytułem „Błazeństwa monarchiczne“, ale były.

Ciężki londyński „Times“ przez kilka dni podawał po kilka wielkich stron samych ilustracyj z życia starego i nowego króla. Przeglądałem te numery i uderzyło mnie dziwne podobieństwo do innego pisma podobnego formatu: „Völkischer Beobachter“. To tak żywo przypomina Hitlera, Hitlera w permanencji, Hitlera dziedzicznego. Ale wstrzymajmy na chwilę refleksje w tym kierunku.

Ze zmianą suwerena imperjum brytyjskiego zbiegła się ankieta, urządzana przez jedyny w Polsce jawny wyraz monarchistycznych tęsknot, mały miesięcznik „Głos Monarchy“. W ankiecie tej szereg ludzi tak sanatorów, jak i endeków, wypowiedziało się za monarchją i rozważało jakaby wprowadzić dynastję. Proponowano Czartoryskich, Bonapartych, Habsburgów.

Droży panowie! Weszliście do ogrodu zoologicznego i nie widzicie słonia.

Czemu?

Wróćmy do podobieństwa między „Times'em“ a „Völkischer Beobachter'em“. Między królem Edwardem VIII a Adolfem Hitlerem zachodzą dwie



poważne różnice: po pierwsze Edward dochodzi do władzy drogą dziedziczenia i wiadomo kto będzie jego następcą, a Adolf doszedł do władzy siłą i nie wiadomo kto będzie jego następcą; po drugie władza Edwarda jest bardzo ograniczona, władza Adolfa nieograniczona. Ale to są różnice czasowe. Adolf Hitler nie jest odpowiednikiem Edwarda VIII, lecz Wilhelma Zdobywcy. Wyjaśnijmy to bliżej.

Nie należy ulegać złudzeniu, że zasada dziedziczenia władzy królewskiej panowała zawsze w Europie. Wiele czasu i krwi nawet kosztowało ustalenie się jakiejś dynastji. Wodzowie plemion europejskich raz byli wybierani, raz dziedziczni, raz narzucani — z wodzów stopniowo powstawali królowie. Między wodzem a królem ta zachodziła różnica, że król był to wódz, który otrzymywał sankcję religijną w postaci namaszczenia, stawał się osobą jakby duchowną i nawet używał szat liturgicznych. Regularne dziedziczenie władzy przychodziło później.

Nie wiemy kto będzie następcą Hitlera, ale wiemy, że zasada dziedziczenia już zwyciężyła, że jeżeli nie padnie cały ustrój, to następcą będzie ktoś z otoczenia, ktoś wyznaczony, a nie wybrany przez powszechne głosowanie. Mamy zresztą przykład kraju, gdzie takie dziedziczenie już nastąpiło, gdzie są początki nowoczesnej dynastji. Myślę o Rosji sowieckiej. Stalin jest drugim monarchą z dynastji bolszewickiej. (Rozwój instytucji dynastji polegał na zwięźaniu się koła następców: najpierw byli niemi wszyscy wodzowie z otoczenia zmarłego, potem cały sze-

roko pojęty ród, potem rodzina, wreszcie jeden określony prawem syn).

Przeciwko tezie, że Hitler, Stalin, Mussolini, są monarchami, można wysunąć zarzut, że Mussolini ma nad sobą monarchę: Wiktora Emanuela II. Nie nas, starych Europejczyków, nabierać na takie argumenty! Były czasy, że wśród Franków oficjalną dynastją byli Merowingowie, a władza cała spoczywała w rękach majordomusa. Aż wreszcie majordomus Pepin sam został królem, tworząc nową dynastję. Nieco inaczej było w Japonji. Tam także oficjalnie panował mikado, a całą władzę miał nieoficjalny władca — szogun, ale skończyło się inaczej, bo mikado wkońcu przepędził szoguna. Takie współistnienie dwóch dynastji, z których stara ma charakter sakralny, a nowa władzę, to nic nowego.

Polska jakoś zawsze nie miała szczęścia do dynastji — brakowało następców. Panowali po sobie bracia, a synów brakowało. Tak się wykończyli Jagiellohowie, potem Wazowie, nie mówiąc o bezdzietnym Batorym. Smutna to dla kandydatów na nowoczesną grupę dynastyczną analogja — brak następców: bracia jeszczeby się znaleźli, ale synów królewskich brak.

Wiekii średnie i nowożytnie pod względem ustroju politycznego stanowią konsekwentną ewolucję. Co się w średniowieczu ustalało, to się potem rozstrajało. Władza królewska ustalała się coraz bardziej i regulowała, potem stopniowo ograniczała, aż niemal zanikła, władza przeszła na mieszczaństwo, które urządziło państwo tak, jak dawniej urządzało miasta — władzę złożyło nie w ręce króla, lecz rady, kierowa-

nej przez patrycjat miejski. To właśnie były republiki XIX-go wieku. Ale do udziału we władzy, do pełni praw politycznych dopuszczono masy. A masy nie miały przeszłości miejskiego patrycjatu, zato miały odwieczny nałóg monarchistyczny. Ten nałóg się wyładowuje równie dobrze w kulcie dla księcia Walji, jak i w kulcie dla Generalnego Sekretarza Partji Komunistycznej, w manifestacjach żałobnych ku czci Króla i ku czci Pierwszego Marszałka.

Czas zrozumieć, że republika i demokracja stały się antynomjami. Anachronizmem jest dziś monarchja arystokratyczna narówni z republiką demokratyczną. Żyjemy w epoce arystokratycznych republik i demokratycznych monarchij. Dlatego rozmówki o Bonapartych i Czartoryskich są komiczne. Poważniejsze są już o... Edwardach.

## DEMOKRACJA XX-go WIEKU

Co za dziwaczne nieporozumienie! Demokraci zwalczają demokrację, demokraci bronią straconych pozycji arystokracji.

- Gdzie, co, jak, kiedy?
- Dziś, wszędzie niemal.
- W jaki sposób?
- Zaraz, zaraz: co to jest demokracja?
- W sensie społecznym czy politycznym?
- I w jednym i w drugim.
- A więc demokracja w sensie społecznym, to są równe szanse wybicia się dla każdego, bez względu

na warunki, w jakich się urodził i równy stosunek prawa do wszystkich. Demokracja w sensie politycznym, to jest udział wszystkich w sprawach publicznych, wpływy wszystkich na rządy.

— Pięknie. A zatem najbardziej demokratyczne jest to państwo, w którym najrówniejsze są szanse każdego człowieka i w którym największa ilość ludzi ma wpływ na rządy.

— Niewątpliwie tak.

— A więc, czy bardziej demokratyczne jest państwo, w którym o dostępie do spraw publicznych decyduje pochodzenie, czy takie, w którym decyduje zamożność?

— Takie, w którym decyduje zamożność, ponieważ zamożność można uzyskać w krótkim przeciągu czasu, a na zatarcie różnic pochodzenia potrzeba szeregu pokoleń.

— Słusznie. A teraz, jakie państwo jest bardziej demokratyczne: takie, w którym o dostępie do spraw publicznych decyduje zamożność, czy takie, w którym decydują zdolności polityczne.

— Niewątpliwie takie, w którym decydują zdolności polityczne.

— Czy możesz mi dać przykład państwa opartego na zasadzie pochodzenia?

— Państwo stanowe, np. Polska szlachecka.

— Czy możesz mi teraz dać przykład państwa opartego na zasadzie zamożności?

— Państwo liberalne, np. Francja współczesna.

— A przykład państwa opartego na zdolnościach politycznych?

— Nie mogę wskazać takiego przykładu, to nie było dotąd realizowane.

— A ja ci wskażę typ takiego państwa.

— No?

— Konsekwentne państwo „totalne“.

— To niesłychane! To przeczy już oczywistości.

— Nie przeczy wcale. Tylko realizacja znajduje się dopiero w początkach. Zanim ci to całkowicie wyjaśnię, odpowiedz mi spokojnie jeszcze na parę pytań. Po pierwsze: Kto miał pełne prawa polityczne w państwie liberalnym?

— Ludzie zamożni, którzy mogli kształcić się wyżej, lub zdobyć znaczny majątek. Niezamożni mieli jednak prawa pośrednie: wybierali posłów, którzy kontrolowali rząd i mieli wpływ decydujący na jego powstawanie.

— A więc pełne prawa miała inteligencja i więksi właściciele ziemscy i miejscy. Masy chłopskie, robotnicze i drobnomieszczańskie miały wpływ tylko pośredni i najczęściej iluzoryczny. Czy tak?

— Tak.

— Co należałoby zrobić przedewszystkiem, aby rozszerzyć podstawę władzy na masy dotąd poza życiem państwowem stojące?

— Zorganizować je politycznie.

— Słusznie. Czy mogły tego dokonać partje polityczne w ustroju parlamentarnym?

— Teoretycznie mogłyby. Praktycznie nie robiły tego nawet partje ludowe czy „proletarjackie“.

— Czemu?

— Bo nie miały ani potrzeby, ani możliwości. Partje

mobilizowały ludzi do wyborów, a nie do udziału w rządach. Udział w rządzeniu mieli tylko działacze wyższego rzędu, rząd powstawał drogą kompromisu lub równowagi, a działał przez aparat urzędniczy.

— Jak należałoby zorganizować masy w ich obecnym stadium przygotowania politycznego, aby mogły brać udział w rządzeniu państwem?

— Należałoby stworzyć organizację mas jednocześnie wychowującą i rządzącą, organizację, któraby każdemu wyznaczała jakiś odcinek pracy publicznej, jakiś udział w rządzeniu narodem bezpośrednio i któraby dokonywała uszeregowania ludzi według ich zdolności, nie zamożności lub urodzenia.

— Czy takich organizacyj powinno być wiele, czy raczej jedna w państwie?

— Raczej jedna, gdyż przy istnieniu wielu, niemożliwy byłby podział pracy i władzy taki, aby każdy brał udział w rządzeniu.

— Czy taka organizacja byłaby celowa, gdyby oprzeć ją na zasadach wyborów wewnętrznych?

— Raczej nie. Wybory wówczas spełniają swoją rolę, jeżeli wybiera się spośród grona mniej więcej równej wartości ludzi. Tam, gdzie zachodzą duże różnice wartości ludzi, a tak zawsze jest w masowej organizacji, niemożliwe jest, aby ludzie gorsi wybrali najlepszych, oceniwszy ich urzędnie, zwłaszcza, gdy ci ludzie nie są do tego przygotowani długiemi doświadczeniami. Wybory w organizacji mas dawałyby tylko ogromną przewagę inteligentom, jako najbardziej obrotnym, a także zamożnym, jako najłatwiej mogącym sobie kaptować zwolenników.

— A zatem zgadzasz się, że w obecnym okresie demokracją jest dopuszczenie do udziału w rządach świeżych warstw, a jest to możliwe jedynie przez oparcie ustroju na masowej, hierarchicznej, monopolicznej organizacji rządzącej. Zgadzasz się więc, że najbardziej demokratyczne jest obecnie państwo totalne.

— Nic podobnego! Nie chcesz chyba twierdzić, że Polska pomajowa jest bardziej demokratyczna od przedmajowej.

— Nie, wcale nie chcę tego twierdzić. Polska obecna wcale nie jest państwem totalnym. Ustrój nasz nie opiera się na żadnym ruchu mas. Przeciwnie, jesteśmy najbardziej niedemokratycznym państwem cywilizowanym na świecie, bardziej niedemokratycznym niż Polska szlachecka. Tam bowiem do warstwy rządzącej można było wejść urodziwszy się synem szlachcica. W Polsce obecnej warstwa rządząca składa się z tysiąca, powiedzmy, ludzi i wejść do niej nie można w żaden sposób. Nawet syn legjonisty nie może zostać legjonistą. To jest warstwa zamknięta na klucz, a „klucz rzucony w morze“.

— Więc może Sowiety uważasz za państwo demokratyczne?

— Niewątpliwie, Sowiety są bardziej demokratyczne, niż Polska, bo tam partja rządząca ma kilka milionów ludzi. Ale i Sowiety są mało demokratyczne. Niezbyt wielki procent ludzi bierze tam udział w rządzeniu. Bardziej demokratyczne są Włochy, jeszcze bardziej Niemcy. Ale i to nie jest wystarczająca demokracja na dzisiejsze czasy. Te państwa jeszcze nie

są dość konsekwentnie totalne, nie obejmuje w nich współudział w rządzeniu całego narodu. Świat czeka na państwo prawdziwie demokratyczne — prawdziwie totalne.

## PRAWDY ZBYT PROSTE, ŻEBY JE MOŻNA BYŁO WYTŁUMACZYĆ

Jest taka, niewątpliwie najgłębsza i najciekawsza scena w filmie „Bengali“.

Porucznik Forsyth z 41 pułku lansjerów bengalskich stoi w ohydnej celi afgańskiej twierdzy. Z jednej strony jest towarzysz niedoli, storturowany wymyślnie porucznik Mc. Gregor. Z drugiej siedzi skulony, młody Stone, szczeniak, który się załamał przy torturach. Za oknem jest gniazdo afgańskich zbójników. I wtedy porucznik Forsyth zaczyna coś deklamować. Najpierw próbuje bezsensownego wierszyka, ale gdy to się nie podoba koledze, zapowiada, że zadeklamuje coś brutalniejszego. I zaczyna z lekkim sarkazmem, niby w pół kpiąc, mówić potwornie banalny i patryjotyczny wiersz „Angljo, moja Angljo!“ Mówi go od niechcienia, a jednak robi się nastrój dziwny. Impulsywny kolega zaczyna gwałtownie wyglądać przez okno, a szczeniak, który się załamał i usiłował sobie wytłumaczyć, że niema nic, dlaczego warto było znosić straszliwe tortury — zaczyna rozumieć. Ze szczególną nonszalancją wymawia porucznik Forsyth słowa refrenu — „England, my England“, ale właśnie te słowa przez kontrast

z nonszalancją nabierają niesłuchanej siły. Oficer kończy lekko sarkastyczną uwagą pod własnym adresem, ale wiemy, że to maska dżentelmena. Wiemy już, że porucznik Forsyth stanął wobec swoich prawd bezwzględnych. Zbyt to wielkie i święte dla niego prawdy, by się do nich przyznał kiedykolwiek całkowicie, a potrzeba aż tak wyjątkowych okoliczności, by je nawpół żartobliwie ukazał. Ale za te prawdy daje się torturować, dla nich walczy i naraża się na pewną śmierć.

Kiedy porucznik Forsyth mówi „*England, my England*“, to myśli, że jedyną wyższą uczelnią, zasługującą na tę nazwę, na świecie jest Oxford, że jedynym na świecie środowiskiem ludzi dobrze wychowanych jest pułk „Błękitnych“, że jedyną miarą postępowania człowieka na ziemi jest opinia angielskich dżentelmenów, że poza granicami Anglii wszystko jest podróżą i przygodą, a życie jest tylko tam.

Toteż kiedy szczeniak, który się załamał, chce wyrazić swoją rozpacz, nie mówi — „Ja z tem żyć dalej nie mogę“, ale mówi — „Ja tak nie mogę wrócić do Anglii“.

Prawdy bezwzględne... Człowiek, który nie ma prawd bezwzględnych, nie jest pełnym człowiekiem. Prawda bezwzględna, to jest to, o czym najbardziej niechętnie mówimy, co pokrywamy dowcipem, albo milczeniem. To jest to, co się mocno czuje, ale czego się nie da wyłumaczyć, do czego nie można przekonać nikogo, ale na co można kogoś — nawrócić. Czy masz jakąś prawdę bezwzględną? Zastanów się, czy jest coś takiego, dla czego łatwiej by ci było zginąć, niż

wygłosić o tem przemówienie. Jeżeli tak, właśnie to jest prawda bezwzględna.

W ostatniej instancji siła idei i dążeń nie mierzy się mądrością programu, ani logicznością doktryny, ani jasnością wykładu, ani umiejętnością propagandy, ani siłą fizyczną, ani sprawnością organizacji. Mierzy się ona tem, ilu ludzi gotowych jest zginąć dla tej idei. Na czym polega siła Kościoła? Czy nie na tem, że w kalendarzu przy większości imion znajduje się litera „m“? Gotowość na śmierć dla jakiejś idei decyduje o zwycięstwie tej idei. Można układać śliczne i logiczne programy, poparte świetną propagandą i wzorową organizacją i przepaść w pierwszym starciu na odległość z ludźmi, którzy mają kilkanaście mętnych haseł nazewnętrz, a wewnątrz jakąś dziwną wiarę i siłę, która im każe ponosić ofiary i zadawać ciosy bez względu na cały świat.

Najstraszliwszy banał jest banałem tak długo, jak długo mówi go ktoś, kto nie jest gotów poświęcić nic dla niego. Przestaje być banałem, gdy staje się artykułem najgłębszej wiary. I naodwrot, najgłębsza myśl jest frazesem, dopóki ktoś nie jest gotów dla niej się poświęcić. „Aby pozyskać prawdę nową — mówi Mickiewicz (co za banalny autor!) — trzeba pierwej pełnić prawdę dawną, stawać w jej obronie, złożyć dla niej ofiary“.

Kiedy porucznik Forsyth mówi wiersz o Anglii, to ma nietylko poczucie, że Anglija jest wartością bezwzględną, nierozumowaną i niedyskutowaną. Kiedy układa całe swoje postępowanie pod kątem tego, co go jako Anglika obowiązuje, czuje jeszcze coś inne-

go, — czuje swoją misję. Czuje nieskończoną wyższość wobec swego kata, Mohammeda Khana, który jest po azjatycku okrutny i jada źle przyrządzoną baranię. Ma poczucie, że jest członkiem nielicznej garści Anglików, którzy rządzą 300 milionami Indusów. Wierzy niewątpliwie niezłomnie, że największym szczęściem dla człowieka, który nie jest Anglikiem, to być podobnym do Anglika. Porucznik Forsyth ma poczucie misji swojej jako członka narodu, piastującego wielką misję dziejową. — Poczucie misji pozwala iść mnichowi samotnie w kraj ludożerców, masom rycerzy urządzać wyprawy krzyżowe, a „Księżciu Niezłomnemu” wytrwać do końca.

Poczucie narodowej misji... To daje sens życiu każdego człowieka w narodzie, to dzieli narody na wielkie i małe, to rodzi Żółkiewskich i Gustawów Adolfów, przynosi zwycięstwa Sankiulotom i umożliwia zamknięcie Portu Artura. Misja dziejowa, to może być Chrześcijaństwo, Reformacja, Wolność — Równość — Braterstwo, Cywilizacja, Socjalizm, Rаса. Ale to jest także wartość bezwzględna dla członków narodu w pewnej epoce. W myśl tej misji kształtuje się styl życia człowieka. Porucznik Forsyth niesie ze sobą ideał cywilizacji, kształtuje się na wzór żywego ekstraktu najwyższego gatunku tej cywilizacji, to jest angielskiego dżentelmena. Wątpię jednak, czy porucznik Forsyth zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę, czy o tem myśli, sądzą, że w każdym razie nie potrafiłby tego wyłożyć systematycznie, mimo swej niewątpliwej inteligencji. Byłby w takim samym kłopotcie, jak jego kolega, gdy usiłował załamane

szczeniakowi wyjaśnić, dlaczego trzeba być jednak bohaterem. Dlatego wołał nie tłumaczyć, wołał powiedzieć wierszyk. Bo są pewne prawdy, tak wielkie i tak przeraźliwie proste, że ich nie można wytłumaczyć, można je tylko w nagłym skrócie ukazać. Do takich prawd należy miłość Ojczyzny. (Przy tym zwrocie wstrząsnęło mnie: pisanie po polsku o „Miłości Ojczyzny” jest dla każdego szanującego swoje myśli, dziwnie przykre — ze słowa „Ojczyzna” zrobiono coś w rodzaju serwetki, a jednak tylko to słowo i tylko ten zwrot mogą być w tem miejscu użyte). Wiemy, że tak jest, choć nie potrafimy dać definicji ani motywacji, możemy tylko żądających wykładu odesłać na „Bengali”, żeby posłuchali, jak porucznik Forsyth deklamuje wiersz „Angljo, moja Angljo”, potem jak przetrzymał tortury, a zanim wysadził w powietrze wrogą fortecę. Kto zaś twierdzi, że to angielskie, a nie polskie, i obce nam, ten niech zastanowi się nad porównaniem „Bengali” z „Trylogią”.

## PÓŁCIEŻARÓWKA Z NIBORKU

Niemcy pobili nas w piłce nożnej 5:2. Niemcy są najlepsi w lekkiej atletyce, Niemcy wystawili największą ekipę do challenge'u 1934. Niemcy wygrywają w zawodach hippicznych\*). I to wszystko właśnie od przewrotu hitlerowskiego. I dawniej byli dobrzy w sporcie, ale przecież nie było tej lawiny zwycięstw

\*) Pisane przed Olimpiadą 1936 r., która jeszcze znakomicie umocniła mnie w wyrażonych tu poglądach.

we wszelkich możliwych konkurencjach. Czy to ma jakikolwiek związek? Czy może mieć coś wspólnego ustrój państwa, prąd polityczny dominujący w narodzi z wynikiem indywidualnym jakiegoś sportowca? Czy może mieć?

Wątpiłem o tem do dnia wielkiego meczu Niemcy—Polska w Warszawie. Nie chodzi mi o sam mecz, lecz o co innego. Zjechało do Warszawy spowodu tych zawodów 10 tysięcy Niemców. Jechali koleją i autobusami, rozbijali się po mieście, zwłaszcza korzystając z egzotycznych konnych „*droschken*“. I tego właśnie dnia stanąłem u progu tajemnicy stosunku między polityką i rekordem sportowym.

Zauważyłem na jednej z ulic Warszawy małe półciężarowe auto. Było ciemnozielone z białym napisem. Na platformie stało kilkanaście zwykłych giętych krzeseł. Biały napis brzmiał:

*Georg Reschke*

*Kolonialwaren*

*En gros u. en detail*

*Neidenburg O/Pr.*

W Warszawie będziemy bić się z Polakami! Więc pan kupiec kolonialny z Niborku (właśnie z Mazurów) stawia kilkanaście krzesełek na swoją półciężarówkę i jedzie blisko dwieście kilometrów z trzesącymi się przykro na stołkach rodakami do Warszawy — oglądać niechybne zwycięstwo. *Wir sind erwacht!* Zbudzone Niemcy interesują się każdym wyczynem swoich synów. Zbudzony Niemiec trzęsie się dwieście kilometrów na mecz z Polakami. Dziesięć tysięcy zbudzonych Niemców jedzie, musi jechać do Warszawy.

Wszystko jest nowe, wszystko jest ważne, wszystko jest — *Heil Hitler!* A ty, łobuzie, spróbuj nie pobić rekordu. Wstydybys przyniósł starej ojczyźnie i młodemu ruchowi narodowo-socjalistycznemu. *Wir sind erwacht!*

Człowiek, a nawet rekordzista, nie jest maszyną. Od względów technicznych ważniejszą rolę w jego działaniu grają pobudki psychiczne. W państwie kapitalistycznym każdy człowiek robi coś dla siebie lub — dla ludzkości. Rekord własny, rekord światowy... W państwie narodowym wszystko jest ważne. Polityka nie pływa jak korek po wodzie tłustej od nafty, ale przenika wszystko jak powietrze. Wszystko jest ważne, wszystko ma znaczenie dla narodu, wszystko odczuwa każdy członek narodu. Organizacja państwowa może dać drużynie sportowej wszelkie ulgi i zaopatrzenie. Ale współczujące tłumy, doping zwycięstwa, namiętne zainteresowanie — dać może tylko instynkt narodu. A państwo narodowe wie, że nieraz ważniejszą rzeczą od wysokich wpływów podatkowych i od technicznych ulepszeń w zaopatrzeniu armji jest, by dziesięć tysięcy ludzi pojechało do obcej stolicy i w poczuciu swej zbiorowej siły śpiewało na boisku swój hymn narodowy.

Więc jednak związek między wyczynem sportowca a polityką jest bardzo silny i bardzo prosty.

Półciężarówka z Niborku wali do Warszawy (granica Prus Wschodnich tak blisko), a Polacy przegrywają wszędzie. Bo czyż np. Wajsówna może być pełna twórczego entuzjazmu! \*)

\*) Pisane w okresie wywiezienia brata Wajsówny do Berezki.

## IN MEMORIAM — IN SPEM

Na jednym z przedmieść Poznania, na bramie cmentarza umieszczony jest napis:

*Byliśmy, czem jesteście,  
Będziecie, czem jesteśmy.*

Napis ten wywiera dziwnie bezpośrednie wrażenie. „Byliśmy, czem jesteście”. Każdy z nas w bardzo małej części jest tylko sobą, w bardzo wielkiej dalszym ciągiem tysięcy pokoleń, potomkiem tyłu... milionów ludzi (Proszę sobie ustawić postęp geometryczny  $2, 2^2, \dots, 2^{n-1}$ ), wychowankiem tyłu wieków i pojęć. Jest w tem tajemnica subtelna, ale nie tak groźna, jak w drugim zdaniu: „Będziecie, czem jesteśmy,” to znaczy czem? Kto chce ustalić swój stosunek do życia, musi naprzód ustalić swój stosunek do śmierci. Bo to jest zagadnienie przyszłości, a teraźniejszość każdy człowiek orjentuje wedle zamierzeń na przyszłość.

Ten geometryczny, zresztą nieregularny (tak zdaje się wyrażać się w matematyce nie wolno), postęp w przeszłość i jednocześnie w przyszłość, jaki przedstawia rodowód człowieka, to matematyczna tajemnica nacjonalizmu. Każdy znas powstał z milionów ludzi i z każdego prawie z nas powstaną miliony ludzi. Co za potworna odpowiedzialność za każdy uczynek, za rozwój każdego rysu charakteru! Niezależna jednostka?

„Byliśmy, czem jesteście”, mówi nacjonalizm. „Będziecie, czem jesteśmy”, mówi religja. To jest chyba

największy patos życia, dlatego, że nie jest patosem życia, ale śmierci.

Od stosunku do śmierci zależy bardzo wiele. Czyż może np. być dobrym żołnierzem ten, kto sądzi, że z chwilą jego śmierci kończy się świat? Jest taki problem w ostatnio przetłumaczonej na polski powieści Galsworthy'ego „Kwiat na pustyni”: młody człowiek, zresztą odważny, pod grozą pistoletu przeszedł na n'ahometanizm. Wszyscy mu to biorą za złe ze względu na *prestige* białego człowieka, ale on twierdzi, że nie miał powodu, by dać się zabić za formułki, w które nie wierzy i nie przyjął innych formułek, w które też nie wierzy. Jak nędznie przedstawia się przyszłość społeczeństw, których spójnią moralną jest tylko poczucie *prestige'u* a nie wiara w życie pozagrobowe.

Jest coś dziwnie radosnego w obchodzie Zaduszek. Ten element radosny nie powstaje stąd, że spotykają się tłumy, że się pali lampki, że zamiast do pracy, idzie się na cmentarz, że jest ruch i odmiana. Radość tkwi w instynktownym poczuciu dumy ze swego człowieczeństwa, dumy z tego, że się odwiedza swoich przodków i z tego, że nas będą odwiedzać potomkowie. Zwłaszcza w Warszawie Zaduszki mają cechę wyjątkowo niefrasobliwego zbratania się żywych z umarłymi. Rodzina każdego chrześcijanina rozszerza się w tym dniu gwałtownie, powiększa się o przodków, a raczej o ich pamięć.

Szczególnie element pokrzepiający ma święto umarłych dla katolika, a to ze względu na — czyściec. Przestańmy na chwilę wierzyć w czyściec, a życie



straci połowę swej radości, modlitwa za umarłych stanie się bezcelowa, a człowiek bezsilny. Dlatego nie tylko dzień Wszystkich Świętych, ale i dzień Zaduszek, dzień, którego nie znają protestanci, ma w sobie coś pocieszającego. *Credo in purgatorium!*

Każdy, nawet największy cynik, ma pewien ideał życia. Taksamo każdy ma pewien ideał śmierci, marzenie jakby chciał umrzeć, tylko się do tego wstydzi przyznać, bo ten ideał należy do najintymniejszych myśli człowieka.

A jednak jestem przekonany, że możnaby zmierzyć wartość narodów wedle dominującego wśród nich ideału śmierci. Jak wspaniałe świadectwo rycerskiej Polsce wystawił Żółkiewski swym testamentem!

A jest to zagadnienie ciekawe. Można sobie wyobrazić, jak się przedstawia ideał śmierci przeciętnego Japończyka, Anglika, Araba, Hiszpana, ale jak się przedstawia na przykład ideał śmierci przeciętnego ortodoksyjnego żyda?

A ideał grobu? Ja już mam ideał grobu. Powinno się ludzi chować w drewnianych trumnach wprost w ziemi, a na grobie zasiewać zboże.

U T O P J A

## SAGA RODU FORSISTÓW

Znacie oczywiście wszyscy tego olbrzyma-matołka wodogłowego i nieobliczalnego, który odbiera wam pracę, naprzykrza się ciągle, a niejednego już do mogiły wpędził (nie do grobu, bo nie było za co wymurować), zwanego popularnie kryzysem. Pytanie, skąd się ten potworek wziął, męczy wszystkich, a ludzie uczeni ułożyli już szereg teoryj. Wszystko to jednak jest nieciekawe i blade wobec prawdziwej historii romantycznych dziejów jego rodu, którą czuję się w obowiązku odsłonić:

W końcu średniowiecza w jednym z miast włoskich przyszła na świat wątła narazie dziewczynka o zmysłowych ustach, którą nazwano dziwacznie — Humanizm. Matka jej pochodziła ze starej rodziny, zdawna w Italji osiadłej, ojca nie znano, choć sąsiadki mówiły, że musiał to być żyd. Ale to niesprawdzona pogłoska, bo inni twierdzili, że Arab, i w dodatku filozof. Dziewczę byłoby żyło spokojnie, gdyby pewnego dnia nie spotkało na swej drodze starszego siwego pana o marzycielskich oczach, nazwiskiem Krzysztof Kolumb.

W bladych oczach rodaka ujrzała odbicie dalekich, obcych lądów, nieznanach tkanin, nowych potraw, tytoniu, węgla, ogromnych żagli i złota, mnóstwa złota. Czar ten uwiódł dziewczynę. Z dziwnego, chwilowym kaprysem, a może przeznaczeniem, spowodowanego skojarzenia urodził się chłopiec delikatny, wątły, złośliwy, ale przedziwnie piękny. Nadano mu imię — Luksus.

Gdzie był, jako dziecko, nie wiemy. Spotykamy go na dworze papieskim w Awinjonie, już jako młodzieńca. Potem odwiedza wszystkie większe dwory monarsze. Pod jego wpływem gotyckie ciemne grody zamieniają się w jasne, bogate zamki, pod jego wpływem powstają tłumy dworzan i — kurtyzan. Ale Luksus gardzi dworem i niespodziewanie dla nikogo nawiązuje trwałe romans z mieszczańką. Mieszczańka porzuca krosna, opuszcza swój mały warsztat, niszczy cechowe przepisy, puszcza się na spekulację.

Z tego to stała pewnego dnia (którego — nietylko roku, ale nawet wieku — trudno określić) przychodzi na świat najpotężniejszy przedstawiciel rodu, którego kronikę romantyczną tu podajemy. Nie wiemy nawet, czy urodził się w Madrycie, czy w Medjolanie, czy w Amsterdamie. Nadano mu imię — Kapitalizm.

Chłopak łączył w sobie wybitne cechy wszystkich przodków. Jak dziadek Kolumb miał żylkę awanturniczą i zamiłowanie do dalekich krajów i zamorskich podróży. Jak babka Humanizm niewierzący był i zmysłowy. Odziedziczył po ojcu siłę zdobywcą i namietność do zysków. Po matce mieszczańce wziął zamiłowanie do zachowania pozorów i realizm życiowy.

Jako młody człowiek jest wspaniały i imponujący. Kupuje, sprzedaje, niszczy, buduje. Dręczy ludzi pracą ponad siły, ale dobrze płaci. Pozbawia pracy jednych, daje ją drugim. Wszędzie jest sam, działa osobiście i wierzy we własne siły. W tym czasie — żeni się.

Pierwszy to z tego rodu, który nie szuka przelotnych związków, lecz w myśl rozsądku i prawa zawie-

ra dozgonny związek. I to nie z księżniczką, ani córką bogacza, ale z dziewczyną skromną, lecz wyjątkowo inteligentną, mającą opinię nieposzlakowanej cnoty. Z dziewczyną ubogą, lecz skrętną, imieniem Ekonomja. O jakżeż mądry był Kapitalizm! Żona stała się jego chodzącą chwałą. W każdej rozmowie, w każdym odezwaniu się powoływała się na jego zalety. Wywodziła nawet, iż pochodzi w prostej linii od samej Własności Prywatnej, że tylko na nim się opiera naród i państwo. A ludzie wierzyli pięknej pani.

Autorytet jej wzrósł jeszcze, gdy urodziła małżonkowi syna. Chłopak był krzykliwy i dziwnie czerwony na gębie, nazywał się Kolektywizm i był jakby doskonalszym wydaniem rodzica. Bardziej był popędliwy i bardziej konsekwentny, ale ojciec wiedział, że będzie przedłużeniem jego życia, że założy nowe fabryki, że jeszcze tysiące ludzi podporządkuje interesom rodziny, że choć wstydzi się trochę babki mieszczańki, lecz myśli tak, jak jego inteligentna matka. Słowem Kapitalizm mógł mieć spokojną starość.

I nagle uderzył cios: Pewnego dnia Ekonomja zbliżyła się do męża i ze zdenerwowaniem coś mu zaczęła szeptać.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Kapitalizm z przerażeniem.

— A jednak tak jest.

— To są kpiny. W moim wieku, to niemożliwe.

— Ale...

— Powiedz odrazu, kto?

— Ależ ty, kochanie.

— Nie kłam. Już wiem, to ten Wojna.  
— Ależ ja go nie znałam przed 1914, a to się daw-  
niej zaczęło.

— Więc Protekcjonizm. Tak, to napewno on!  
— Kiedy on jest notorycznie niezdolny.

Kapitalizm nie uwierzył, aż dopóki nie ujrzał dru-  
giego syna. Był to niewątpliwie jego syn. Wyglądał  
jak potworna karykatura ojca. Miał równie długie  
ręce i ruchliwy nos, ale wypukłe czoło i rozchylone  
usta głuptaka świadczyły o jego nienormalności.

I rósł, jakże szybko rósł! Sprawiono mu kołyskę  
z żelaznych praw i — rozsadził ją... Nie wiedziano,  
jak go ochrzcić. I wówczas matka z głębokim bólem  
nazwała go ironicznie Kryzysem. Tak już zostało.

Dziś obserwować można często, jak w jednym z po-  
kojów zgromadzona rodzina: i papa Kapitalizm,  
i mama Ekonomja, i brat Kolektywizm z przeraże-  
niem i troską patrzą na olbrzymiego półgłówka, któ-  
ry bawi się darcieciem na strzępki cennych dewiz, akcji,  
banknotów i papierów procentowych. Chwilami rozle-  
ga się po całym domu przenikliwy chichot zwyro-  
dnialca.

## W A T E R — C Y W I L I Z A C J A

— Jaka znów cywilizacja? Co Pan opowiada?  
— *Water* - cywilizacja.  
— Ale z jakiej epoki?  
— Druga połowa dziewiętnastego i pierwsza dwu-  
dziestego.

— Z jakiej racji *water*?  
— Cecha wyróżniająca.  
— Od czego?  
— Od innych epok.  
— Dlaczego?  
— Widzi Pan, są epoki, których nowym pierwiast-  
kiem jest nowy styl w sztuce, nowy ustrój społeczny,  
nowa moralność. Epoka, której koniec oglądamy,  
w tych dziedzinach, nie dała nic nowego, wielkiego.  
Burzyła. Burzyła ustrój społeczny minionych epok,  
resztę średniowiecznego stylu życia, chrześcijańską  
moralność, w to miejsce stawiała nowy czynnik, nowy  
ideał: udoskonalenie techniczne, wygodę. Symbol tej  
epoki to rozwinięte urządzenia asenizacyjne. Ubiegły  
wiek nie dał nowej naprawdy cywilizacji. Dał tylko  
jako rzecz nową rozwój *water* - cywilizacji.

— Przepraszam, czyż mógłby się Pan obyć bez  
współczesnego najniezbędniejszego komfortu?

— Zależy. Gdyby wszyscy mieszkali w dwudziesto-  
piętrowych drapaczach chmur, wjeżdżali do domu  
windami, otrzymywali pocztę pneumatyczną, przy-  
gotowane potrawy, korespondowali przy pomocy te-  
lewizji, nie mógłbym ja mieszkać w małym domku  
i obywać się bez telefonu i prysznicu. Ale jeżeliby  
wszyscy mieszkali w małych domach i nie używali  
ogromnych udogodnień, mógłbym się świetnie obyć  
nawet bez „niezbędnego” komfortu.

— Ależ to powrót do barbarzyństwa, ideał troglo-  
dytyzmu!

— Nie powiem. Człowiek używający elektrycznej  
maszynki do golenia, jeżdżący metrem i czytający raz

na dzień parogroszowy brukowiec nie wydaje mi się kulturalny. I naodwrot. Człowiek golący się brzytwą, chodzący pieszo i odkładający każdy grosz nie na własne auto, ale na swoją bibliotekę, kupujący nie elektryczne rozpylacze, ale rzadkie gatunki kwiatów do swojego ogródka, nie wydaje mi się wcale barbarzyńcą.

— To wszystko nie dowodzi, by żyć bez zdobycy techniki.

— Oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to, by dostosować rozmiar tabakiery do wielkości nosa. W narodach bardzo bogatych, w krajach, gdzie są ogromne bogactwa naturalne, w epokach, kiedy te narody są bankierami świata, *water-cywilizacja*, nawet duża, jest dopuszczalna, jest przyjemna. Ale w narodach ubogich, w krajach o średnich zasobach naturalnych, o małej wytwórczości towarów pierwszej potrzeby, a zwłaszcza w krajach, gdzie większa część ludności żyje w warunkach już nie prymitywnych, ale wprost wycieńczających rasę, w epokach, kiedy każdy broni tego co może, a trudno mu marzyć o podbijaniu gospodarczem innych, nie może państwo i pewna część ludności wydawać zbyt wiele na *water-cywilizację*.

— Więc jak dojść do tej skromności?

— Przedewszystkiem, nie rozbudowywać *water-cywilizacji* tam, gdzie jest już na minimalnym, skromnym poziomie. A gdzie jest jej za wiele, zdobyć się na heroizm likwidacji. Gdzie jedni nie mają co jeść, inni nie mogą żyć zbyt wygodnie.

— Nie możemy się wyrzec pewnego poziomu.

— Obawiam się, że będziemy zmuszeni. Je-

żeli teoria umowy społecznej ma gdziekolwiek sens, to właśnie w pojęciu „niezbędnych wygórowanych”.

— Pan ciągle mówi o warunkach nienormalnych.

— Właśnie mówię o normalnych, tych, które będą normalne w najbliższych dziesięcioleciach. Niema nic nienormalnego w człowieku chodzącym piechotą. Ale jest coś wysoce nienormalnego w człowieku, który nie ma na obiad, a używa *water-klozetu*.

— Więc jak pan określi istotę błędu naszej cywilizacji współczesnej?

— Słowami Kochanowskiego:

„Szelaż dam od wychodu, nie zjem jeno jaje,  
Drożej s . . . , niżli jadam — złe to obyczaję.”

## E P O K A B U C H A L T E R Ó W

Jaki jest najbardziej wysublimowany, jak to się mówi filozoficznie, przejaw kulturalny ginącego świata? Gdzie jest najbardziej specyficzna nauka, łącząca w sobie cechy późnego kapitalizmu i gospodarki planowej, wyzbytej celu ideowego, gospodarki poprostu ultra - etatystycznej? Co nadaje piętno epoce: ekonomja teoretyczna, statystyka, socjologja, wyższa matematyka? Nie! Tym najwybitniejszym przejawem jest niewątpliwie buchalterja.

Buchalterja rządzi przedsiębiorstwem prywatnem i państwowem, rządzi finansami państwa i polityką skarbową. Ba, buchalterja rządzi polityką. Czem jest ustrój reprezentacyjny? Buchalterja. Parlament jest

saldem głosowania powszechnego, rząd saldem głosowania w radzie ministrów.

Ale buchalterja współczesna daleka jest od pocziwego sposobu rachunków starego kupca sprzed stu lat. Dziś jest to sztuka niewielu tylko dostępna, a kto ją posiada, ma w ręku władców świata. „Znający bilanse“, to jak „Znający Pismo“ u żydów. Stąd nigdy nie wiadomo, co właściwie znaczy jaka pozycja w księgowości. Niedowierzenie, najczęściej słuszne i machinacje, to atmosfera dzisiejszej buchalterji politycznej. (Wybory!).

Nawet język nasz stał się językiem buchalterów. Mówimy ciągle o dodatnich i ujemnych pozycjach, o bilansie prac, o kredycie moralnym, o otwartym rachunku, o martwym kapitale społecznym, o obciążeniu czyjegoś konta brzydkim uczynkiem.

Zygmunt Krasiński nazwał swoje czasy epoką bankierów. Dziś to nie jest nawet już epoka bankierów, to jest epoka buchalterów. Jeden z pierwszych warunków do tworzenia nowej epoki, to wyzwolenie się spod władztwa buchalterji, tej dziś „surrealistycznej“, intelektualistycznej i nawskroś oderwanej od rzeczywistości sztuki. Buchalterja musi być skromną służką gospodarstwa narodowego, a nie tyranem, który zakazuje każdej radykalniejszej reformy, bo się stanie coś strasznego, coś się zawali, runie, pogrzebie pod gruzami, a wszystko z braku równowagi bilansowej, tej fikcyjnej równowagi dwóch atramentowych kolumnienek na błyszczącym papierze w różowe kratki.

Oddawna bożyszczce buchalterji budziło we mnie poważne wątpliwości, zwłaszcza odkąd się dowie-

działem, ile wielkie przedsiębiorstwa płacą wybitnym buchalterom - bilansistom (za co? co równoważy tak olbrzymie wydatki?). Ale ostatnio przeczytałem pozornie niewinna, suchą, stustronicową, ściśle ekonomiczną książeczkę dr. T. Bernadzikiewicza „Wyniki bilansowe a rzeczywistość przedsiębiorstw państwowych w Polsce“.

Autor opisuje najpierw teoretyczne zasady bilansów i spokojnie, rzeczowo, jako coś koniecznego i naturalnego omawia „zaciemnianie“ i „fałszowanie“ bilansów wogóle. Potem zajmuje się różnicami między państwowem a prywatnem przedsiębiorstwem. Prywatne fałszuje bilans na niekorzyść akcjonariuszy i skarbu, państwowe kieruje się bardziej skomplikowanymi pobudkami: Czasem chce wykazać, że właśnie jest potrzebne, czasem ma jaknajwięcej wpłacić do skarbu, czasem chce nabić skarb. Różnice między rzeczywistością a bilansem sięgają 99,8 procent całego bilansu (Etapy urzędu emigracyjnego w Gdańsku i Gdyni w r. 1929/30), a np. koleje zwiększyły fikcyjnie zysk w 1930/31 r. o 76 milionów złotych, t. j. blisko 30 procent. I to wszystko zgodnie z buchalterją.

Nie, to bożyszczce zupełnie nie budzi we mnie czci: pod jednym względem jest zanadto podobne do Światowida — ma wiele twarzy, nakrytych jednym kapelusikiem.

Szczególnie już źle jest, jeżeli gospodarka publiczna jest podporządkowana buchalterji współczesnej. Nie chodzi tylko o przykład. Chociaż, owszem, i o przykład też. Bo nie można wymagać uczciwości od innych, gdy się jej nie przestrzega we własnem

gospodarstwie. Ale przede wszystkim chodzi o to, że cała wartość gospodarki publicznej, a gospodarka publiczna musi się rozszerzyć na cały wielki przemysł, dopóki ten przemysł będzie istniał, polega na tem, by produkowała ona nie na zysk ale dla potrzeb publicznych. A już szczytem śmieszności jest, gdy przedsiębiorstwa państwowe produkują na zysk fikcyjny. Wstydzą się powiedzieć, że nie są kapitalistyczne. „Nie, — wołają — my jesteśmy najlepszą formą gospodarki kapitalistycznej, dajemy najlepsze zyski”. Bo gospodarką publiczną rządzi duch buchaltera, a pierwszym artykułem wiary buchaltera jest zysk, jego zaś misją kapłańską — interpretacja zysku, przedstawianie go w rozmiarach i kształtach odpowiadających potrzebom chwili.

W wydanej przed paru laty niemieckiej książce Ferdinanda Frieda „Koniec kapitalizmu” powiedziano, że świat jest chory na arytmomanję. Pytanie „Co?” i „Jak?” zostało zastąpione wszędzie w życiu przez pytanie „Ile?”.

Jeżeli arytmomanja jest zbiorowym obłędem, jak średniowieczna płasawica, to ma ona swoich przodowników i kapłanów, swoich tańczących derwiszów. Są to buchalterzy. Na końcu nosa trzyma taki kapłan długi drąg, na końcu drąga na poprzeczce przywieszona ma dwie porcelanowe lalki i tańczy. Nie wolno mu przeszkadzać, bo nastąpi nieszczęście: spadnie i rozbije się porcelanowa lalka, podobizna boga Kredytu i wtedy nastąpi koniec świata, a nas wszystkich zje czarny potwór barbarzyństwa.

## BAJKA Z KOMENTARZEM

Prawdziwa bajka o uczniu czarnoksiężnika jest zupełnie inna niż oficjalna, podawana dzieciom wersja. Prawdziwa bajka o uczniu czarnoksiężnika wygląda tak:

Uczeń czarnoksiężnika został sam, ponieważ czarnoksiężnik wyszedł na długo z domu. Czarnoksiężnik ten był wielkim filozofem i zostawił w bibliotece wiele cennych swych dzieł. Zostawił „Kontrakt społeczny”, „O obrocie ciał niebieskich”, „Rozprawę o Metodzie”, „Teorię krążenia bogactw”, „O duchu praw”, „Encyklopedję”, „Krytykę czystego rozumu” i wiele innych. Między temi zostawił też książeczkę „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów”. Otóż kiedy uczniowi nie chciało się nosić wody do kąpieli i postanowił użyć wiedzy swego mistrza, to właśnie otworzył tę książkę.

Uczeń czarnoksiężnika nie był filozofem, tylko praktycznym działaczem gospodarczym. Zamienił też szybko miotłę w żywego robota.

Miotła dawniej była pokornem i cichem narzędziem pracy i nazywała się rękodziełem. Uczeń czarnoksiężnika odmówił nad nią wiele formuł magicznych i dzięki ich sile miotła stała się samoistnym żywym tworem i nazwała się produkcją.

Narazie uczeń czarnoksiężnika był zachwycony. Miotła, teraz już zwana produkcją, działała wspaniale. Woda z wielką szybkością odbywała drogę ze studni do wanny. Uczeń czarnoksiężnika usiadł dumny w fotelu i zapalił cygaro. Ale wkrótce zorientował się, że

wody musi być już dosyć. Rzeczywiście, wanna była pełna. Wobec tego zwrócił się do miotły, żeby przestała. Ale miotła nie miała duszy ani mózgu, nie rozumiała nic, nie mogła się zatrzymać i poszła po nową porcję wody. Uczeń czarnoksiężnika zaczął za nią wołać, żeby dała spokój, że przecież chodzi o to, żeby człowiek mógł się wykapać, że ma służyć czarnoksiężnikowi, a nie tyranizować go. Ale to wszystko nic nie pomogło.

Wobec tego uczeń czarnoksiężnika w najwyższej rozpaczy chwycił siekierę, która nazywała się interwencją państwa i rąbnął nadchodzącą miotłę z góry. Miotła pękła wzdłuż, ale o zgrozo! zrobiły się z niej dwa roboty — jeden teraz nazywał się produkcją prywatną, a drugi państwową. Z wielkim pośpiechem, ścigając się, potracając i chlapiąc wodą z kubłów na piękne parkiety, zaczęły obie miotły znosić wodę i wlewać do pełnej wanny.

Uczeń czarnoksiężnika rozplakał się bezradnie. Ale kiedy zobaczył, że struga jego łez łączy się ze strugą wody, płynącą z łazienki, pobiegł do biblioteki. Tam chwycił wielki, czerwono oprawny tom, który był zbiorem odczynai na zaklęcia z „Bogactwa Narodów”, a nosił tytuł „Kapitał”. W tej książce znalazł tylko jedną radę: trzeba, żeby miotła zwana produkcją państwową zjadła miotłę zwaną produkcją prywatną. Tak też zrobił: podrażnił jedną miotłę, przytrzymał siłą drugą. Zjadły się i teraz zjednoczona miotła sprawnie i szybko nosiła wodę, wylewając ją na pełną łazienkę.

Biedny uczeń czarnoksiężnika wrócił do swojej

czerwonej książki i dopiero wtedy zobaczył dopisek końcowy: „I w ten sposób szybko nietylko łazienka, ale cały dom zmieni się w nowoczesny basen kąpielowy”. — „Ależ ja nie chcę basenu kąpielowego, ja chcę domu, w którym można mieszkać” — jęknął uczeń czarnoksiężnika i opadł bezsilnie na fotel. Napróżno szukał potem we wszystkich książkach mistrza, stojąc po kostki w wodzie. Nie znalazł żadnej rady, a czarnoksiężnik nie wracał. Cóż miał robić?

O tem co robił, doniosła ostatnio prasa zagraniczna:

„We Włoszech zakazano podczas tegorocznych zbiorów używania maszyn rolniczych, zobowiązując właścicieli do zatrudniania w ich miejsce bezrobotnych.”

„W Niemczech rząd dopłaca fabrykantom tytoniu za każdego przyjętego bezrobotnego pewną sumę dziennie, która jest nieco niższa od sumy zasiłku dla bezrobotnych. Skutkiem tego w fabrykach tytoniu przestano używać maszyn, aby zatrudnić więcej bezrobotnych, gdyż to przynosi większy dochód niż zyski, osiągnięte z racjonalizacji produkcji.”

Teraz już widzicie, co robi uczeń czarnoksiężnika: chwytając miotłę za trzonek i usiłuje ją opanować i zrobić z niej w ten sposób dawne posłuszne narzędzie. Ale miotła jest jeszcze ciągle silniejsza od niego i naszym zdaniem jest bardzo wątpliwe, czy ją opanuje. Widzimy tylko jeden skuteczny sposób, naprawdę rozwiązujący sprawę. Musi wrócić czarnoksiężnik, który nie jest praktycznym działaczem gospodarczym, tylko wielkim filozofem i politykiem i zamienić miotłę produkcji w coś innego.



Wiemy, że nie zdoła jej przywrócić postaci miotły-  
rękodzieła. Ale może zrobi z niej coś jeszcze poży-  
teczniejszego. Może poprostu siądzie na nią i będzie  
jeździć na zlot czarowników? W każdym razie opa-  
nuje ją i zrobi znowu posłusznym narzędziem czło-  
wieka.

*Moral:* Ostatnich lat kilkadziesiąt to okres zupeł-  
nego podporządkowania człowieka — produkcji. Jak  
niegdyś wszystko osłaniano racją stanu, tak potem  
rządził wszystkim interes produkcji. Ale czasy się  
zmieniły.

Miejsce kwestji robotniczej zajęła kwestja bezro-  
bocia. Nie idzie już o sprawiedliwy rozdział dochodu  
społecznego, ale o to, żeby masy ludzi miały pracę  
i— nawet nie chleb, ale kartofle choćby. Nie idzie  
o to, żeby wyrabiać jaknajwięcej i jaknajtaniej, tylko,  
żeby zatrudnić największą ilość ludzi.

W tem położeniu produkcja i jej interes zejść mu-  
szą na plan ostatni. Na pierwszy plan wrócić musi  
człowiek.

I to nie człowiek izolowany, szukający tylko zysku,  
ale człowiek — część wielkiego zespołu jednakowo  
czującego, myślącego i działającego — członek naro-  
du.

## SAPIENS, OECONOMICUS I PECCANS

Posłuchajcie historyjki o człowieku przeciętnym.  
Nazwijmy go Adamem z Kądbądź i uwierzmy, że  
żył gdzieś w czternastym wieku. Nie był ani zbyt zły,  
ani zbyt dobry, ani zbyt mądry, ani zbyt głupi, ani

zbyt lekkomyślny, ani zbyt przezorny, ani zbyt boga-  
ty, ani zbyt biedny.

Adam z Kądbądź bywał czasem w kłopotach finan-  
sowych. Co miał zrobić? Odpowiecie: oczywiście po-  
życzyć! To nie było takie proste. Pożyczyć drobną  
stosunkowo sumę bezprocentowo od sąsiada bogat-  
szego, czy kupca z sąsiedniego miasta nie było trud-  
no. Ale były to pożyczki niewielkie i krótkotermino-  
we. Jeżeli Adam znalazł chętnego, to szedł z nim do  
sekretarza sądu i rezultatem była taka powiedzmy  
zapiska:

*„It. nota, quod Adam de Conthbanthz debet solve-  
re dno Ade de Conthinonh dimidiam marcam grosso-  
rum ante festum Penthecostes vulgariter dosswyant-  
hek“.*

Ale jeżeli Adam był biedny i nie chciano mu poży-  
czyć, albo jeżeli chciał naraz mieć dużo pieniędzy,  
to co? Wówczas popełniał ciężką lekkomyślność  
i szedł pożyczyć u żyda. Ale to było trudne. Lichwia-  
rze mieszkali w wielkich miastach, a lichwiarzem był  
każdy, kto pożyczał na procent, to jest w sposób za-  
kazany i niemoralny. Do lichwiarza było daleko, ale  
poza to lichwiarz, wiedząc, jak trudno egzekwować,  
bo sądy nieprzechylnie patrzą na „debita apud iuda-  
eos“, pożyczał nie każdemu. Jeżeli zaś pożyczał, to na  
wysoki procent.

Toteż Adam z Kądbądź miał mało widoków na kre-  
dyt, był skrupowany w pożyczaniu. Ale nie odczuwał  
tego tak przykro, jak ty, drogi czytelniku. Był bo-  
wiem równie skrupowany w wydawaniu. Jeżeli śro-  
dniowieczna moralność, prawo, zwyczaj i władza

zwalczały kredyt, to zwalczały również i nadmierną konsumpcję. W tym celu wydawano *Leges sumptuariae*". Taka *lex* określała, jakich szat nosić np. niewolno (kosztownych, zagranicznych), jakich zabaw urządzić, jakimi pojazdami jeździć i t. d. Stąd też, jeżeli Adamowa żona chciała pędzić wystawny tryb życia, to było to nadzwyczaj trudne. Albo, jeżeli Adam chciał mieć kochankę, lub kochanki ( a nie należy sobie wyobrażać, wzorem tak licznych dziś, zakochanych w średniowieczu i zupełnie go nieznających, idealistycznych panienek i chłopców, by ludzie byli wówczas wiele od nas moralniejsi), to nie mógł się na nie zrujnować. Było to w tej epoce „nieprzyjęte”.

Adam z Kądbądź nie wiedział, że człowiek jest w sensie przyrodniczym zwierzęciem mądrym — *homo sapiens*. Nie wiedział również, że jest istotą gospodarczą — *homo economicus*. Wiedział natomiast, że jest istotą grzeszną — *homo peccans*. Dlatego uważał i ograniczenia kredytowe i konsumpcyjne za zupełnie naturalne i uzasadnione.

Adam z Kądbądź umarł już bardzo dawno temu i zostawił spadkobiercom mienie niezbyt powiększone, ale nieuszczuplone. Pozostawił natomiast liczne potomstwo „*quod vulgariter przypłód alias wnęki*”. Jeden z tych prawnuków, Adam Kądbąski, żył — umieścmy go w sercu epoki kapitalistycznej — w czasach, kiedy w Londynie napisane zostało najwspanialsze dzieło-pomnik epoki kapitalizmu — „Kapitał” Marxa.

Adam Kądbąski miał stosunkowo większy majątek

od Adama z Kądbądź i niestosunkowo większy kredyt, oraz niestosunkowo większe wydatki. Obracał dużymi sumami, przeważnie wypisanymi własnoręcznie na wekslach, czekach i obligacjach. Miał „swój” czcigodny bank i kochankę, której wybudował willę w stylu gotyckim z karjatydami u wejścia i sinksem w ogródku. Kupował dużo, bo go zmuszano — reklamą. Dzięki reklamie palii hawańskie cygara, był ubezpieczony na życie, kupował wiele powieści rocznie i prenumerował kilka pism, miał centralne ogrzewanie, abonament w operze, pijał cejlońską herbatę, szampana i Curaçao, kupował najnowsze kapelusze oraz tysiąc innych rzeczy, nie z potrzeby, ale z obowiązku człowieka „postępowego”.

Jego syn w r. 1932 zbankrutował i powiesił się (pieniędzy na rewolwer ani truciznę nie miał).

Dlaczego?

Dlatego, że kredyt oprocentowany jest trucizną, która musi zabić każde gospodarstwo.

Wygląda to napozór — dla współczesnego człowieka — nonsensownie, ale jest prawdą, zatuszowaną przez reklamę ekonomiczną. Podam na dowód sensacyjne obliczenie, którego dokonał w „Przeглядzie Powszechnym” przed rokiem p. Jan Wortman.

„Aby się przekonać — pisze on — czy jakakolwiek zasada, którą w życiu stosujemy, jest racjonalna lub błędna, to znaczy zgodna z układem naturalnym, lub sztuczna, należy przyjrzeć się jej przez szkło powiększające”. I bierze pod szkło kredyt oprocentowany:

Ktoś w dniu koronacji Chrobrego złożył 1 złoty

obecnej wartości na 6 procent rocznie. Obecnie złotówka ta z procentami wynosiłaby (Uwaga!)

665.901.354.473.290.995.712

złoty, mówiąc przystępniej 666 k w i n t y l j o n ó w złotych. Gdyby każdy z ludzi żyjących w Polsce od Chrobrego do dziś (licząc bardzo obficie — 640 milionów ludzi) zarobił w ciągu życia pracą wytwórczą nieprawdopodobną sumę miliona złotych, to i tak ogólny majątek złożony przez tych wszystkich ludzi wyniósłby tylko 640 tryljonów złotych, czyli byłby milion razy mniejszy od procentu z jednej jedynej złotówki.

Taka jest zasada kredytu procentowego.

„Bankructwo wytwórczości jest nieuniknione — konkluduje autor obliczenia — jeśli kredyt wyciąga z niej zyski większe, niż ona przynosi. Wprawdzie zjawisko to nie sprawdza się przy ograniczeniu czasu i pola obserwacji, ale przychodzi moment, w którym wybucha nagle, ponieważ z wzrostem czasu i pola rozwija się ono w stosunku geometrycznym”.

Oto spogląda na nas z tamtego świata Adam z Kąd-bądź i mówi: — Myśmy nie mówili, że jesteśmy mądrzy i ekonomiczni, mówiliśmy, że jesteśmy grzeszni. Rezultaty pokazały, że właśnie postępowaliśmy mądrze i ekonomicznie. Wyście mówili, że człowiek jest mądry i ekonomiczny. Okazało się, że jest grzeszny. Pycha, lenistwo i zazdrość stworzyły kredyt oprocentowany. Pycha, nieczystość, łakomstwo — reklamę. Nawróćcie do *leges sumptuariae* i do zakazu procentu, *quod vulgariter na pocuthe*.

## O R A I S O N F U N E B R E

— Panowie kierownicy losów państw, panowie kierownicy opinji i sumień, panowie kierownicy życia gospodarczego, panowie kierownicy świata myśli, panie, panowie!

Stoimy oto nad świeżą mogiłą jednego z najwybitniejszych bezsprzecznie ludzi naszej epoki, jednego z najbardziej rzadkich umysłów i bezkompromisowych charakterów, b. p. Aleksandra Saszy Stawiskiego.

Wielkiej miary człowiekiem był b. p. zmarły. Urodzony w prowincjonalnem mieście wschodnio-europejskiem, zmarł jako człowiek, o którym mówił świat cały, który kreował i obalał ministrów, rządził prasą, dawał instrukcje policji i wolnomularstwu, skupiał w swoim ręku był tysiące ludzi.

Dopóki żył, cieszył się uznaniem, czcią i lękiem współczesnych. I dopiero, gdy nie stało go między nami, jak szakale rzucili się pismacy i politycy, by szarpać jego cześć i pamięć.

Dlatego w tej mowie, czci b. p. zmarłego poświęconej, naruszyć muszę odwieczny zwyczaj i stanąć w obronie tego, który bronić się nie może, a na obronę ze wszech miar zasługuje.

Jakież - bo cel przyświecać powinien człowiekowi współczesnemu, zgodnie z tem, co mówi moralność wyzwolona, co mówi rozum i praktyka? Celem tym powinno być szczęście jednostek, a przez to szczęście ogółu. Droga do tego celu, to podnoszenie dobrobytu, otwieranie coraz to nowych warsztatów pracy, wydo-

bywanie drzemiących w ukryciu kapitałów, by szły w służbę społeczności, zapobieganie przykrościom życia pierwotnego, kłopotom, epidemjom, bezrobociu, wojnom, pracy w pocie czoła. Ten szczytny cel realizuje jednostka przez osiąganie coraz to większego zysku, przez wzbogacanie siebie i wzbogacanie innych drogą powiększania swych wydatków.

A jak postępował b. p. Aleksander Sasza Stawiskij? Postępował, jak wzorowy i światły obywatel świata, jak ideał ekonomistów i socjologów.

Przybył ze wschodu z jednym tylko kapitałem: z inicjatywą. I oto, jak Mojżesz uderzeniem laski powodował wytrysnięcie źródła ze skały, tak Stawiski dobywał z pod ziemi ukryte, nieproduktywne, gorsząco bezużyteczne kapitały. Drobne franki i dolary małowartościowych ekonomicznie ciuflaczy zamieniały się w jego rękę w karną armję sum, idących pochodem ku dobrobytowi ludzkości. Otwierał banki, fabryki, dzienniki, udzielał poparcia urzędnikom i uczonym, dygnitarzom i komisarzom, artystom i Wielkim Mistrzom.

Więc skąd ten krzyk niezrozumiałego oburzenia?

Byli ludzie, którzy na tem stracili. Byli, ale któż to taki? Drobni rentjerzy, którzy i tak żyć będą mogli, a którzy sami swych pieniędzy dla dobra świata użyć by nie umieli. A iluż zyskało? Ileż zyskał handel międzynarodowy, ekonomja przybranej ojczyzny, ileż zyskał postęp cywilizacji? Saldo życiowe b. p. zmarłego jest dodatnie: więcej zysku, niż strat, więcej organizacji, niż dezorganizacji.

Więc niezrozumiały i nierozumny jest ten cały

zgiełk, który zatrał ostatnie chwile życia Stawiskiemu. Z punktu widzenia gospodarczego, z punktu widzenia dobrobytu i postępu nic Mu zarzucić nie można, poza tem jednym, że jego upadek zdeorganizował częściowo podstawy kredytu. Ale to nie jest Jego wina, tylko tych, którzy wywołali panikę i tych, którzy dali jej się unieść.

Przyczynił się do podniesienia znaczenia Francji w świecie wymiany międzynarodowej. Mówicie, że zaszkodził kredytowi Francji? To nie jest prawda. W handlu niema romantyzmu, są żelazne konieczności. Więc skądże, skąd to potępienie? Czyżby echo irracjonalnych instynktów średniowiecznej ciemnoty ekonomicznej?

I oto, zamiast ratowania kredytu i finansów, zamiast położenia pieczęci milczenia na szkodliwym rozgłosie, nagły, nierozsądny, szkodliwy gospodarczo, złowrogi w swem barbarzyństwie tumult i panika, aresztowania i manifestacje.

Tak oto staje przed nami, w dawnej, potężnej postaci mąż światowego znaczenia, zasłużony i nierozumnie spotwarzony. Od nas ludzi światłych powinien przynajmniej doczekać się uznania i czci. Bo chyba my nie będziemy powodować się w rzeczach pieniądza frazesami o uczciwości, moralności, karze, honorze narodowym, zaufaniu, ustroju, kryzysie moralnym, wstydzie, oszustwie...

To też zwracam się do Was, Panie i Panowie, byście wraz ze mną powtórzyli:

Niech wzrasta dobrobyt świata, niech rodzą się i rozwijają ludzie tak rzutcy i silni, jak Stawiskij,

a bardziej równomiernie odeń w interesach szczęśliwi, niech im i nam życie lekkim będzie, a Temu tu oto ziemia.

## CZY WSPÓŁCZESNY CZŁOWIEK MA POCZUCIE HONORU?

Przed wielu laty zdarzył się we Lwowie następujący wypadek:

Profesor S., znany ze swej prawości i pobudliwości człowiek, był nietylko znakomitym prawnikiem, ale i właścicielem małego folwarczku. Z dochodów tego folwarczku musiał składać zeznanie podatkowe. Pewnego razu, po złożeniu zeznania, otrzymał pismo z urzędu skarbowego, podpisane przez naczelnika urzędu, a wyznaczające mu wyższy wymiar podatku, niżby wynikało z zeznania.

Nazajutrz po tym fakcie, w mieszkaniu naczelnika urzędu skarbowego zjawiło się dwóch czarno ubranych panów. Skłonili się gospodarzowi zlekka, nie podając ręki, i jeden z nich oświadczył:

— Przychodzimy w imieniu profesora S.

Poczem, nie dając przyjsć do słowa zaskoczonemu urzędnikowi, ciągnął dalej:

— Oto nasze adresy. Zastępców pańskich oczekiwać będziemy w godzinach, wskazanych na biletach.

Poczem obaj panowie skłonili się i wyszli.

Nazajutrz odbyło się pierwsze posiedzenie sekundantów.

— Mocodawca nasz, profesor S. — oświadczyli se-

kundanci strony wyzywającej — uczuł się obrażony zadaniem mu kłamu i insynuacją oszustwa, zawartą w piśmie, podpisanem przez klienta Panów, a wysłanem imieniem tutejszego urzędu skarbowego. Mocodawca nasz żąda satysfakcji z bronią w rękę.

Podobno do pojedynku nie doszło, natomiast urząd skarbowy przeprosił profesora i wymiar podatku obniżył do podanej przezeń sumy.

Powie ktoś, że prof. S. postąpił śmiesznie, i powie głupstwo. Profesor S. postąpił konsekwentnie. Niekonsekwentnie natomiast postępuje ten, kto ma podwójny honor: jeden dla użytku codziennego, drugi dla stosunków zawodowych i urzędowych. A tak jest. Nikt nie uważa za nic nieuczciwego podanie mniejszego dochodu dla urzędu podatkowego, nikt nie uważa za nic nieuczciwego, jeżeli kupiec świadomie przypisuje swemu towarowi cechy przesadzone, nikt nie uważa za nic nieuczciwego, jeżeli obrońca przed sądem ukrywa winę oskarżonego, a oskarżyciel ukrywa okoliczności łagodzące.

Współczesne życie oparte jest na negacji godności ludzkiej. Ta negacja panuje od lat paruset.

Państwo starożytne nie znało pojęcia godności ludzkiej. Była godność urzędu, czy stanowiska, godności ludzkiej nie rozumiano. Wprowadziło ją chrześcijaństwo. Jedną z największych zasług średniowiecza było stworzenie wysokiego poczucia godności ludzkiej. Prawda, że każdy stan miał inny zakres pojęcia godności, ale każdy człowiek miał godność chrześcijanina.

I to właśnie zostało starannie zburzone. Państwo

policyjne chrześcijanina zastąpiło poddanym. Demokracja poddanego mianowała obywatelem, a godność zamieniła na wolność i równość. Ale cóż z tego, kiedy równi obywatele nie mieli prawa do własnej godności, bo przecież większość zawsze ma rację, a jeżeli się ktoś z nią nie zgadza, to nie rozumie własnego dobra.

Ta edukacja wydała owoce: wolni i równi obywatele na pierwsze gwizdnięcie z wdziękiem starego podwórzowca wsuwają głowę w obrożę.

Czy wyobrażacie sobie, że rzeczą decydującą jest forma ustroju państwowego? Bo ja myślę, że nie: że decydujące są podstawy moralne stosunku obywatela do państwa. Czem się Pan czuje? Władza rządu czy demokratycznego, czy absolutnego sięga tak daleko, jak daleko w duszach ludzkich jest murk z napisem: „Non possumus”. Dobry ustrój jest taki, który odwołuje się do godności obywatela.

To też kto wie, czy nie najistotniejszą różnicą ustrojową między Rosją Sowiecką a Włochami faszystowskimi, czy Niemcami hitlerowskimi jest to, że dyktatorzy nacjonalistyczni stawiają wysoko godność członka narodu, godność Włocha, czy Niemca, podczas gdy w Rosji istnieje tylko użyteczność maszyny, a stosunek ideologów do człowieka jest taki, jak owego sierżanta austriackiego do rekruta, który, podając kolejność rzeczy na świecie, wymieniał najpierw miotłę, potem buty pana kapitana, potem rekruta. W Bolszewji też człowiek jest po maszynie i prądzie elektrycznym, jako dodatek.

Bardzo pilne zagadnienie w Polsce, to stworzenie

nie nowego systemu ekonomicznego, ale Ligi Reformy Obyczajów Gospodarczych. Mogłaby być imienia prof. S...

## ROZMOWY Z PROSTYM CZŁOWIEKIEM

Nie była to moja pierwsza rozmowa z Franciszkiem Szymczykiem, ale była chyba najciekawsza. Szymczyk miał może najwyżej ze trzydzieści lat. Pochodził z miasta, jako młody chłopak pracował w jakiejś fabryce. Ale potem, nie wiem właściwie dlaczego, osiadł na wsi i okazało się, że jest dobrym rymarzem.

Z miejskich czasów została mu jedna tylko manja czytania gazet. To też w dniu naszej rozmowy z pomiędzy chomątów i kawałków skóry wystawała zadrukowana płachta dziennika. Szymczyk wskazał na nią dratwą i zapytał:

— Panie, pan człowiek wykształcony, może pan jakoś wytłumaczy, jak to było z tym dyrektorem na Śląsku, co w tej fabryce wydatki inne były 80.000, a ten dyrektor brał 120.000, że też to nie zakazane?

— A któż miałby zakazywać. Przecież to była własność prywatna, nie publiczna.

— Też o to mi się rozchodzi, niby że mu nie zakazał właściciel.

— Właściciel?

— No, jak jest własność prywatna, to chyba jest właściciel, nie?

— Widzi pan, własność prywatna przybiera najrozmaitsze formy. Przy wysokim rozwoju produkcji

i zróżnicowanych bardzo formach ekonomicznych, przy ustroju, którego podstawą jest dochód z kapitału, obok własności prywatnej indywidualnej, mamy współwłasność. Przedsiębiorstwo może należeć do tysięcy akcjonariuszy, a jeżeli akcje, jak to bywa zazwyczaj, są na okaziciela, to do tysięcy akcjonariuszy płynnych, zmieniających się. Czasem należy przedsiębiorstwo do innego przedsiębiorstwa, albo do kilku innych przedsiębiorstw, czasem część udziałów należy do państwa, albo do takiej instytucji, w której państwo ma znaczny udział. Czasem decydującą rolę w przedsiębiorstwie odgrywa wierzyciel, zwykle zagraniczny.

— No, dobrze, ale gdzie w takich przypadkach jest właściciel prawdziwy?

— Jakto prawdziwy właściciel?

— Mnie się rozchodzi o prawdziwego właściciela, takiego, który zna swoją własność, który swego dobra pilnuje, takiego, co to ma odpowiedzialność za warsztat.

— Takiego może wcale nie być. Zastępują go urzędnicy z dyrekcji, którzy kierują przedsiębiorstwem, kontrolerzy z Rady Nadzorczej, którzy kontrolują przedsiębiorstwo. Udziałowcy nie mają w ten sposób żadnych kłopotów, tylko czerpią ewentualne zyski, chociaż teraz o zyski coraz trudniej. Nie potrzebują nawet przychodzić na walne zebrania, bo wielkiego akcjonariusza zastąpi jego delegowany urzędnik, a małego głos nic nie znaczy.

— Przepraszam, ale nie wszystko rozumiem. I może mi pan będzie tak dobry wytłumaczyć, jaka to jest

taka prawdziwa, wielka różnica między takim wielkiem przedsiębiorstwem, a takim porządkiem, jak u bolszewików, albo w monopolu. Bo to niby i tu wszystko urzędnicy i tam wszystko urzędnicy, i tu swego nie oglądasz i tam swego nie oglądasz...

— Najważniejszą niewątpliwie różnicą jest inicjatywa prywatna.

— Aha, rozumiem, to ten dyrektor ze Śląska, to on miał swoją inicjatywę prywatną.

— Ależ nie, nie rozumie pan. Inicjatywę prywatną ma właściciel.

— Jakżeż on ma tę inicjatywę, kiedy pan powiada, że to albo inne przedsiębiorstwo jest, to znaczy się, że właściciel to jest taki, co ma udział w innym przedsiębiorstwie, albo jeszcze taki, co ma udział w takim przedsiębiorstwie, co ma udział w takim drugim przedsiębiorstwie, co ma w tem trzecim udział, albo rząd ma część, to znaczy wszyscy, co w Polsce podatki płacą, albo nawet taki zagraniczny, co mu są winni. Mnie się widzi, że to taksamo tu, jak i w rządowym rządzą urzędnicy, tylko w rządowym, to są państwowi urzędnicy, a tutaj są prywatni urzędnicy.

— Ale są przecież jeszcze prywatni akcjonariusze.

— Gdzie oni tam są prawdziwi właściciele! Pan sam mówi, że mało znaczą, a nawet, żeby dużo, to przecie nie taki jest właściciel, co ma papierek, a jutro go sprzeda, tylko ten papierek jest właściciel. Prywatna własność to jest tak jak mój warsztat, albo jak ta zagroda Dąbrowskiego, tam. Ale taka cała, jak to mówią, wielka produkcja, to nie jest prywatna własność. Była dawniej prywatna czasem, a jakże,

sam pamiętam, jak w Łodzi Scheibler miał prywatną własność. A dzisiaj to w pół — rządowe, a pół — zagraniczne.

— Widzę, że pan kolektywista, pan jest przeciwnikiem prywatnej własności.

— Ani nawet! Co jabym robił bez prywatnej własności. Ale tak myślę, że ci kapitaliści, to zniszczyli prywatną własność. Prywatną własność, toby trzeba odbudować, a wie pan jak?

— No?

— Po mojemu, tobym pomagał tym wszystkim polskim prawdziwym właścicielom, a tych udawanych, tobym przesładował. I jeszczebym zakazał tych wszystkich papierów bezimiennych.

— Ależ panie, wszyscy ekonomiści uczą nas...

— Uczeni! Oni są od tego, że jak my zmienimy wszystko, to oni ludziom wytłumaczą, że tak się właśnie musiało stać.

— — — — —  
— Jak też to, panie, jest w gruncie rzeczy z tym kryzysem?

— Kryzys, jak to ustaliły największe powagi naukowe i w czym dziś cały świat intelektu jest już zgodny, nie nosi charakteru cyklicznego, lecz strukturalny, choć niektórzy ekonomiści jeszcze stoją na przeciwnym stanowisku.

— Bardzo pana szanownego przepraszam, ale nie rozumiem się na tem. Po mojemu, to jest tak: Na wsi bieda i w mieście bieda. A dlaczego? Na wsi mógłby tamtejszy człowiek więcej ziemi uprawiać, więcej

sprzedać i zarobić, a nie może. Dlaczego? Bo nikt nie chce kupić. W mieście możnaby więcej wszystkiego wyrabiać, byłoby więcej pracy, nie byłoby tyle bezrobotnych, ale nie można. Dlaczego? Bo nikt nie chce kupić. Na wsi człowiek nie może kupić nic miejskiego, bo nie może sprzedać swego. Coś jest, panie szanowny, takiego, co jakby mur między nimi stawia. Co to jest? Może mnie pan szanowny powie, jak to jest z tym pieniądzem?

— Pieniądz współczesny jest oparty na podstawie złotej. Jest to pieniądz kruszcowy.

— To znaczy, że ja mogę zamienić każdą złotówkę na złoto. Że za każdą złotówkę leży w kasie kawałek złota?

— Nie panie. Pieniądz kruszcowy jest to pieniądz posiadający stały stosunek do złota. Jednakże pokrycie złote w różnych krajach jest różne i zwykle wynosi niewielką część wartości emitowanych pieniędzy. System złoty oparty jest na stosunku do złota i na kredycie.

— Bo, przepraszam pana szanownego, po mojemu, to jest tak: więcej ludzi mogłoby robić, więcej sprzedawać, więcej kupować, a coś im przeszkadza. Możeby ten pieniądz zmienić?

— Zmiana pieniądza może się odbyć w sposób dwojaki. Można dokonać dewaluacji, albo zmiany systemu. Dewaluacja powoduje po chwilowem wzmożeniu obrotu, wzrost cen, które wracają do poprzedniej wysokości, to znaczy, że stosunek między wartością towaru a złotem nie zmienia się. Natomiast dewaluacja za cenę chwilowej ulgi w stosunkach eko-



nomicznych, przynosi nieobliczalne szkody, gdyż dezorganizuje rynek i uniemożliwia normalne funkcjonowanie życia gospodarczego. Droga więc dewaluacji jest w najwyższym stopniu niewskazana.

Co zaś do zmiany systemu, to musiałyby nastąpić oparcie pieniądza na jakiejś innej odmiennej od złota podstawie. Oparcie na innym kruszcu, jakoto srebro naprzykład, jest zupełnie niecelowe, gdyż ze wszystkich kruszców złoto wykazuje najmniejsze wahania wartości. Istniały coprawda projekty, wysuwane przez niektórych autorów, by oprzeć pieniądz na innej, niż kruszce podstawie. Jako taką podstawę wymieniano bądź to pracę ludzką, co okazało się niezmiernie trudne i wprost nierealne, bądź energję elektryczną, co jest niemożliwe ze względu na nieograniczoność ilościową tej wartości, bądź także na ilości ziemi w danem państwie, co jest niecelowe ze względu na różną wartość ziemi i jej niejednorodność, bądź też wreszcie na indeksach, to jest wskaźnikach cen, zestawionych z różnych artykułów pierwszej potrzeby. Ten ostatni system, pominiawszy już, że jako całkowicie niewypróbowany, byłby skokiem w ciemność w dziedzinie ekonomicznej, ponadto, opierając się na danych statystycznych, nastęrczałby każdemu rządowi ogromne możliwości utajonej inflacji przez sztuczne stwarzanie fałszywych danych o wartości towarów. Przedewszystkiem zaś, jak to już panu zaznaczyłem, byłby to niezwykle ryzykowny eksperyment, życie zaś gospodarcze nie znosi niewypróbowanych eksperymentów.

— Bardzo pana szanownego przepraszam. Ale ja

tu znowuż nie bardzo się na tem wszystkiem rozumiem. A po mojemu, to jest tak: Jedenby mógł więcej wyrabiać i więcej używać, drugi mógłby więcej hodować i więcej używać, ale jeden z drugim nie może wymienić bez pieniędzy, bo w dalekim kraju przy tyłu ludziach, to i niesposób, a sprzedać sobie nie mogą, bo jednemu brak pieniędzy i drugiemu brak pieniędzy. To jakby przed sklepem stał i przez szybę patrzył na jedzenie, a był głodny.

— Obraz niedoskonałości i błędów w dziedzinie wymiany i kredytu, przedstawiony przez pana jest naogół trafny. Ale wyjść z tej drogi można jedynie ciągłym i systematycznym wysiłkiem w ramach ustalonych wartości, a nie eksperymentem, który mógłby za sobą pociągnąć katastrofę życia ekonomicznego.

— Pan szanowny mówi eksperyment. A próbowanie jak długo ludzie mogą wytrzymać na głodno, to jest także przecie taki eksperyment. Bo, za przeproszeniem pańskim, po mojemu, to jest tak: wyżywićby się na tej naszej ziemi dało jeszcze dużo więcej narodu, niż go teraz jest. A przecie chyba co trzeci człowiek u nas nie pracuje i ciężarem jest innym. Mógłby każdy pracować i zarabiać, jakby nie było tej szyby między ludźmi, że to jeden z drugim chciałby się wymienić, a nie może, bo ręce o tę szybę tłucze. Możeby tak zmienić całkiem porządek z tym pieniądzem.

— Proszę pana, gospodarka wszystkich krajów cywilizowanych opiera się na pieniądzu kruszczowym. Dopiero gdyby gdzieś zaprowadzono system oparty na innej podstawie i gdyby ten system potwał lat kil-

kanaście, mogłaby ekonomja wypowiedzieć o nim swoje zdanie.

— A po mojemu, panie szanowny, to jest tak: jeden ma za dużo i drugi ma za dużo, a każdego ma za mało. Wszystko przez tę złotą szybę. A jakby ją tak kto stłukł?

## P R A W O   H A N D L O W E D L A   D Z I E C I   Z   O B R A Z K A M I

Dzisiejsza pedagogja nie męczy, jak wiadomo, uczniów wykuwaniem na pamięć niezrozumiałych i długich wywodów, przeciwnie, metoda współczesnej pedagogji, to heureza, poznanie przez samego ucznia zagadnienia i samodzielne wyciąganie wniosków. Pomocniczym środkiem przy takiej nauce, którym nader chętnie się dziś pedagogja posługuje, jest metoda obrazkowa w połączeniu z t. zw. pytaniami (*Questions, Fragen*).

Tą również metodą postanowiłem zapoznać P. T. czytelników z prawem handlowem.

Zaczynamy lekcję:

*Obrazek I: Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.*

— Co widzisz na tym obrazku?

— Widzę Sekretarjat Wydziału Rejestru Handlowego. Do sekretarza przychodzi jakiś pan i pyta się:

— Jaki jest adres spółki „Wardar“?

— Spółka „Wardar“ została zlikwidowana, w jej lokalu mieści się obecnie spółka „Darbrat“.

— Czy właścicielami spółki „Darbrat“ są ci sami bracia Darme, którzy byli właścicielami „Wardaru“?

— Niezupełnie. Udziałowcami „Darbratu“ są Bernard i Maurycy Darme i ich szwagier Stanisław Berg, a udziałowcami „Wardaru“ byli bracia Bernard, Maurycy i Józef Darme.

— To ja będę mógł od Bernarda i Maurycego odebrać to, co mi była winna spółka „Wardar“?

— Nie, nie będzie pan mógł odebrać, oni byli odpowiedzialni tylko swemi udziałami w tamtej spółce. Ale niech pan się nie martwi, oni są innym winni jeszcze z tytułu spółki, którą mieli przed „Wardarem“, a która nazywała się „Kant i S-ka“, tam byli udziałowcami Bernard i Maurycy Darme i ich ciotka Róża Kant.

— A co się dzieje z pieniędzmi, które oni wnoszą jako udział?

— Wcale ich niema. Te pieniądze zapisuje się tylko w akcie spółki.

— Dziękuję panu. Idę założyć spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

*Obrazek II: Weksel.*

— Co widzisz na tym obrazku?

— Z lewej strony widzę dom wierzyciela w czwartek. Do wierzyciela przychodzi dwóch kupców i jeden mówi:

— Proszę pana, przed rokiem wystawił pan A. Kufer weksle na tysiąc złotych, ja te weksle żyrowałem. One zostały zaprotestowane i pan wyegzekwował od Kufera 900 złotych. My obecnie przystępujemy razem z wieloma innymi do spółki i warunkiem spółki

jest, żeby żaden z wierzycieli nie miał długów. Więc ja przychodzę zapłacić pozostałe 100 zł. i odebrać weksle.

— Dobrze, podpisz pan to pokwitowanie, daj pan pieniądze, a oto proszę pańskie weksle.

Z prawej strony widzę dom wierzyciela w jeden z następnych wtorków. Do wierzyciela wchodzi bardzo wzburzony kupiec i mówi:

— Jestem Kufer, co pan zrobił najlepszego! Wydał pan temu łobuzowi za sto złotych weksle wartości tysiąca, a on mnie teraz licytuje za cały tysiąc z tych weksli.

— Nic panu nie poradzę. Weksel jest to zobowiązanie abstrakcyjne.

*Obrazek III: Spółka akcyjna.*

— Co widzisz na tym obrazku?

— Widzę trzy spółki akcyjne. Dziewięć dziesiątych akcji spółki „K. W. O.” ma spółka „W. Z. R.”. A spółka „W. Z. R.” jest winna spółce „S. O. S.” tyle, ile wynosi jej kapitał zakładowy i obrotowy razem. Prawie cały zaś portfel akcji „S. O. S.” stanowi własność spółki „K. W. D.”. Te trzy spółki wcale nie przynoszą zysku, tylko płacą wielkie pensje i tantiemy najwyższymi funkcjonariuszom.

*Obrazek IV: Upadłość.*

— Co widzisz na tym obrazku?

— Widzę dużo ludzi, którzy nic nie dostają z tego, co im się należy. Widzę kuratora, który bierze wynagrodzenie. Widzę syndyka tymczasowego, który bierze wynagrodzenie. Widzę sędziego-komisarza. Widzę także biednego upadłego i jego bardzo bogatą żonę.

A teraz kilka pytań.

*Pytanie:* — Skąd się wzięły starsze przepisy obowiązującego u nas prawa handlowego?

*Odpowiedź:* — Z kodeksu handlowego Napoleona, ułożonego we Francji na początku zeszłego wieku.

*Pytanie:* — Co to były za czasy?

*Odpowiedź:* — Były to czasy, kiedy we Francji wśród kupców jeszcze panowały tradycje wychowania przez długie wieki w ścisłej organizacji cechowej, kiedy wysoko cenił sobie kupiec godność swego stanu, a wielkie operacje oszukańcze nie były jeszcze rozpowszechnione.

*Pytanie:* — Skąd się wzięły nowsze przepisy obowiązującego u nas prawa handlowego?

*Odpowiedź:* — Były wzorowane na prawie zachodnio-europejskim, przede wszystkim niemieckim przedwojennym.

*Pytanie:* — jakie tam były stosunki?

*Odpowiedź:* — Był to okres uregulowanych warunków gospodarczych i ciągłego rozwoju gospodarki niemieckiej. Kupcy byli w ogromnej większości Niemcami, wychowanymi w surowym i bezwzględnie karzącym nieuczciwość reżymie pruskim.

*Pytanie:* — Czy u nas są takie stosunki jak we Francji za Napoleona, lub w Niemczech za Wilhelma?

*Odpowiedź:* — Nie, są zupełnie inne.

*Pytanie:* — Jakie są?

*Odpowiedź:* — Około 85 proc. handlu znajduje się w ręku żydów i to nietylko cywilizowanych, jak na Zachodzie, ale i prostych, kierujących się przepisami moralno-handlowymi Talmudu i nie mających wstrętu

do oszustwa, tam gdzie może ono przynieść zysk. Reszta kupców, to chociaż nie żydzi, ale od żydów się uczący i z nimi konkurujący, nie mający polskiej tradycji kupieckiej, Polacy. Warunki gospodarcze są chwiejne i płynne, a kapitałów brak.

*Pytanie:* — Czy były w dziejach kraje o podobnych stosunkach w handlu?

*Odpowiedź:* — Były.

*Pytanie:* — Co robiły, by poprawić takie stosunki?

*Odpowiedź:* — Wychowywały swoich handlowców przez odpowiednie prawo handlowe.

*Pytanie:* — Jakie to było prawo?

*Odpowiedź:* — Prawo to rozróżniało między solidnym kupcem, należącym do poważnego związku, a „partaczem” nie dającym gwarancji uczciwości. Związki solidnych kupców miały dużą władzę wewnętrzną i pewne przywileje. Prawo tępiło własność bezimienną i domagało się wyraźnego nazwiska właściciela. Domagało się także wyraźnej przyczyny każdego zobowiązania. Prawo to, zwłaszcza w stosunku do „partaczy”, zawierało surowe przepisy karne, których symbolem był pręgierz, gdzie wystawiano na widok publiczny kupców nieuczciwych. Prawo to zabraniało do pewnych gałęzi gospodarstwa dostępu przedsiębiorcom niepewnym, zwłaszcza żydom.

*Pytanie:* — Czy uważasz, że prawo w tym rodzaju byłoby odpowiedniejsze w Polsce w chwili obecnej od tego, które obowiązuje?

*Odpowiedz sam...*

## P R A C A . . . ?

Praca. Kult pracy. Świat pracy. Państwo pracy. Partja pracy. Wyścig pracy. Praca państwowo-twórcza. Praca narodowa. Praca wzbogaca. Prawdą a pracą. Praca...

Kult pracy, podniesienie pracy do jakiegoś największego ideału, jest znamieniem naszej współczesności. Praca była hasłem kapitalizmu, praca jest ideałem i miernikiem w państwie komunistycznym, pracę czczą socjaliści, a nawet pewne odłamy chrześcijańskich ruchów społecznych. Czy praca na to stanowisko naczelnego ideału zasługuje? Kto i dlaczego szerzy jej apoteozę?

Oczywiście, że każdy człowiek musi pracować. — „Kto nie chce pracować, niech nie je”, ale czy ten obowiązek jest celem życia, jednym z pierwszych ideałów? Wiemy wszyscy z katechizmu, że praca jest karą za grzech pierworodny i w głębi duszy każdy z nas dobrze to czuje. Obowiązek pracy wynika z ułomności natury ludzkiej, a św. Tomasz wyraźnie definiuje cztery cele, dla których ustanowiony został obowiązek pracy dla człowieka. Wszystkie one wynikają z niedoskonałości ludzkiej. Każdy rozumie, że musi pracować, a ten, kto przeżył dłuższy okres bezrobocia, wie, że nietylko ze względów materialnych jest on ciężki, ale, że rozkłada człowieka wewnątrznie. Ale taksamo, jak każdy musi pracować, musi też każdy naprzykład spać. Ze snu jednak nikt nie robi ideału społecznego. Co w tem tkwi takiego?

Są to, zdaje mi się, dwie różne rzeczy. Jedna, to

pomieszanie dwóch różnych pojęć i różnych zjawisk. Praca jest tylko niezbędnym warunkiem życia, przykrym warunkiem. Ale praca łączy się często, a powinna jaknajczęściej, z twórczością.

Twórczość nie jest takim prymitywnym warunkiem życia, jak praca. Nie jest przykrym obowiązkiem, jest także obowiązkiem, ale moralnym, wobec własnej duszy, jest obowiązkiem, którego granice ustala człowiek sam, zależnie od tego, jak ocenia siebie samego i cele swego życia. O wartości społeczeństwa, państwa, narodu nie stanowi suma pracy, jaką wykonywają jego członkowie, lecz suma twórczości, jaką z siebie wydobywają. Osiem godzin pracy jednego człowieka nie równa się ośmiu godzinom pracy innego, a różnicę sprawia właśnie — twórczość. Rzemieślnik-twórca może w osiem godzin zrobić dla narodu dziesięć razy więcej od urzędnika-maszyny, a dwóch ludzi jednego fachu może wykonać w tym samym czasie przy tym samym wysiłku dwa zupełnie niewspółmierne pod względem wartości dzieła.

A teraz druga sprawa: Czem jest kult pracy? Kultem niewolnictwa. Kult pracy powstał w świecie kapitalistycznym i jest tego świata produktem, podchwyconym przez myśl socjalistyczną wbrew potrzebom robotnika. W świecie, którym kierowali zza kulis kombinujący finansisci, posługując się olbrzymim aparatem zależnych dyrektorów, urzędników i robotników, hasło pracy było wygodne i cenne. Twórczość miała być dziedziną nielicznych, dysponujących kapitałem — inteligent i robotnik miał tylko pracować, miał być narzędziem wykonawczem. Żeby zaś

nie odczuwał swego poniżenia, powinien czcić swe niewolnictwo, uznawać je za ideał życiowy.

A w państwie komunistycznym? W państwie komunistycznym mamy też tylko wykonywaną robotę według planu narzuconego, też tylko pracują, nie tworzą. Tworzą wielkie biura państwowe, tworzą szczyty partji i rządu, doły mają czcić pracę, uważać ją za najwyższy ideał życiowy, mają tylko pracować. Czciście obywatele swoje niewolnictwo, bądźcie dumni, że nie tylko jecie i śpicie, ale i pracujecie!

Kulturze pracy oddał nieocenione usługi — kryzys.

Gdy miliony bezrobotnych gotowe są sprzedać się w każdą niewolę za półtora złotego dziennie, praca, zwykła funkcja życiowa, niezbędny obowiązek człowieka, staje się przedmiotem tęsknoty, ideałem, marzeniem człowieka głodnego i pozbawionego celu w życiu. Gdzietam myśleć o tworzeniu! Aby tylko móc robić cokolwiek, co pozwoli jeść i spać gdzieś.

Państwo pracy. Państwo kapitalizmu prywatnego czy publicznego. Państwo niewolnictwa. Czci ten ideał „szary człowieku”, wierz, że to dla ciebie będzie takie życie społeczne! „Szary” człowieku, czy jesteś głupim człowiekiem?

Nie państwo pracy, tylko państwo twórczości. Nie szary człowiek, tylko barwny człowiek. Nie człowiek pracy, tylko człowiek-twórca. Nie świat pracy, tylko świat twórczości. Nie praca narodowa, tylko twórczość narodowa. Nie kult pracy, tylko kultura twórczości.

Pracuje także koń, wół, pszczoła czy mrówka. Ale koń, wół, pszczoła i mrówka nie tworzą nowych war-

tości, nie wzbogacają tworamii swojej duszy dorobku pokoleń. One tylko pracują. Człowiek tem różni się od nich, że także tworzy. Tylko połączenie z pracą twórczości stworzyć może godny człowieka ustrój. Naród jest właśnie wynikiem twórczości, nie pracy. Naród, proszę mi wybaczyć to pachnące ekonomją kapitalistyczną porównanie, jest to skapitalizowana twórczość pokoleń. Ustrój narodowy, to jest ustrój twórczości.

Więc nie dajmy się bujać kultem pracy, nie podnośmy własnego ponizenia do wysokiego ideału, ale podnieśmy przykry obowiązek pracy do wysokiej roli, czyniąc go narzędziem twórczości. Bo praca jest tylko narzędziem. Jest dziś narzędziem niewoli, a musi stać się narzędziem twórczości.

## N O W A P O W I A S T K A O C H Ł O P K U - R O Z T R O P K U

Pewnego razu... Ale przedtem muszę wyjaśnić, dlaczego będzie o chłopku-Roztropku. Główny okres działalności chłopka-Roztropka przypada na przełom między XVIII-tym i XIX-tym wiekiem.

Rzucono na tę postać szereg oszczerstw, aż do komunizmu włącznie. Otóż to jest nieprawda. Roztropek, to jest polski Szwejk, starszy brat czeskiego Haszkowego Szwejka.

Chłopok-Roztropek zdobył sobie całą moją sympatię następującą, wygłoszoną przez siebie, opinią, którą za „Bajazem Polskim” powtarzam:

„Raz dziedzic dla ulepszenia swej gospodarki, sprowadził z Anglii pług nowego wynalazku, który tak był pomalowny, że jak mebel wyglądał. Gospodarze z bliskiej wioski zebrali się na polu, chcąc przekonać się naocznie o użyteczności pługa. Przyjeżdża dziedzic i przy pługu staje.

— Panie, — zapytał z grona kmiotków wójt Roztropek, — czy nie można wiedzieć, kto takie pługi robi?

— Anglicy — odpowiada dziedzic.

— Dlaczegoż ci Anglicy do nas po zboże, len i pienkę przyjeżdżają? A, domyślam się: dotychczas oni do nas po zboże przyjeżdżali, a odtąd, jak zaczniemy takimi, jak oni pługami orać, my do nich po zboże jeździć zaczniesz.”

Ileż mądrości gospodarskiej za wiera ta pozornie głupkowata uwaga...

Otóż chłopok-Roztropek w roku 1933-cim był zmuszony iść do miasta po pożyczkę. Nie pożyczał nic, ani w okresie wojen napoleońskich ani przez cały wiek XIX, mimo, że Icek-Popycek z pożyczkami się napraszał. Ale w r. 1933 taka przyszła bieda, że musiał iść szukać pożyczki.

Pewnego więc razu przyszedł chłopok-Roztropek do miasta. Zaszedł do jednego wielkiego biura, wchodzi, patrzy, a tu same baby siedzą. Jedna młoda, druga stara, jedna brzydka, druga ładna, jedna czarna, druga jasna jak stara słoma, a wszystkie siedzą i piszą.

Podchodzi Roztropek do jednej z nich, a była stara i smutna i powiada:

— Przepraszam wielmożną panią, a dawno tu wielmożna pani pracuje?

Stara spojrzała z nad maszyny smutnie i powiada:

— Pięć lat.

— A na co też wielmożnej pani tak pracować? — pyta Roztropek.

— Bo mam męża bezrobotnego i syna bezrobotnego.

— Dziwy to, dziwy — powiada Roztropek i idzie do drugiej.

— Wielmożna pani, dawno tu pracuje? — pyta. A to była młoda i ostrzyżona jak po jakiej chorobie.

— Dwa lata — powiada młoda.

— A na co też wielmożnej pani tak pracować? — pyta Roztropek.

— A z czego bym żyła? — mówi dziewczyna.

— Z tego, co baba zawsze żyje, z męża — odparł Roztropek.

Dziewczyna zapłakała cicho i powiada:

— Nie można znaleźć męża, bo teraz młodzi mężczyźni pracy nie mają.

— Dziwy to, dziwy — powiedział Roztropek i poszedł do trzeciej, takiej czarnej.

— Przepraszam wielmożną panią, a dawno tu pani pracuje?

— Od tygodnia — powiada czarna.

— A dlaczego wielmożna pani taka smutna?

— Bo mam małe dziecko, które musiałam oddać do żłobka.

— A to wielmożna pani niezamężna?

— Mam męża, ale cały dzień w biurze siedzi.

— Dziwy to, dziwy — rzekł Roztropek i idzie do kierownika biura.

Ale jakiś woźny drogę mu zastąpił i powiada:

— Nie można!

Popatrzył na niego Roztropek i pyta:

— A obywatel zorganizowany?

Woźny się zawstydził i pyta: — A bo co?

— Bo ja jestem — mówi Roztropek — komendant Straży Przedniej z Niepoznaki.

Więc się woźny uklonił nisko i wpuścił Roztropka. Kierownik popatrzył na chłopka-Roztropka i pyta:

— O co chodzi?

A chłopek-Roztropek na to:

— Mam dwie sprawy: pierwsza to, skąd tu się tyle bab u was bierze?

— A druga?

— Drugą, później powiem.

Popatrzył kierownik na Roztropka i mówi:

— Niech i tak będzie.

— Więc, jak to — pyta chłopek-Roztropek — proszę wielmożnego pana, jest z temi babami. Czy to tak wszędzie?

— Wszędzie.

— A oddawna?

— Oddawna. Jeszcze mój dziadek zaczął pierwszy przyjmować kobiety. Przedsiębiorstwo rosło, robotnikom trzeba było płacić dużo, a kobiety były już tańsze.

— Przepraszam wielmożnego pana, czy dziadek wielmożnego pana myślał, co będzie z dziećmi tych bab?

— Co to go obchodziło, on był przedsiębiorcą.

— To tak mi się zdaje, proszę łaski wielmożnego pana, że dziadek wielmożnego pana był świnią.

Kierownik bardzo się obraził, a Roztropek pyta:

— Nie możnaby to tak zrobić, żeby każda baba dała na swoje miejsce męża, albo syna? Bo bez tego, to się to całe miasto w obóz cygański zamieni, a chłopcy będą fajki kurzyć i kraść.

Kierownik nic na to nie mówi, tylko groźnie spojrział i powiada:

— Jakie macie drugie pytanie?

— Drugie pytanie, to dlaczego mnie pan dotąd nie wyrzucił, bo ja tu żadnego interesu nie mam, tylko tak z ciekawości, bom już dziesięć lat w mieście nie był, to i pogadać z ludźmi chciałem, żeby mieć co w domu opowiadać...

## Z G Ł A S Z A M P R O J E K T !

Za dawnych, dobrych, normalnych czasów, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, najpospolitszym rodzajem anegdoty, była anegdota o teściowej. Obecnie w Polsce najpospolitszy typ anegdoty, to anegdotka c Kasie Chorych. Któż z nas nie zna tych historyjek, począwszy od makabrycznej przygody z fotelem elektrycznym, kończąc na niewinnym żarcie z tym ubezpieczonym, któremu po receptę na proszek od bólu zębów kazano przyjść za miesiąc.

Kasy Chorych w Polsce, jest to kolosalny aparat (na 11 tysięcy lekarzy w Polsce, 5 tysięcy jest urzędnikami Kas Chorych, a ilu innych funkcjonariuszy?). Znaczenie jego polega nie na tem, że jest potrzebny, albo, że niesie pomoc najszerszym warstwom, ale na tem, że jest to „zdobycz socjalna”. Zdobycz socjalna

jest to cel sam w sobie. Postęp wymaga, żeby były ubezpieczenia społeczne. Że ubezpieczenia społeczne nadmiernem obciążeniem niszczą warsztaty pracy? Cóż z tego, prawdziwie postępowe państwo społeczne musi mieć miliony bezrobotnych, ale zato ubezpieczonych. A wieś? Wieś to przeżytek. Ale możeby można jakoś taniej, bardziej indywidualizować, zezwalać na pomoc lekarską w zakresie jednej instytucji, na kasy ubezpieczeń wzajemnych pracowników? Nie można, bo nie mieliby z czego żyć urzędnicy ubezpieczeniowi, czyli nie byłoby zdobyczy socjalnej.

Czy nie można jednak, nie pozbawiając ludzi ubezpieczeń, zorganizować je tak, by naprawdę służyły ubezpieczonym?

Postanowiłem wymyślić jakieś wyjście, skonstruować taką instytucję ubezpieczeniową, któraby była: 1) tania, 2) wszechstronna, 3) prosta, 4) trwała, 5) nieobciążająca warsztatów pracy. Po długich rozważaniach wykombinowałem ustrój bardzo oryginalnego i prostego związku ubezpieczeniowego. Podaję w skrócie zarys statutu takiego związku:

§ 1. Związek ubezpieczenia społecznego nosi nazwę „Rodzina”.

§ 2. Siedzibą związku jest dom rodzinny.

§ 3. Podstawę działania związku stanowi warsztat pracy, kierowany przez przewodniczącego związku, zwanego ojcem.

§ 4. Oznaką zewnętrzną związku jest podobieństwo rodzinne.

§ 5. Zakres działania związku obejmuje: a) opiekę nad matką i dzieckiem, b) ubezpieczenie na sta-



rość, c) ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków, d) ubezpieczenie na wypadek bezrobocia, e) ubezpieczenie od chorób, f) kasę pogrzebową, g) pomoc na wypadek wstępowania w związki małżeńskie.

§ 6. Członkowie związku dzielą się na członków założycieli, czyli t. zw. rodziców i członków urodzonych, t. zw. dzieci. Ponadto mogą, za zgodą członków założycieli, być dopuszczeni również członkowie nadzwyczajni, t. zw. krewni bez rodzin.

§ 7. Szereg związków, których członkowie założyciele byli uprzednio członkami urodzonymi jednego związku, tworzyć może związek celowy związków, zwany rodziną większą. Zadaniem związku związków jest niesienie pomocy poszczególnym związkom, których sytuacja nie pozwala na skuteczne wspomaganie swych członków.

§ 8. Wewnętrzny zarząd (administracyjny) należy do drugiego członka-założyciela związku, zwanego matką. Matka pełni swe funkcje honorowo.

§ 9. Zasadniczym wkładem, wnoszonym przez członków-założycieli, są perjodyczne świadczenia na rzecz członków urodzonych w postaci wydatków t. zw. „na wychowanie”. Od zakresu i celowości tych wydatków zależy wysokość pobieranych następnie przez tychże członków założycieli od członków urodzonych zapomóg na starość.

§ 10. Do obowiązków członków założycieli należy pomoc w uzyskaniu pierwszej pracy przez członków urodzonych.

§ 11. Do obowiązków wszystkich członków związku należy utrzymywanie bezrobotnych członków. Je-

dynie w wypadku utraty pracy z własnej winy prawo do otrzymywania pomocy członkowi bezrobotnemu nie przysługuje.

§ 12. Kompetentnym do rozstrzygnięcia, czy bezrobotnemu członkowi związku należy się pomoc, jest sąd przewodniczącego związku („ojca”). Przewodniczący wyrokuje na podstawie miłości rodzicielskiej i zasięga uprzednio zdania wszystkich pełnoletnich członków związku. obrońcą z urzędu przed sądem związku jest matka.

§ 13. Obowiązek pomocy ze strony członków związku ustaje z chwilą uzyskania pracy, dającej środki utrzymania członkowi. Za równoznaczne z uzyskaniem pracy uważa się również wstąpienie członka związku płci żeńskiej w związki małżeńskie.

§ 14. Członkowie-założyciele z chwilą utraty możliwości pracy zarobkowej, otrzymują prawo korzystania z wszechstronnej pomocy zarobkujących członków urodzonych. Prawo to wygasa dopiero z chwilą śmierci.

§ 15. Przewodniczący związku ma prawo przymusu fizycznego w stosunku do nieletnich członków związku.

§ 16. Związek ubezpieczeniowy „Rodzina” znajduje się pod szczególną ochroną prawa. Rozwiązanie stosunku ubezpieczeniowego członków jest niedopuszczalne.

Sądzę, że największą reformą ubezpieczeń, byłoby stworzenie takich warunków życia, w których rodzina stanowiłaby silną i trwałą jedność gospodarczą. Zniknęłyby wówczas anegdoty o Kasie Chorych, a wróciła-

by na pierwsze miejsce, jak za dawnych, dobrych, normalnych czasów, anegdotka o teściowej.

## QUO VADIS OECONOMIA?

Człowiek posiada w sobie dziwną manję logiczną. Chce za wszelką cenę znaleźć we wszystkim jakiś wspólny mianownik, szuka jakichś linii rozwojowych, jakiegoś celu ku któremu świat zmierza. W tej tendencji gubi samego siebie, zapomina o znaczeniu rozumu i wolnej woli jako źródle dziejowych przemian. Najbardziej paradoksalne to to, że najwięcej niewiary w człowieka jako twórcę dziejów a najwięcej wiary w potężne siły tkwiące poza nim wykazał ateistyczny materjalizm.

Materjalizm jest odmianą animizmu, wiary, jaką żywią ludy pierwotne, że przedmioty natury mają swoją duszę. Materjalizm jest nawrotem od wysokiej cywilizacji chrześcijańskiej do mroków jakiegoś pananimizmu. W tem jego poniżeniu i cofnięciu roli człowieka tkwi przyczyna złowrogiej roli kulturalnej, jaką odegrał.

Materjalizm naprzykład twierdzi, że źródłem pierwszych wynalazków człowieka była potrzeba ekonomiczna. To jest nonsens. Człowiek mógł świetnie żyć bez ognia jak wszystkie zwierzęta i jak jego przodkowie, a jeżeli wynalazł ogień, to przez ciekawość, dlatego, że go to podniecało, że miał w sobie wewnętrzną potrzebę tworzenia rzeczy nowych, że miał duszę. Zwierzę tylko boi się nowych zjawisk,

człowiek, choćby najpierwotniejszy, chce je poznać równocześnie. Ta sama chęć poznania jest źródłem filozofji i teoryj społecznych, politycznych, ekonomicznych i przyrodniczych.

Chcemy poznać ukryte sprężyny przemian ustroju społecznego i gospodarczego i w sposób prymitywny widzimy w nich jakiś fatalizm. Tymczasem te przemiany są wynikiem rozwoju myśli ludzkiej. To nie jest antropocentryzm, co piszę — poprostu myślę, że Bóg nieskończenie więcej działa przez ludzi niż przez przyrodę.

Człowiek działa na podstawie planu, plan opiera się na wyobraźni, a wyobraźnia kształtuje się na elementach znanych i doświadczonych. Stąd plany ludzkie zmieniają się powoli i stopniowo.

To był wstęp. A teraz *meritum*.

Trzy wielkie epoki dziejów: t. zw. starożytność, t. zw. średniowiecze t. zw. nowożytność i x — przyszłość.

Epoka pierwsza: podstawa gospodarczo -społecznego ustroju — niewolnictwo. Zupełnie zrozumiałe. Pierwotny człowiek uzyskawszy przewagę nad drugim używa jej w sposób prymitywny, nie umie i boi się wyzyskać jej inaczej niż całkowicie, do ostatnich granic. Obok niewolnictwa pojawia się wprawdzie w starożytności i poddaństwo i wolny najem i nawet własność samodzielna. Ale to są wyjątki: człowiek ówczesny (nawet Platon) nie wyobraża sobie, by na nich można było oprzeć ustrój gospodarczy. Może tkwilibyśmy w tym okresie do dziś dnia, gdyby nie chrześcijaństwo. Z samej natury swej religji chrześ-

cjonanie musieli dążyć do zniesienia niewolnictwa, prawa dowolnego zabijania i sprzedawania człowieka przez człowieka. Ale operując znanymi sobie elementami nie umieli wyobrazić sobie innej podstawy ustroju jak poddaństwo.

Epoka druga — średniowiecze. Podstawa ustroju społeczno-gospodarczego — poddaństwo. Ale stopniowo obok wsi, osad i miast poddańczych wykształca się miasto nowe, pojawia się w szerszym zakresie najem pracy. Prądy wolnościowe nowożytnie chcą zreformować świat. Ale opierać się mogą tylko na znanych sobie elementach. Za podstawę ustroju przyjmują najem pracy.

Epoka trzecia — nowożytność. Podstawa ustroju społeczno - gospodarczego — najem pracy. Najem pracy doprowadza do niesłychanego wyzysku pracobiorców przez pracodawców, do rządów anonimowego kapitału. Reakcja pierwsza: socjalizm. Próby różne. Praktyczne zastosowanie w Z. S. R. R. Prąd okazuje się wsteczny. Grawituje między najmem pracy a nową falą poddaństwa (kołchozy, paszporty). Ale jednocześnie w świecie — na wsi i w niektórych działach produkcji rozpowszechnia się forma własności samodzielnej nie korzystającej z pracy najemnej, ani tembardziej poddańczej. Jeszcze słaba, jeszcze nieorganizowana.

Produktem ubocznym ustroju niewolnictwa było poddaństwo. Poddaństwo, jako nowy, uboczny element w ustroju pozwolił wyobraźni ludzkiej stworzyć podstawę nowego ustroju, ustroju poddaństwa. Produktem ubocznym ustroju poddaństwa był najem

pracy. Ten nowy element pozwolił wyobraźni ludzkiej stworzyć podstawę ustroju pracy najemnej. Produktem ubocznym ustroju pracy najemnej stała się własność samodzielna. Ten nowy element pozwala wyobraźni naszej stworzyć podstawę ustroju własności samodzielnej.

I to jest ustrój przyszłości. To jest ideał do którego dążyć będzie nasza epoka. Bo ten ideał tylko może rozpałcić wyobraźnię, zadowolić nasz zmysł sprawiedliwości i namiętność ulepszania świata. Ideał własności samodzielnej, bez pracy najemnej, jest ideałem, którego wewnętrzna potrzeba tkwi w naszym głodzie twórczym. On i tylko on jest konsekwentnym rozwinięciem wysiłków wszystkich dotychczasowych pokoleń.

I jeszcze: gdy jakiegoś ustroju społeczno - gospodarczego ludzie mają dosyć, gdy staje się on nieznośny, niewystarczający i przestarzały, ewolucja nie idzie od razu w kierunku nowego ustroju. Każdy okres, jakby okuciem zamknięty jest absolutyzmem gospodarczym państwa. Imperjum rzymskie w okresie zdobywania go przez chrześcijaństwo przeżyło erę skrajnego etatyzmu. Europa przed zdobyciem jej przez liberalizm przeżyła okres merkantylizmu. Europa współczesna żyjąca u schyłku epoki kapitalistycznej przeżywa okres państwa totalnego.

To jest etap, jak się zdaje, nieunikniony. Trzeba umieć go w pełni wyzyskać dla zburzenia ustroju pracy najemnej i przygotowania ustroju samodzielnej własności.

# U T O P J A

Utopja nie jest wyspą na oceanie. Nie kryje się zamknięta pierścieniem lodowych pustyni pod biegunem. Nie leży na Marsie, ani we wnętrzościach ziemi. Położenie jej można doskonale określić przy pomocy czterech granicznych rzek: Białego Czeremosza, Olzy, Piaśnicy i Dźwiny. Pokrywa się ona świetnie z Rzeczpospolitą Polską. A mimo to podróż do utopji jest rzeczą bardzo trudną.

Wynalazłem wehikuł, który nas tam może zawieźć i zapraszam wszystkich do środka. Pojedziemy faetonem, to jest chciałem powiedzieć feljetonem. Zabrać mogę tylko ludzi młodych — dlatego, zaraz się przekonacie. Wiem, że będziecie rozczarowani. I pan, młody architekt, który robi plany monumentalnych budowli i pan młody esteto, który widzi nieszczęście w postępie technicznym i pan czerwony literacie, który marzy o kolektywach. Trudno: w każdym razie proszę siadać.

Już zakręcam hermetyczne drzwi mego feljetonu. Naciskam lewar i zaczynamy pochłaniać... czas. Uwaga! W ciągu kilku sekund przebędziemy skomprymowany okres dobrych kilkudziesięciu lat. Słyszycie ten gwizd, te eksplozje, zlewające się w jeden huk ciągły? Te salwy i wycia — to jest skrót wrażeń kilkudziesięciu lat. O patrzcie, jak się zmieniamy! Widzicie: jesteśmy siwi i łysawi, mamy pomarszczone twarze i językiem wyczuwamy brak zębów. Teraz rozumiecie, dlaczego nie mogłem wziąć w tę podróż ludzi starszych — dowiozłbym garść bielejących kości.

Ale słuchajcie, zwolniliśmy biegu. Już nie słyhać huku. Stanęliśmy. Wyjmuję wieczne pióro, wkładam w otwór klucza i otwieram drzwiczki feljetonu. Proszę wyjść! O jakże macie śmiesznie rozczarowane miny! Wyzasowaliśmy na małej łączce. Za nami olszyna, przed nami — zboże. Cóż poradzić? Pole ze zbożem było tu zawsze i jest teraz, znaczy — w przyszłości. Ale poczekajcie. Złożymy budę feljetonu, żeby było dobrze widać naokoło. Teraz siadam do kierownicy i jedziemy w tamten kraj pola.

Aha, jest pierwsza niespodzianka! Ta gospodarska droga, wykładana drobną kostką granitową, podoba się wam. To nic, dopiero wjeżdżamy na szosę. Z czego jest ta gładka ciemna nawierzchnia? Doprawdy nie wiem. Ale nie nudźcie mnie — zaczyna się wieś.

Ten duży budynek, to spewnością spółdzielnia wiejska. Tam jest garaż maszyn rolniczych, tu widzicie sklep i piekarnię, to jest skład i sklepik. Chcielibyście wstąpić na piwo tutaj. Niestety, nie umiem zahamować feljetonu. Słowo daję, ten chłopak rysuje na murze stodoły karykaturę wójta. Widocznie wieś jest rozpolitykowana na swój sposób. Ale widzicie, jak wygląda każde obejście? Że nie bogate? Ale jakie porządne! Czy widzicie przewody elektryczne? Ten idzie do motoru, może raczej motorku. Zdaje mi się, że to warsztat tkacki. Sukno? Tak, chyba sukno. Uwaga, zakręć! Że ten kościół ani gotycki, ani drewniany, że ohydnie nowoczesny, bez wieży? Cóż poradzić, ten brzydki styl nazywają w świecie stylem polskim.

O niedobrze! Nie umiem hamować, a ten wóz stanął

wpoprzek szosy. Czy one nie słyszą? Kłóca się, jesteście zgubieni! O jaki wykształcony koń, sam zeszedł z drogi. Czego obywatelki tak na mnie klną. Coś niesłychanego, wnuczkąbyś mi mogła być, a tak wymyślasz. Mamy szczęście, staruszkowie!

Popatrzcie, jakimi ładnymi wiśniami wysadzana szosa. Nie, ten napis „Wytwórnia samolotów“ na tym domu, to nie reklama, to szyld. Nie potrafię objaśnić, jak to się opłaci, ale fakt, że oni to robią w ten sposób. Tamten lekki wzgórek? Odmawiam odpowiedzi ze względu na interes państwa. Ten niewinny kraj, to jest właściwie jedna wielka forteca. Żadnej pociechy z zajęcia ani z bombardowania. Szczegółowiej mógłby wam odpowiedzieć komendant terytorjalny armji w tamtej wsi — taki młody chłop z średnim wykształceniem.

Wjeżdżamy do miasteczka. Podobne do wsi? Ale ma rynek. Patrzcie, ile lokali, związków, ile motorów słychać. O patrzcie, coś znajomego, chałat. Przy patrzcie się dobrze, bo to rzadkość w tym kraju. W tym domku jest starostwo. Tylko paru. Tak, referentów żadnych niema. Starosty nie zastaniemy. Jest na wsi. Ten ostatni budynek, to browar Michcika. Takiego piwa w całej Europie nie dostaniecie. Za starzy jesteście, żeby tu wstępować, zresztą nie umiem hamować feljetonu.

Za wielka szybkość? Nie szkodzi. Zbiornik jeszcze pełen atramentu. Widzicie te drzewa na horyzoncie — to Warszawa. Ale udało mi się wyminąć tego motocyklistę! To majdaniarz. Wiezie na wieś dzienniki. Granicy miasta nie potrafię ustalić. Te małe domki

idą aż do śródmieścia. Tutaj miasto tak niepostrzeżenie wynika ze wsi. Tu, gdzie ten ogród, była kiedyś Gęsia ulica.

Zmalało, mówię wyraźnie, że zmalało, nie rozrosło się. Jest zupełnie niewielkie. Nietylko urzędów ubyło, ale nawet Sejm obraduje w Płocku. Uniwersytet jest w Warce. Zato jaki wspaniały port na Wiśle! Ten gość z teczką, co tak prędko idzie, to minister — boi się spóźnić do biura.

Nie poznajecie tego pięknego placu z fontanną — to jest plac Grzybowski. W tym budynku mieści się warszawski oddział organizacji politycznej narodu. O właśnie wychodzi sekretarz rady głównej, Dymitr Pyłypeńko. Kierownik się nazywa Wawrzyniec Majchrzak. Ten wiadukt, to Karowa. Wiezie na most Rzeźników. Nie, oczywiście, że nie rytualna. Dym po drugiej stronie? To zabytek, kolejka parowa do Otwocka. Nie zdołano jej wyeksmitować. Ona jest trwalsza od wszelkich systemów.

Feljeton się zatrzymał! Nie chce iść. Ha, widocznie czas na nas. Zamknąć budę, zatrzasnąć hermetyczne drzwi. Lewar podnieść na wysokość cyfry 1935. Wracamy!

## R Z E C Z Y   O B U R Z A J A C E

— Że też panie, u nas to nikt nic nie potrafi. Wzorowacby się nam trzeba na Zachodzie. Tam sobie dają radę z kryzysem. Taki, panie, Hitler i przemysł wzmógł i rzemiosłu dopomógł, a jakie drogi buduje,

co za inwestycje! Niemcy chcą, żeby każdy robotnik miał swoje auto i naprawdę zrobią to. A u nas, panie, ludzie tacy są, że aut coraz mniej i drogi coraz gorsze. Słyszał pan pewnie ten dowcip o negusie: że negus do nas „Kościuszką” przyjeżdża. To, powiadają, bardzo dobrze, bo jak się Włosi za nim aż do Polski zapędzą, to nam przynajmniej drogi dobre zbudują. Tak to jest u nas — wszystko brak organizacji. Żeby u nas taka była taka organizacja, jak w Niemczech...

— Topy też nic z tego nie wyszło. Czy pan nie rozumie różnicy między Polską a Niemcami. Mówi pan o autach. Otóż słyszałem ciekawe obliczenie. W Polsce można na rynku po cenach europejskich przy wszelkich udogodnieniach sprzedać jeszcze powyżej 10.000 aut. Więcej w żaden sposób nie pójdzie, niema ludzi o takich dochodach, żeby mogli utrzymywać auto. Na to, żeby w Polsce co setny człowiek miał auto (w Ameryce ma bodaj co dziesiąty) trzeba by: a) pięciokrotnie obniżyć cenę benzyny, b) wybudować gratis wielką ilość garaży i c) dawać auta zupełnie darmo, może nawet z drobną zapomogą na zagospodarowanie.

— Ależ to nonsens.

— Oczywiście, że nonsens. Dowód, że droga nie tędy prowadzi. Pan mówi: Niemcy. Mógłby pan także powiedzieć: Francja, Anglja, Ameryka, nawet Włochy. To są wszystko kraje, które przez ostatnie paręset lat gromadziły wszelkiego rodzaju bogactwa, które sprowadzały za bezcen surowce z kolonij, żyły z całego świata, tworzyły, budowały, malowały, pisały. Nas od dwustu lat łupiono. Szwedzi, Sasi, Gdańsz-

czanie, Prusacy, Rosjanie, Austrijacy eksploatowali nas, wywozili od nas, jak z kolonji surowce, płody rolne, nawet dzieła sztuki i ludzi, zdolnych ludzi, jeden z najważniejszych czynników bogactwa wysłałiśmy na Sybir, na emigrację, na Madagaskar, do Ameryki, do Niemiec, na Kaukaz, do Saratowa, do Francji.

A wojny? Już nie mówię o dawnych wojnach, a nawet nie o powstaniach, ale choćby wielka wojna. We Francji zniszczono gruntownie, ale tylko niektóre prowincje i te się do dziś odbudowują. A u nas zniszczono wszystko. Proszę się zastanowić, ile u nas trzeba było wybudować nie Magnitogorsków, nie autostrad, nie Littorij, ale chałup, zwykłych chałup. Niech pan sobie poczyta „Pamiętniki chłopów”.

Trzeba wreszcie zrozumieć, że tam, powiedzmy w Niemczech, kryzys był wynikiem złego podziału dóbr. Wystarczyłoby zmienić podział dóbr, aby poprawić gospodarke. Ba, nawet w Rosji przedrewolucyjnej głównym zagadnieniem był podział dóbr. U nas podział dóbr niewątpliwie jest zły, ale gdyby był dobry, jeszczebyśmy wszyscy chodzili w wyświechtanych portkach. U nas główne zagadnienie, to brak dóbr, to konieczność szbkiego, gwałtownego wprost wytworzenia nowych dóbr.

— A skąd kapitały? Skąd pan weźmie kapitały na rozpoczęcie tej gwałtownej produkcji? Zagranica nic nie zainwestuje. W kraju kapitałów niema. Są tylko miliony wolnych rąk do pracy.

— Otóż właśnie. Są miliony rąk. Trzeba im dać kierownictwo, trzeba, aby wieś więcej wyprodukowa-

ła na ich wyżywienie, aby przemysł wyprodukował narzędzia dla tych rąk. Z ich pracy powstaną nowe bogactwa: elektrownie, warsztaty, kanały, drogi, fabryki.

— A pieniądze? Skąd pieniądze na tę produkcję środków żywności i narzędzi. Druk pieniędzy nic nie pomoże, pieniąż straci tylko na wartości i będzie go tyle samo, ile było.

— Jeżeli nie przybędzie nowych bogactw, będzie go tyle, ile było. Jeżeli równocześnie przybędzie nowych bogactw, będzie go więcej, a jeśli więcej nie wydrukują, to będzie miał wtedy wyższą wartość, czyli także przybędzie go.

— Ależ musi pan mieć pieniąż, zanim pan zacznie inwestycje.

— Tak. Jest rzeczą już techniczną, czy wystarczy dla jego zdobycia konfiskata kapitału żydowskiego i zagranicznego, czy też trzeba będzie wziąć od społeczeństwa kredyt w postaci druku ograniczonej ilości pieniądza.

— Społeczeństwo takiego kredytu nie daje. Ono dewaluuje zaraz pieniąż.

— Czasami daje. Gdy rozumie rząd, gdy uważa go za swój, gdy jest nastrój wiary i zwycięstwa.

— Zato zagranica nigdy takiego kredytu nie daje.

— Nie wiem, czy nigdy, ale wiem, że nie można na to liczyć. Dlatego trzeba zamknąć ściśle granice, nie płacić długów, nie wysłać ani grosza w pieniądzu. Oczywiście na czas, dopóki się nie zacznie zbierać owoców swej pracy. Wtedy to już może być niepotrzebne. A wtedy zagranica będzie pełna szacunku,

zaufania i chęci odbicia sobie czegoś drogą handlu. Pan zna Monteskjusza: „Nie te narody, które nie potrzebują niczego, tracą na handlu, ale te, które potrzebują wszystkiego. Nie te ludy, które wystarczają sobie samym, ale te, które nie mają u siebie nic, zyskują na tem, aby nie handlować z nikim”. Monteskjusz dodaje także aktualną w XVIII wieku uwagę: „Gdyby Polska nie handlowała z żadnym narodem, mieszkańcy jej byłiby szczęśliwsi”.

— To bardzo ryzykowne.

— Wszystko co nowe, jest ryzykowne, ale bez ryzyka nie wyjdziemy wogóle z obecnej sytuacji.

— Więc powiedzmy. Ale jak pan robi, żeby te kapitały zwróciły się zgodnie do produkcji nowych dóbr bez marnowania energii?

— Muszę w tym celu zcentralizować całkowicie dysponowanie dobrami gospodarczymi.

— Pan godzi we własność!

— Godzę.

— I w prywatną inicjatywę!

— I w prywatną inicjatywę.

— To jest bolszewizm!

— Bolszewizm jest tam, gdzie się tworzy w miejsce religii i narodu „święty” kolektyw, gdzie miernikiem wszystkiego jest gospodarstwo, a sposobem myślenia talmudyzm marksowski. Tam, gdzie w oparciu o bezkompromisowy światopogląd religijny, w myśl dobra narodu, zgodnie z jego wolą, dla zachowania człowieka i rodziny, robi się choćby najdrastyczniejsze reformy, tam jest tylko kwestja formy gospodarowania, nie najgłębszej idei. Prawdy etyczne są niezmiennymi

ne, naród jako typ życia i jako państwo jest trwałe, formy gospodarowania są zmienne. Tego, o czym mówiłem wyżej, nie uważam za ideał, uważam tylko za rzecz niezbędną na najbliższe dziesięciolecia. Potem niewątpliwie przyjdą wyższe formy gospodarcze, ale tej nie da się u nas przeskoczyć, ani ominąć.

## NATURA AGIT SALTATIM

Teorie naukowe mają często większy wpływ na życie i postępowanie ludzi niż z nauką nie mających wspólnego, niż to się naogół przypuszcza. Weźmy taką teorię ewolucji. Ludzie uwierzyli tak pięknie pod względem logiki wyglądającej zasadzie ciągłości i stopniowości rozwoju. W przyrodzie miała rzekomo panować zasada ewolucji, stopniowego rozwoju form. Przyjęto, że jest tak i w życiu społeczeństw. „*Natura non agit saltatim*”. *Non agit* i już.

Tymczasem najnowsza nauka odrzuciła teorię ewolucji. W mikrokosmosie nie ma nawet ciągłości ruchu. Panuje tam system, którego sobie niesposób prosto wyobrazić: Coś jest w pewnym miejscu i nagle niema go tam — jest już gdzieindziej, żadnego natomiast ruchu ciągłego nie było. W botanice stwierdzono również rozwój nagłymi skokami, niewytłumaczone nagle zmiany właściwości pewnych roślin.

Ewolucja jest złudzeniem „optycznym”.

Możnaby ją porównać może do złudzenia człowieka, który spoglądając ze szczytu wdół stromego zbocza, odnosi wrażenie, że zbocze to jest gładkie i tra-

wiaste, gdy w rzeczywistości składa się ono z szeregu pionowych wyskoków skalnych na wierzchu tylko pokrytych wąskimi pólkami trawy.

Człowiek patrzący ze szczytu zobaczy tylko trawę, nie zobaczy ścian. Droga więc z dołu na szczyt wyda mu się możliwa i prosta. Przeciwnie ktoś stojący u stóp zbocza nie zobaczy trawy, lecz tylko ścianę skalną, niemal pionową. Temu znów droga na szczyt wyda się niemal niemożliwa.

Takim samym złudzeniem ulega umysł ludzki w stosunku do spraw rozwoju społeczeństw. To co jest poza nami wygląda jak gładkie trawiaste zbocze, natomiast droga przebudowy życia społecznego wydaje się niemal nie do przebycia. Ulegając temu złudzeniu większość ludzi myślących mówi: trzeba obliczyć naprzód ile czasu zajmie nam wspinanie się na tę ścianę, na której niema miejsca na biwak, następnie trzeba się dobrze zaasekurować, by móc się w razie czego cofnąć. Po obliczeniu okazuje się zawsze, że tylko szaleni mogłby liczyć, że starczy mu sił na wspięcie się na szczyt bez odpoczynku, ciągłym jednokowym wysiłkiem. I ludzie myślący rezygnują z przebudowy.

Zwłaszcza zaś jest jedna dziedzina, w której kanon ewolucji panuje wszechwładnie, nawet u młodszych pisarzy. Jest to dziedzina gospodarczo - społeczna. A tymczasem każda próba jakiegokolwiek istotnej reformy życia gospodarczego w drodze ewolucji jest beznadziejna. Dla bardzo prostej przyczyny.

Nic nie pomoże żadne prawo ani żadna instrukcja urzędowa dla przebudowy życia gospodarczego, gdy



napotka na jednomyślny opór bierny i zaciekły ludzi nierozumiejących, dlaczego właściwie tak ma być, ludzi wychowanych w kategorjach panujących stosunków i pojęć.

Trzeba więc przede wszystkim zmienić stopniowo pojęcia ludzi — powiada większość myślących. I tu są w grubym błędzie. Przedsięwzięcie stopniowego przewrotu pojęć w obecnym ustroju społeczno-gospodarczym jest beznadziejne. System bowiem wciążą ludzi po jednym, lecz skutecznie. Nie można oderwać się od niego i w ten sposób, czego dokona przemiana pojęć, to odrobi całkowicie mechanizm życia. Zanim ewolucja poglądów zwyciężyłaby maszynę systemu, już z pewnością nastąpiłyby zmiany całkowite, nie kierowane wolą ludzką, przewroty bezmyślne i głupie, jakich próbek dostarcza nam życie świata w ostatnich latach dość dużo.

A więc trzeba szybkiej i całkowitej zmiany poglądów społeczno - gospodarczych a jednocześnie nowych praw i zarządzeń?

Proszę się dobrze zastanowić nad takim postawieniem sprawy, zanim się WPan (i) pod tem podpisze. Bo to znaczy, że trzeba skrajnego stawiania sprawy, że nawet ten sam program jeżeli ma być w sposób „powyższy” przeprowadzony, to będzie zupełnie inny program, niż gdyby miał być przeprowadzony drogą stopniowych reform.

Najnowsza nauka dochodzi do wniosku, że natura działa właśnie skokami. W życiu społeczeństw ewolucja jest także złudzeniem, bo i tu życie — *agit saltatim*.

Ale taki skok, to nie jest ewolucja...

N A R Y B Y

## D U C H   R E F O R M A C J I

Dwa są prądy wśród historyków, różnie oceniające przyczyny upadku Polski w XVIII wieku. Oba mają rację i oba błędzą. Jeden twierdzi, że zgubił nas bezład i nasze własne wady narodowe, drugi, że dokonał tego spisek sił wrogich, zamach obcych, tajnemi więzami połączonych państw. I jedni i drudzy mają rację, i jedni i drudzy nie widzą całej prawdy.

Prawdą jest, że do upadku Polski przyczynił się szereg ciężkich ciosów, jakie otrzymała z rąk Szwedów, Węgrów, Rosjan, Kozaków, Prusaków — w XVII wieku. Ale prawdą jest także, że nie umiała im przeciwstawić nic prócz bohaterskiej inicjatywy jednostek, prócz pospolitego ruszenia.

Prawdą jest, że Polska została gospodarczo zniszczona po wojnach szwedzkich fantastycznie, że upadły miasta i kraj się zażydził. (Kto może, niech czyta inwentarze królewszczyzn, zwolnienia od podatków i rejestra dóbr z końca XVII wieku: Ledwie połowa wsi odbudowana w dwadzieścia lat po najazdach). Ale prawdą jest także, że kraj się odbudować nie umiał, że szlachta doprowadziła w ostatniem stuleciu chłopów do stanu nędzy i ciemnoty niebywałych, że ich traktowała jak niewolników, że w porównaniu z względnie chrześcijańską i europejską strukturą społeczną XVI-ego wieku, opartą na kilku stanach, mających jakie takie poczucie narodowe, struktura społeczna XVIII wieku, to jest horrendum, zacofanie, wyrzucenie poza nawias narodu chłopów i mieszczan „prywatnych”, to jest zanik myśli politycznej i kultu-

ralnej. I nawskroś fałszywe jest stanowisko specjalnej szkółki historycznej usiłujące wywyższyć okres polskiego baroku, dopatrujące się w nim niezwykle mocnej wiary, stylu „o strzelistości niemal gotyckiej” i wielu innych rzeczy. Bo polski barok, to także okres rozkładu politycznego i socjalnego, załamania gospodarczego, okres niewoli chłopskiej i rządów magnaterji — jednej z najobrzydliwszych „elit”, jakie świat oglądał.

Prawdą jest, że żydzi i tajne organizacje pracowali na zgubę Polski przez ostatnie wieki jej istnienia, ale prawdą także jest, że dlatego tylko mogli pracować skutecznie, iż naokoło nich w epoce „strzelistego baroku” była anarchja duchowa i bezwład myśli i czynu.

Kiedy się to zaczęło? Kiedy się zaczął ten upadek? Powiedzmy lepiej: kiedy było inaczej?

Inaczej było w końcu XV w.

Istniała wtedy zdyscyplinowana myśl polityczna, istniała rada królewska na wysokim poziomie, istniał plan ekspansji narodowej, świadomość własnej misji dziejowej. Powstawała literatura rodzima. Rozwijał się przemysł, polszczyły się i powstawały miasta, kraj pokrywał się siecią małych fabryk — foluszy, garbarni, browarów, młynów. Wznoszono zamki, mosty i budowano promy. Zakładano nawet winnice. Kmiecie ówcześni siedzieli na odrębnych dworzyszczach, płacąc czynsze i mając własny samorząd sądowy i administracyjny.

I oto gdzieś w początkach, najdalej w drugiej ćwierci XVI-ego wieku następuje załamanie w narodzie. Skąd? Skąd zaczynają się reformy, zmierzające do

wyrzucenia niższych stanów poza nawias narodu, skąd rozwój anarchji braci szlachty?

Materjalista odpowie: z ustroju gospodarczego, z rolnictwa, z wegetacyjnego trybu życia, z niezależności szlachcica na zagrodzie. To nieprawda! Taki sam ustrój gospodarczy, nawet jeszcze bezporównania mniej przemysłowy i miejski panował w Rosji i w całej środkowo-wschodniej Europie, a rezultaty dał politycznie wręcz przeciwne. Więc choć za materjaliścycznymi poglądami stoją wielkie autorytety, choć odblask ich zauważyć można nawet w „Myślach Nowoczesnego Polaka”, nie są one słuszne. Nie ustrój gospodarczy spowodował rozkład moralny, ale upadek moralny spowodował upadek gospodarczy.

I tu paść musi słowo: reformacja. Choć nie zatriumfowała ona na dłużej w Polsce, choć za swój rychły upadek mściła się sojuszem wszystkich tajnych związków i wszystkich państw protestanckich przeciw Polsce, ale ona i właśnie ona — reformacja złamała ducha polskiego.

Niema autorytetów kościelnych, niema jedności. *Cuius regio eius religio!* Ta najbardziej barbarzyńska i antycywilizacyjna zasada, której samo wspomnienie hańbi Europę, przyszła i do Polski. *Cuius regio eius religio* — i niezdecydowani królowie bez oblicza, dwóch ostatnich Jagiellonów, co zaprzepaścili spadek przodków. Haniebny okres, zwany jak na urągowisko złotym wiekiem! *Cuius regio eius religio* i szlachta z dnia na dzień butniejsza. W obliczu potężnego rzymskiego kościoła, szlachcic i chłop byli niemal równi. Chłop mógł zostać purpuratem, szlachcic mógł

być ekskomunikowany, zmuszony do publicznej pokuty. Ale nadchodzi reformacja, — szlachcic uczy się tego, że można przepędzić księdza, osadzić „ministra” na probostwie, a chłopci będą musieli słuchać nowego nabożeństwa, wedle gustu kolatora.

*Cuius regio eius religio!* Szlachta jeszcze nie wybiera sobie króla, jak chce, ale już wybiera sobie Boga, jak chce. Sobie i niższym stanom. To jest początek polskiej anarchji, polskiej krzywdy społecznej, polskiego bezrządu. Na tem tle bujnie krzewili się żydzi, oni którzy mieli jednego Boga i... jeden synhedrjon.

I taką tylko Polskę, zniszczoną zarazą reformacji, mogli do upadku doprowadzić jej wrogowie, przeróżne Zakony Palmy, Ligi protestanckie, Wrogowie Wstrzemięźliwości, monarchowie z łóz, kahały i cały ten świat protestantyzmu, kabały, „oświecenia”.

Polska nie zdobyła się na renesans, bo barok żadnym renesansem nie był. Reformacja upadła, zżarta wewnątrz, ale jej skutki pozostały. Pozostała barokowa anarchja, barokowe uciemnienie chłopów, barokowy zastój gospodarczy i kulturalny i barokowe pogńębienie mieszczan. Panowie, którzy stawiali barokowe świątynie, traktowali katolicyzm, jako swoją własność stanową, jako podporę socjalnego wyzysku, w ich duszach żyła protestancka zasada: *cuius regio eius religio*. Ci sami panowie uważali za bardziej wygodne na Rusi stawiać dla chamów cerkiewki, a dla siebie barokowe kościoły.

Dopóki jeszcze istniała jako główny problem sprawa turecka, to wszystko miało jakąś treść. Od wyprawy wiedeńskiej, od pokoju karłowickiego, Polska

straciła cel życia narodowego. Islam był złamany a przeciw nowemu, najgroźniejszemu wrogowi, przeciw spiskowi żydowsko-protestanckiemu nie miała w sobie wewnętrznej siły, nie znajdowała oporu. Nie zdobyła się także na twórczość kulturalną na wielką miarę. Więc słabł naród najbardziej katolicki pod względem obrzędowości, a przeżarty reformacją w swoich społecznych podstawach.

Od reformacji zaczyna się polska krzywda społeczna. Od reformacji zaczyna się płytkość polskiej religijności, rozbieżność między bogatą obrzędowością i brakiem katolickości społecznej.

Trzeba zniszczyć i wytępić potworny spadek reformacji, spadek wcale nie mniejszy u nas niż w innych krajach, nie mniejszy, tylko inny.

## P R Z E K L Ę T A    Z G O D A

„Zgoda, zgoda, zgoda, zgoda, a Bóg wszystkim rękę poda” twierdził, zdaje się bez rozmyślnej ironji, Aleksander Fredro. Słusznie uchodzi on za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli staropolskiej kultury szlacheckiej. Ten bowiem werset jest obrazem jednej z najbardziej trwałych i najnędnějších cech charakteru polskiego — dążenia do zgody za wszelką cenę.

„Nie mówimy do ludzi — „podnieście się ku zgodzie”, ale „skłońcie się ku zgodzie”. Widać więc, że do zgody potrzeba pewnego upokorzenia się pod prawidła od rozumu wyższe”. Tak twierdzi znowu Mic-

kiewicz, który słusznie uchodzi za najwybitniejszego przedstawiciela polskości w poezji. Niestety owe prawidła od rozumu wyższe, zwykle mają na imię — słabość.

„Zgoda buduje, niezgoda rujnuje” — twierdzi przysłowie. Przysłowia są, jak wiadomo, mądrością narodów (np. „co się ususzy, to się wykruszy”). Tę mądrość słyszy się ciągle wkońko. Zgoda jest święta i budująca. Dla świętej zgody... stworzono liberum veto, żeby wszyscy się... skłaniali.

„Trzech Polaków — cztery zdania” — twierdzi znany aforyzm. Jak to pogodzić z tem ustawicznym dążeniem do zgody? Bardzo prosto: jeżeli trzech Polaków ma cztery zdania, to znaczy że jeden z nich ma dwa zdania. To znaczy także, że każdy z pozostałych zmienia zdanie co godzinę. W tych warunkach nie trudno o zgodę. Co kosztuje zmienić zdanie jeszcze raz? Źródłem zgody jest u nas najczęściej brak traktowania siebie samego poważnie. W społeczeństwie, w którym nikt nie ceni wyżej swego zdania niż życia, zgoda musi być hasłem nader popularnym.

W społeczeństwie takim każdy atak na panujące stosunki, czyto artystyczne, czy polityczne, czy jakiegokolwiek inne, nieodmiennie przyjęty zostaje ze zgrozą: „Kiedy tam wróg zewnętrzny...” „Wciśnięta między dwóch potężnych sąsiadów...” „Jedność, której tak bardzo brakuje naszemu rozbitemu...”

Otóż obywatele drodzy, tak nie jest. To nie zgoda buduje, to walka buduje. To nie niezgoda rujnuje, to beczynność rujnuje.

Przyjemnie jest też godzić, przykro jest walczyć

człowiekowi słabemu. Słaby człowiek lubi być ze wszystkimi dobrze, żyć spokojnie na boczku i zaniedbywać obowiązku walki jaki na każdym spoczywa. Bo walka jest obowiązkiem. Tylko ten człowiek jest coś wart, coś znaczy i coś może zrobić, który ustawicznie walczy wewnętrznie ze słabością i występkiem — i wygrywa, który kształtuje siebie w myśl ideałów na pewien określony typ duchowy. Tak samo jest z narodem: taki tylko jest coś wart, w którym łamią się i zwalczają wewnętrzne prądy, który świadomie stara się ukształtować swych członków wedle pewnych ideałów.

I dlatego:

„Kto chce spokojny z rodziną  
Swoją kość gdzieś gryźć na boku,  
Wiejskich kosztować słodyczy, —  
Choć się nie policzą ludzie,  
To się Bóg z takim policzy”.

(to ze Słowackiego).

Polska od połowy XVII-go wieku ciągle nagwałt dążyła do zgody wewnętrznej i do zgody zewnętrznej. Chciała gryźć swoją kość na boku i... ludzie się z nią policzyli. Proszę nie wmawiać, że to niezgoda zgubiła Rzeczpospolitą. Nie! To zgoda ją zgubiła. Zgoda — i liberum veto; zgoda — i zażydzenie miast, zgoda — i brak władzy wykonawczej; zgoda — i sejmy rozbiorowe. Honor Polski ratowała insurekcja Kościuszkowska, która pierwsza w dziejach polskich wzniosła szubienice dla rodaków.

„*L'union fait la force*” powiada francuskie przysłowie i myli się. Rzecz przedstawia się odwrotnie „*La*

*force fait l'union*". Proszę tego nie brać cynicznie. Jedności nie tworzy siła zewnętrzna, mechaniczny nakaz, ale tworzy ją siła wewnętrzna. Kto ma siłę wewnętrzną i liczy się ze swoim zdaniem, ma wszelkie dane do stworzenia jedności nie drogą zgody, ale drogą niezgody, drogą walki, zwycięstwa własnych idei i przekonania wszystkich o ich słuszności, przekonania narzuconego siłą wewnętrzną.

„Dobra sprawa tylko siłą triumfować może.”

(to ze Szczepanowskiego).

A u nas ludzie nie wierzą we własne siły, boją się walki, chcieliby zgody „w tej biednej, skołatanej...”, zgody rujnującej, opartej na słabości, na braku jakiegokolwiek wspólnej wiary.

Niema nic obrzydliwszego niż polska zgoda. O uwolnijcie ojczyznę naszą od widma łagodnej zgody! Dajcie uczciwą po męsku toczoną walkę! Hasło zgody podobnie jak hasło tolerancji religijnej najczęściej przemienia się w zwykły indyferentyzm.

Sielanka: zgoda, beczynność, bezmyślność, lekkie wzruszenia estetyczne i domek z ogródkiem, w którym rosną dziewanny, a rządzi, kto bardziej ma ochotę.

„O Polsko, bądź mniej polską”.

(to z Bąka).

## NIECH ŻYJE WOLNOŚĆ

Wyobrażam sobie już, jakie przerażenie wywołać musi w czytelniku ten tytuł. Jest on przerażająco banalny i oklepany, jak łopatka Amerykanina (Amery-

kanie, przynajmniej w powieściach, ciągle klepią się po łopatkach).

Polacy powtarzają ten okrzyk w różnych warjantach od połowy piętnastego wieku conajmniej, z takim uporem, jak żaden inny naród.

I to właśnie nasunęło mi myśl, czy przypadkiem niema w hasle wolności źdźbła słuszności. Tak jest, źdźbła! Bowiem opaskudzone jest to hasło do niemożliwości. W starszych pokoleniach ma jeszcze jakiś walor stary, pachnący lawendą i ziołami. W młodszych jego do tego stopnia zdyskredytowane, że gdy chcemy mówić o wolności, to unikamy tego słowa starannie, zastępując je niezależnością, „niezawisłością” lub nawet „dobrowolną hierarchją”.

A jednak, jeżeli jakiś naród kultywuje jakieś hasło przez pięćset lat, to przez to samo nadaje mu niezniszczalną wartość (nie mieszać niezniszczalności i nieziszczalności — te pojęcia niekoniecznie są nierozdzielne).

Więc rehabilitujmy wolność. Ale w takim razie musimy zacząć od ataku na liberalizm.

Oto jest grabarz wolności i wróg ludu! Z wolności zrobił pierwszą część szyldu podejrzanej firmy „*Liberté, Egalité, Fraternité & C-ie, Société Anonyme*”, pomylił wolność naszą i waszą, z czego wynikło, że wasza miała służyć „naszej” i z przyzwoitego ideału zrobił ordynarny komunał.

Kiedy wogóle pojęcie wolności ma sens?

Gdy jest czemuś przeciwstawione, gdy wyraża jakiś kierunek, spełnienie jakichś tęsknot naturalnych,

jakieś „*refugium*“. Ten rodzaj wolności w Polsce jest szczególnie znany:

„Szlachcic na zagrodzie  
równy wojewodzie“.

„Wolność Tomku  
w swoim domku“.

„Ten pan, zdaniem mojem.  
kto przestał na swoim“.

Nie śmieć się z tych przysłów. One bardzo dobrze wyrażają istotę wolności. Szlachcic jest panem na swojej zagrodzie, ale nie jest nim w grodzie wojewódzkim. Tomkowi wolno robić, co mu się podoba, ale u siebie, nie u sąsiada, ani na królewskim dworze, ani w Sejmie, ani w urzędzie, ani na wojnie, ani na drodze publicznej. Ten jest pan, kto w obrębie swego państwa pozostaje i tak długo, jak tam pozostaje.

To są przykłady wolności prawdziwej. A przykład wolności fałszywej, wolności liberalnej, wolności wolnościowej, słowem — wolnościowości? (To ostatnie słowo najlepiej oddaje po polsku znaczenie i posmak wyrazu: liberalizm).

Na ten przykład: demokracja parlamentarna. Jestem wolnym obywatelem. I mam prawo wybierać takiego posła, który mi obieca, że przeprowadzi ustawę, iż się wywłaszczy plac mego sąsiada Agapita i zrobi tam ogródek. (Tak w niedawno granej komedji „*Towariszcz*“ bankier obiecuje przez wdzięczność lokajowi, że mu da emeryturę na starość, a oburzonej

swjej żonie tłumaczy, że przecież nie zrobi tego z własnej kasy, tylko przeprowadzi w parlamencie nowelę do ustawy ubezpieczeniowej). Otóż, mój poseł może to przeprowadzić z tym ogródkiem. I teraz wołam: gdzie jest wolność Agapita? Albo lepiej, niech będę teraz Agapitem: gdzie moja wolność? Muszę teraz iść do przyjaciela, który ma przyjaciela w rządzie, który tymczasem otrzymał pełnomocnictwa ustawodawcze, i postarać się, żeby tego Atenogenesa (tak się nazywałem w pierwszym wypadku), mego sąsiada, teraz psiakrew, wywłaszczyli i założyli tam basen. I teraz wołam: gdzie jest wolność Atenogenesa? Albo lepiej (przyjawszy, że ja znów jestem Atenogensem): gdzie moja wolność? Liberalizm te rzeczy sankcjonuje: „Masz babo — *placet*“.

Otóż wolność naruszenia wszystkiego, to nie jest wolność, tylko swawola. Liberalizm, jest to program swawoli i niewoli, zmieniających się kolejno w myśl zasady: „Raz na wozie, raz pod wozem“, a dla przeciętnego człowieka, przepraszam — obywatela, zazwyczaj nawet: „Raz podwoziem, raz nawozem“.

To odwrócenie odbywa się albo drogą zmiany większości w parlamencie, albo drogą zamachu stanu, ale to już kwestja techniki.

Pod względem zasad wolności Polska sanacyjna jest typowo liberalna. Wielu ludzi myli tylko różnica, polegająca na tem, że obywca się bez uchwał prawomocnych, czyli, że jest to liberalizm niepraworządny, ale zawsze liberalizm.

Jak będzie więc wyglądała wolność prawdziwa?

Człowiek wolny, to nie jest człowiek, który wybie-

ra sobie władze, tylko człowiek, który wie, że jak władze będą chciały zaglądać mu w garnki na kominię, to im drzwi przed nosem zamknie. Człowiek wolny, to nie jest człowiek, który nie ma zwierzchnika, tylko człowiek, który ma odwagę odmówić wykonania bezprawnego rozkazu.

Wolność liberalna dlatego tak nam obrzydła, że dzieli ona ludzi na dwie płynne grupy: swawolnych Dziurów i niewolnych Dezyderych (od — dezyderat). Prawdziwa wolność, to wolność Tomka.

A więc:

Precz z liberalizmem!

Już słyszę, jak wołacie:

Preeeeeeeeeeeeeeeeeeec!

Niech żyje wolność!

Już widzę wasze rozwarte gęby, gdy krzycycie:

Niech żyjeeeeeeeeeeeeeeeee!

## P R A W O   D W U N A S T U M I L J O N Ó W   T A B L I C

Oczywiście przesada. Nie będzie mowy o dwunastu milionach, ale, jak się czytający o tem niżej przekona, w każdym razie o dobrych kilkudziesięciu tysiącach śpiżowych tablic.

A teraz proszę posłuchać:

W starożytnym Rzymie pierwotne prawo spisane było na dwunastu śpiżowych tablicach. To było całe prawo rzymskie. Uczono go na pamięć w szkołach i każdy obywatel (nie mieszkaniec państwa, bo te rze-

czy w Rzymie ściśle rozróżniano) znał prawo swej ojczyzny. Tak było pierwotnie. A potem?

Współczesny człowiek, ogłupiony potwornym wzrostem ilościowym praw, gotów sądzić, że rozszerzano i zmieniano prawo, uchylając moc wyrytych na śpiżu przepisów. Otóż nie! Dwanaście tablic nadal pozostało zasadą prawa, uzupełnione nielicznymi ustawami, rozszerzającemi tę zasadę. Właściwy rozwój prawa szedł drogą podporządkowywania nowych zjawisk życia społecznego śpiżowym paragrafom dwunastu tablic. Pretor (coś w rodzaju ministra sprawiedliwości) ogłaszał, że dajmy na to do nowopoznanego, zagranicznego materiału, zwanego jedwabiem, stosować się będzie te przepisy, które w prawie zasadniczem odnoszą się do wełny i sprawa była załatwiona w ten lub podobny sposób. Obywatel więc znał prawo, a jego troską było conajwyżej zagadnienie interpretacji. Od tego byli adwokaci, a wśród nich najświetniejszy adwokat świata, Marek Tullius Ciceron, którego nazwisko wymawiać należy poprawnie Kikero.

Rzym dał światu — prawo.

A teraz wyobraźmy sobie, że ktoś pragnie współczesne prawo polskie wykuć na śpiżowych tablicach. Obowiązujące u nas prawo, to nie jest kilkanaście tablic, ani kilka książek, zadrukowanych paragrafami, ani półka z takimiż książkami, ale cała biblioteka. Wedle najpobieżniejszych obliczeń po przeliczeniu na tablice da to około sześćdziesięciu tysięcy tablic poważnej wielkości. Jeżeliby ktoś zapragnął te tablice przybić na murach Warszawy, jak to było w Rzymie, to umieszczając po parę tablic na każdym domu sto-



licy, wytapetowałyby niemi całe miasto, nie wyłączając peryferyj.

Oczywiście żaden obywatel nie mógłby znać wszystkich praw. Nie mógłby ich znać także żaden prawnik. Jeden adwokat, powiedzmy specjalista od spraw karno-administracyjnych, znałby tylko drogę z ulicy Miedzianej na Cynową i łączność między przepisami, wrytymi na tablicach tych ulic. Drugi, na przykład specjalista od prawa akcyjnego, znałby tylko drogę z Wroniej na Kruczą. Trzeci...

Niema wprawdzie u nas tablic na murach całej Warszawy, ale skutek jest ten sam. Prawnik czuje się w stosach przepisów jak w wydmach lotnego piasku. Zapada w nie coraz głębiej, bez nadziei wybrnięcia. Pokątny znawca gra rolę świnki morskiej na kataryncę: na chybił-trafił wyciąga przepowiednie spośród stosu innych kartek. Obywatel natomiast nie usiłuje nawet poznać choćby części przepisów, bo wie, że to niemożliwe, że jest ich cała rzeka: jedne przypływają, inne odpływają, tracąc moc obowiązującą.

W tem położeniu „człowiek ulicy” (że użyję ulubionego zwrotu Goebbelsa), nie wie nigdy, kiedy łamie prawo, kiedy nie, jego poczucie prawa zanika, a filozofja prawna wygląda, jak psychologia owego czerkiesa (Generał rosyjski dostał ostrzeżenie, że publicznie zbijają go po twarzy. Wziął więc dla ochrony olbrzymiego Czerkiesa i z nim wszędzie chodził. Pewnego razu szli przez Newski Prospekt w Petersburgu, aż tu nawprost nich zatrzymała się elegancka karjolka, wyskoczył z niej jegomość w cylindrze i mikołajewskim płaszczu, podszedł od generała i z dwóch

stron „znieważył go czynnie”, poczem wrócił do karjolki. Generał w najwyższym oburzeniu obejrzał się na Czerkiesa, a ten — stał na baczność. „Myślałem — tłumaczył się później — że on starszy”).

Co trzeba zrobić, żeby prawo stało się własnością narodu, żeby naprawdę żyło, a nie było zabawką dla manjaków? Trzeba wprowadzić hierarchję praw. Musi być prawo zasadnicze, muszą być obowiązujące zasady prawa, o objętości dwunastu tablic, żeby ich można było uczyć w szkole, żeby mogły wisieć w każdym urzędzie gminnym i żeby zarówno Franciszek Grzelak z Zarzecza, jak i profesor entomologii ze stołecznego uniwersytetu wiedzieli co jest wogóle zgodne z prawem, a co jest niedozwolone. Na szczycie hierarchji praw stać muszą dogmaty prawne.

Jak dotąd bowiem stosunek przeciętnego człowieka do prawa nie jest stosunkiem członka narodu do wytworu ducha tegoż narodu, ale stosunkiem murzyna z kolonji Kenya do tajemniczych i niezrozumiałych żądań białego eksploatatora, opartych na zadrukowanych kartach białego papieru.

## S P A Ł A I P O C Z D A M

Nie, feljeton nie będzie polityczny w sensie potocznym tego słowa, a to, że w obu wymienionych w tytule miejscowościach znajdują się letnie siedziby głów państw, jest kwestją zupełnego przypadku. Zestawienie Spały z Poczdamem ma całkiem inną przyczynę.

Do Spały zjechali harcerze z całej Polski. Przyjechali także skauci z Bułgarii i Norwegji, z Czechosłowacji i Estonji, z Węgier i Rumunii.

25-lecie harcerstwa. A może coś więcej? „Straż Przednia” jest zachwiana w swej pozycji (kierownikami „Straży” byli ludzie z komunizującego „Obwodu Szkolnego Legjonu Młodych”), na harcerstwo wskazał wyraźnie naczelnik Kawałkowski, jako na najpożyteczniejszą organizację „młodzieżową”. Ale przyjmijmy, że to jest pro prostu dwudziestopięciolecie.

Wiem, że wywołam znowu skandal, ale muszę powiedzieć, że harcerstwo mi się wogóle jako takie nie podoba. Chcę mówić wyraźnie: nie dlatego mi się nie podoba, że jest opanowywane przez sanację, nie podoba mi się wogóle i nie podobałoby mi się także, gdyby było „narodowe”.

Były piękne czasy harcerstwa, a to wtedy, gdy powstawało. Było wówczas konspiracyjną organizacją młodzieży polskiej, Przystosowaniem Duchowem do zbrojnej walki o niepodległość. Ta rola skończyła się w 1920 r. pięknym finałem pomocniczej służby harcerzy w wojnie polsko-bolszewickiej. A potem, we własnym państwie, harcerstwo nie umiało a może z natury swojej nie było zdolne znaleźć sobie właściwego celu. Przyszło pokolenie, dziś rządzące w Z. H. P., przyszedł proces umiędzynarodowienia i sterylizacji duchowej, myślę, że nieuniknionej, bo powszechnej we wszystkich organizacjach skautowych świata.

Formy zewnętrzne organizacji nie są rzeczą bez znaczenia — w butelce nie można trzymać masła ani w worku — naczyń porcelanowych.

Celem pracy skauta nie jest ani dobro narodu, ani zbawienie duszy. Harcerz pracuje nad sobą, aby się „wyrobić”, pracuje dla celu w gruncie rzeczy bardzo egoistycznego. Pracuje w myśl wolnomularskiego ideału uczynności, w ramach purytańsko-protestanckiej cnoty negatywnej (nie pali, nie pije, nie kłamie).

W umyśle harcerza przyjemność i rozrywka staje się celem i wielką działalnością, a fałszywa poza angielskiego, pogodnego wyrazu twarzy zastępuje katolicką cnotę męstwa. Poprzez program „sprawności” i „dobrego uczynku”, przez praktykę zjazdów międzynarodowych, szczepi się podświadomie w duszach młodzieży ideał „pożytecznego członka ludzkości”. Symbolem supremacji brytyjsko-masońskiej staje się osoba Naczelnego Skauta, „czcigodnego generała” w krótkich majteczkach, Baden-Powella, którego polskie pisma harcercskie nazywają za wzorem obcych, idjotycznym, pieszczotliwym skrótem — Bi-Pi.

I to ma być szkoła pracy społecznej polskiej młodzieży!

A właśnie dostałem książkę: „*Die Hitler-Jugend, Idee und Gestalt*”, napisaną przez Baldura von Schiracha.

Schirach, człowiek dwudziestokilkoletni, jest ministrem i przywódcą młodzieży Rzeszy. Nie przyszedł drogą zwykłej nominacji. Zakładał związki młodzieży hitlerowskiej w ostrej walce z całymi ówczesnymi Niemcami. Musiał nawet na pewien czas uciec do Austrii. Największą aktywność rozwijał w okresie zakazu istnienia *Hitler-Jugend* i, jak twierdzi, wówczas pozyskał najwartościowszych członków. Wśród

*Hitler-Jugend* byli nawet i polegli w walkach politycznych. Z dumą też pisze, że jego organizacja w niczem nie przypomina włoskiej *Balilli*, czy węgierskiej *Levente*. Tamto są organizacje, tworzone przez państwo dla wychowania młodzieży, to jest organizacja, stworzona przez młodzież dla państwa, organizacja, która walczyła z dawną formą państwa, aby stworzyć nowe Niemcy.

Zasadą organizacyjną *Hitler-Jugend* jest maksyma Hitlera „Młodzież musi być kierowana przez młodzież”, to znaczy, że wszyscy kierownicy ruchu młodzieży są rówieśnikami swoich podwładnych. Młodzieży tej jest parę milionów. Razem w każdej komórce organizacyjnej jest młodzież robotnicza, czy chłopska z młodzieżą szkolną z gimnazjów, niema podziału stanowego, niema przewagi warstwy zamożniejszej.

Otóż, wkrótce po zniesieniu zakazu *Hitler-Jugend*s, w roku 1932 powziął Schirach „szaleńczy”, jak twierdzi, plan zrobienia ogólnoniemieckiego wielkiego zjazdu młodzieży w Poczdamie (miał wówczas w kasie 200 marek i istniały poważne trudności ze strony władz administracyjnych). Plan został wykonany. Do Poczdamu zjechało ku zdumieniu samych organizatorów, ni mniej ni więcej, tylko sto tysięcy młodzieży. Hitler przyjmował przez 7 godzin bez przerwy defiladę i Schirach pisze, że wówczas jedyny raz w życiu widział *Führera* wyraźnie wzruszonego. I nic dziwnego: wtedy po raz pierwszy ujrzał Hitler istotną podstawę trwałości i znaczenia swego ruchu.

Tak, tak... Tylko w myśl rozpalających wyobraźnię

młodzieży ideałów, tylko w walce z całym starym porządkiem świata, w przeciwstawieniu do wszelkich małych, „porządnych” ideałów tworzyć można wielkie ruchy młodzieży i tę młodzież naprawdę wychowywać.

A wy, *Meine Herren von Warschau*, nie potrafiliście pokierować nawet „elitarną” pod względem liczby „Strażą Przednią”, mimo, że rozpoczynał tę pracę jeden z tak niewielu wśród was szlachetnych i inteligentnych ludzi. A dziś nawracacie do malutkiego i ubożuchnego ideału jednego dobrego uczynku dziennie, jednej nowej sprawności na pół roku i jednego nowego sposobu wiązania sznurka na miesiąc.

\*

Pewne polskie pismo ilustrowane z okazji zlotu w Spale zamieściło na okładce barwną fotografię małego murzynka w mundurze skautowym, dmącego w złotą trąbkę.

Skauting zorganizowano nawet dla murzynów. Ale murzyni nie potrafią zdobyć się na ruch młodych.

## S P O Ł E C Z E Ń S T W O NA GLINIANYCH NOGACH

Co jakiś czas ktoś w jakimś piśmie podaje jakieś dane statystyczne. Zamieszcza się je w postaci małej jednoszpaltowej wzmianki, mało kto je przeczyta, a kto je przeczyta, i ten wkrótce zapomina.

Ostatnio ukazało się jednak kilka takich wzmianek, które razem zestawione i opatrzone komentarzem, może niejednemu trochę rozświetlą pojęcia o położeniu naszego narodu w obecnej chwili.

Najpierw ktoś obliczył, że w Polsce około miliona ludzi żyje z pieniędzy otrzymywanych z kas państwowych i samorządowych. Oczywiście, obliczenie to obejmuje nie tylko pracowników, ale i ich rodziny, nie tylko urzędników, ale wszelkich funkcjonariuszów państwowych i samorządowych. Razem stanowi to milion osób, czyli przeszło 3 procent ogółu ludności.

Następnie ukazało się obliczenie ogólnej ilości osób, otrzymujących rentę starczą, inwalidzką, lub wdowią z ubezpieczeń społecznych. Cyfra takich ludzi wynosi ćwierć miliona. Jeżeli wziąć pod uwagę, że z renty żyje przeważnie więcej niż jedna osoba, że korzysta z pomocy rentjera zawsze jeszcze ktoś inny, lub nawet niekiedy parę osób, to cyfra pół miliona emerytów społecznych nie będzie przesadzona. Stanowi to znowu około 1½ procent ogółu ludności.

Pozatem ukazało się zwykle zestawienie stanu bezrobocia. Zarejestrowanych bezrobotnych miejskich, bo wiejskich się nie rejestruje, jest przeszło 400 tysięcy. Wszyscy ci bezrobotni żyją na koszt społeczeństwa, bo albo otrzymują zasiłki, albo pomoc od rodzin, może pozatem nawet niektórzy żebrzą lub kradną — to jest także forma życia na koszt społeczeństwa. Bezrobotni w znacznej części nie są sami, lecz mają rodziny, z których część, zwłaszcza dzieci i częściowo żony, które nie pracowały nigdy, żyją razem z nimi z tych samych źródeł „dochodów”. Nie będzie więc chyba błagą, gdy

się tę kategorię osób żyjących ze społeczeństwa obliczy na milion głów, pamiętając, że nie wszyscy bezrobotni w mieście są rejestrowani. Przybywa więc nowe przeszło trzy procent ogółu ludności.

Teraz już nie statystyka, której w tym zakresie nie ma, ale opisy w gazetach, mówią nam o nędzy wsi, a zwłaszcza o jej przeludnieniu. Ile jest na wsi rąk niepotrzebnych do pracy? Trudno niezmiernie to obliczyć. Wiemy o całych szlakach, którymi ciągną bezdomni, zwłaszcza na kresach, wiemy o chłopskich synach, którzy bez roboty siedzą po wsiach, bo nie mogli utrzymać się w mieście, wiemy o repatriantach i re-emigrantach. Spróbujmy to jakoś, choćby problematycznie, zliczyć. Można przyjąć, że na każde dziesięć osób żyjących z roli, przynajmniej jedna jest właściwie niepotrzebna, ani do obróbki gruntu, ani do innych działów gospodarstwa — przynajmniej jedna na dziesięć żyje na koszt innych. Każdy, kto zna stosunki wiejskie, przyzna, że nie jest to obliczenie wygórowane. A obliczenie to daje nam cyfrę, najłagodniej licząc 2½ milionów głów, to znaczy przeszło 7½ procent ogółu ludności.

Do powyższych danych trzeba jeszcze wiele doliczyć. Trzeba doliczyć młodzież, która dotąd wogóle nie pracowała. Trzeba doliczyć w wolnych zawodach wielką ilość faktycznych bezrobotnych, zwłaszcza młodych. Wreszcie dodać trzeba znaczną ilość kobiet miejskich, które ani nie pracują w domu, ani poza domem, ani nie wychowują dzieci, które albo żyją na koszt rodziców, mimo iż nie są już niedorośle, albo na koszt męża, nie zajmując się prowadzeniem gospo-

darstwa domowego. Zaryzykujemy dla tej mieszanej kategorii osób liczbę ogólną miliona dusz.

Uzupełnimy to cyfrą ludzi żyjących z kombinacji, nie z pracy produktywnej — wszelkiego rodzaju nieokreślonych pośredników, graczy, postaci ze „świata finansów”, pomocniczych a niepotrzebnych figur z przemysłu i handlu, bezrobotnych żyjących pożyczkami, wreszcie pewnej części t. zw. „uczającej się młodzieży”, która niczego się nie uczy, a otrzymamy jeszcze znaczną podwyżkę ogólnej cyfry ludności żyjącej na koszt społeczeństwa.

Po zsumowaniu wymienionych wyżej kategorii ludzi otrzyma się imponującą cyfrę około 6½ milionów osób. Sześć i pół miliona ludzi, to jest piąta część ogółu zaludnienia Polski, czyli 20% ludności. I to jest cyfra liczona naprawdę skromnie.

Przekładając tę cyfrę na język bardziej obrazowy, znaczy to, że w Polsce każda nieduża czteroosobowa rodzina utrzymuje jednego człowieka, który nic nie tworzy, ani wytwarza. Ponadto rodzina ta utrzymuje się sama, to znaczy utrzymuje swoje niepracujące w dużej części dzieci lub starców i jeszcze ponosi koszty rzeczowych wydatków na państwo. A więc, gdy się uwzględni dzieci i starców, to w Polsce na każde dwie osoby pracujące przypada co najmniej trzy osoby utrzymywane. W normalnym społeczeństwie stosunek powinien być odwrotny, to znaczy w przeciętnej pięciosobowej rodzinie, trzy (powiedzmy rodzice i najstarsze dziecko) powinny pracować.

Struktura społeczna Polski przedstawia się wskutek tego jak chore dziecko murzyńskie na cieniutkich

i słabiutkich nóżkach z olbrzymim wyдутym brzuchem. Jest to struktura chora i słaba, wymagająca na gwałt przebudowy.

## BĘDZIECIE LISZEŃCAMI!

„Tyś szlachty syn, więc dbaj o czyn, tak nasi mawiają ojcowie”.

Czasby już był najwyższy zaprzestać używania przestarzałego terminu „inteligencja”. Trzeba zacząć używać właściwego określenia — „warstwa urzędnicza”. Kto myśli starymi kategorjami, gotów protestować: a wolne zawody, podstawa warstwy inteligenckiej!... Niema już wolnych zawodów, znajdują się w stanie szcątkowym.

Lekarze? W starszem pokoleniu lekarskiem jest jeszcze duża część wolnopracujących, ale w młodszem są już sami urzędnicy. Czy słyszał kto w ostatnich latach zdanie: „Jaś skończył medycynę i otworzył gabinet?” Nie. Słyszcy się natomiast: „Jaś skończył medycynę i pracuje w Ubezpieczalni”, „Jaś skończył medycynę i pracuje w szpitalu miejskim”, „Jaś skończył medycynę i pracuje w Pogotowiu, w przychodni banku, w inspekcji”.

Adwokaci? Byłoby bardzo ciekawe przeprowadzić ankietę, ilu adwokatów utrzymuje się z wolnej praktyki. Może specjaliści od spraw karnych, może garstka „sław” cywilistycznych. A pozatem? Pozatem praktyka jest dodatkiem, a głównem źródłem utrzymania radcostwa prawne, rzadziej nadzory, sekwestry

i kuratele. Adwokat też jest już przeważnie urzędnikiem, referentem prawnym jakiegoś przedsiębiorstwa. Czy słyszał kto kiedy w ostatnich czasach zdanie: „Jaś się dobrze ma, wyrobił sobie dużą praktykę?” Nie. Słyszcy się natomiast: „Jaś się dobrze ma, został radcą prawnym”, „Jaś się dobrze ma, wstąpił do Karpia i dostał nadzór”, „Jaś się dobrze ma, został kierownikiem biura prawnego”.

Inżynierowie? Ci oddawna są urzędnikami w państwowych, pół-państwowych, ćwierć-państwowych, kartelowych, zagranicznych i wszelkich innych przedsiębiorstwach. Nie urzędnikami zdrowia, ani prawnymi, ale urzędnikami technicznymi. Poza tym są jeszcze urzędnicy administracyjni i buchalteryjni. Nawet malarze są coraz częściej urzędnikami po muzeach, bibliotekach...

Kiedy się mówi u nas o przeroście biurokracji, o urzędnikach, to się ma na myśli urzędników państwowych. A to jeszcze nie jest żaden wielki problem. Jest ich za dużo. Ale po pierwsze urzędników państwowych we współczesnej epoce nie może być tak mało, jak niegdyś, po drugie problem jest możliwy do rozwiązania z małą stosunkowo tragedją, bo na szczęście sanacja będąc od lat w walce z młodzieżą, nie wytworzyła mas młodych urzędników państwowych (co teraz radaby zrobić, gdyby mogła) więc urzędnicy ci, to ludzie starsi, których i usunąć łatwiej i bliżej stoją końca, niż początku życia.

Wielki problem, to są ci wszyscy inni urzędnicy.

W towarzystwie handlu kompensacyjnego pracuje ich przeszło stu.

A w Izbach przemysłowych, rzemieślniczych, rolniczych, w związkach izb, w związkach „branżowych” przemysłu, kupiectwa, rzemiosła? Jest dziś taki stan, że jeżeli czterech mydlarzy założy związek, to muszą brać „dyrektora” z wyższym wykształceniem, żeby się rozmówił swoim inteligentnym żargonem z „dyrektorami” innych związków, z Izba, Urzędem, Zarządem miejskim. To są współcześni pachciarze. Tylko nie handlują swoim sprytem, ale swoją „inteligencją”. Wegetują z tego marnie, ale wegetują.

Trzeba się zastanowić przez chwilę, jak potworny garb w postaci biurokracji „samorządu” gospodarczego dźwigają na sobie wszelkie warsztaty pracy. A potem samorząd gospodarczy występuje przeciwko biurokracji w państwie. To jest komiczne!

Życie gospodarcze ledwie dyszy i wszyscy rozumieją, że z nieubłaganą konsekwencją zmierza do nowego ustroju. Jeśli nawet nic się nie zmieni, jeśli tylko rzeczy pójdą dotychczasowym biegiem, z fatalną konsekwencją wszystko znajdzie się w ręku państwa. A wówczas dopiero okaże się, że państwo, które już niema podatników, tylko pracowników, nie może utrzymywać takiej nieudolnej olbrzymiej biurokracji i administracyjnej i gospodarczej. Towarzystwo pójdzie won, towarzystwo zostanie liszeńcami.

A może nastąpią jakieś zmiany. Rozpatrzmy teoretycznie możliwości — są dwie: a) komunizm, czyli znowu państwo, z tą różnicą, że nie byłoby już żadnych ceremonij z biurokratami, miejsca potrzebne byłyby dla swoich — czerwonych; b) nacjonalizm, to znaczy samodzielne małe warsztaty i uspołecznione

wielkie warsztaty — tu także niema miejsca na taką biurokrację, to jest *contradictio in adiecto*.

Więc co z tobą będzie, klaso urzędnicza? Najsilniejsi, najmądrzejsi dadzą sobie radę, ale masa? Masa nie weźmie się do innej roboty, bo do niej jest niezdolna, bo jest wychowana na urzędników, bo twórczej pracy nie rozumie i nie zrozumie, do warsztatu nie stanie, wsi gospodarczo nie zorganizuje, państwem kierować nie będzie.

Jeszcze państwowej biurokracji część się uratuje. Każde państwo, bez względu na ustrój, kadr biurokracji potrzebuje, w każdym *regime*, część urzędników *ancien régime* się ocala. Ale ta cała olbrzymia biurokracja społeczna, samorządowa i gospodarcza! Co z wami będzie, inteligenci, za lat kilkanaście?

Będziecie liszeńcami. Bez względu na to, jaki będzie ustrój, wy będziecie liszeńcami. I wyrzucenie żydów i przebudowa ustroju w jakimkolwiek kierunku, może przynieść pewną ulgę, nie może was uratować jako całej masy. A jeżeli wam mówią syndykaliści, czy socjaliści, konserwatyści, czy komuniści, antysemita czy antyfaszyści, że będzie dla was raj, to żą.

Bo wy, w każdym razie będziecie liszeńcami.

## L I S T   D O   U K R A I Ń C A

Panie Dymitrze Doncow!

Nie piszę do Pana osobiście. Piszę pod pańskim adresem, ponieważ jest to jedyny znany mi adres z tamtej strony.

Tamta strona jest oddzielona od nas cienkim, stalowym płótem. Z poza tego płótu widzimy tylko czasem kolorową czapkę-siczówkę, czasem siwobrodą głowę metropolity Szeptyckiego, a najczęściej słyszymy strzały. I to jest wszystko. Toteż przeszło siedem miesięcy trzeba było, żebym się dowiedział, że gdzieś po tamtej stronie wychodzi tygodnik „*Wistnyk*“ i że Pan napisał w nim artykuł o zasadniczym stosunku waszym do Polski.

Pisze Pan, że Polska nie reprezentuje żadnej idei cywilizacyjnej, że jeżeli kiedyś była przedmurzem chrześcijaństwa i bastjonem zachodu, który walczył i organizował wschód, to teraz dobrowolnie zrezygnowała z tego wszystkiego i zeszła do roli narodowej prowincji; że jeżeli Ukraińcy szukają cywilizacyjnego oparcia i źródeł, to muszą iść na zachód, ale na ten zachód, który się odradza, a nie do Polski, bo ta im nic nie da i dać nie może.

Widzi Pan, dla nas młodych Polaków (nie chcę pisać młodych nacjonalistów, bo to słowo jest wyrazem zeszlowieczonej manieri nazywania wszystkiego izmami, a dziś już naprawdę niewiele znaczy), dla nas rewelacją jest, że Wy zajmujecie się i piszecie o tem, co nas najwięcej podnieca i boli.

*Skontfiskowane.*

Pod koniec wojny byliśmy dziećmi. I wtedy właśnie w Polsce wrzała najzaciętsza walka między federalizmem i jednolitością, o to, czy budować Ukrainę, czy rozbierać ją. Myśmy byli za mali do tej dyskusji. Ale nie byliśmy za mali, żeby odczuć bohaterstwo, bohaterstwo dziecinnego Lwowa. Nie istniał dla nas Petlura, ale istnieli rówieśnicy nasi, którzy tam, we Lwowie, ginęli od waszych kul. Ukraińcy byli dla nas czemś takim, jak Niemcy, czy Bolszewicy, byli najazdem, okupantami, jeszcze jednym ciemnizykiem naszego narodu. Nie przyszłoby żadnemu z nas do głowy, że ci Ukraińcy mieszkać mogą w okolicy Lwowa.

I cóż znaczyć mogły jakiegokolwiek racje polityczne wobec tego, że chcieliśmy być tam we Lwowie i starać się dźwigać ciężkie karabiny, a choćby przenosić mel-dunki przez front uliczny. Dlatego w dużej mierze, właśnie dlatego, wyrosliśmy na pokolenie „endeckie”. Kwestja ruska była dla nas rozstrzygnięta testamentem Orląt.

Ma Pan rację, że w Polsce niema żadnej wielkiej myśli cywilizacyjnej, żadnej idei. Zobaczyliśmy to, kiedyśmy skończyli szkoły. „Starsi” pokazali nam wtedy trzy rzeczy: pokazali czerwony sztandar, ale to nie był sztandar idei, to był dla nas przedewszystkiem sztandar Związku Socjalistycznych Republik Rad,

To miała być Polska z Opolem i Olsztynem. Kownem i Królewcem. I marząc o imperjum polskim, wchodziliśmy na uniwersytety. Ale marzenia przerywały się, bo zobaczyliśmy że połowa sal wykładowych marzy o czym innym, myśli o czym innym, że połowa sal nie jest polska, tylko żydowska. Na szereg lat zostaliśmy zaabsorbowani programowo kwestją żydowską, najbardziej palącą i najbliższą nam. Z kwestją żydowską poszliśmy do robotnika i chłopca. Wyście jeszcze ciągle byli dla nas tylko poskromionymi najeżdźcami-hajdamakami.

A potem zobaczyliśmy i kryzys i wyzysk i bezrobocie i potworność ustroju gospodarczego i nędzę wsi. I wtedy zrewidowaliśmy nasz zasadniczy stosunek — stosunek do spraw naszego narodu. Zaczęliśmy formułować ideję, która może i musi stworzyć zupełnie nowy porządek w Polsce, ale — nietylko dla Polski. Porządek, na którym wzorować się będzie cała Europa, porządek absolutnie i djametralnie sprzeczny z tem, co jest na wschodzie, nad Dnieprem, Wołgą, Jenissejem.



Kiedy tam nawet z chłopą chce się zrobić proletariusza, to u nas z każdego proletariusza tworzyć się będzie gospodarza. Kiedy tam każdy człowiek ma być urzędnikiem, to u nas znosić się będzie i rozpędzać urzędy i biurokrację. Kiedy tam tworzy się kołchozy, u nas rozparceluje się wielką własność, także polską w kresowych województwach, bo nie może być w Polsce kwestji socjalnej i nie może nigdzie pojęcie Polaka pokrywać się z pojęciem pana i urzędnika. I kiedy tam ma każdy wierzyć w postęp materialny, kochać cyfry i djalektykę, u nas wierzyć będą ludzie w Boga, stwórcę duszy ludzkiej i źródło cech, które nazywamy duchem narodu, kochać będą swoją ziemię, swoją twórczość, swój język i swój obrządek. I w tem państwie więcej będzie wart człowiek, który za nic nie wyrzeknie się swojej ukraińskiej mowy i swego greckiego obrządku od człowieka, który gotów każdej chwili zmienić mowę i obrządek.

Bo naród, Panie Doncow, to nie jest narodowość. Ludzie wychowani w niewoli, ludzie broniący tego, co im zostało, nie zdobywcy, uczyli nas, że naród, to biologia, etnografia, lingwistyka. My już wiemy, że to nieprawda. Wiemy, że naród to przedewszystkiem idea i porządek cywilizacyjny. Wiemy, że są narody oparte na paru narodowościach, że Mistral był dlatego wielkim Francuzem, że kochał Prowansję i język prowansalski, że pisał w Langue d'òc, którą mówi trzecia część Francuzów. Bo, gdyby Polacy przed wiekami pojmowali naród tak, jak go pojmują dzisiejsi „starzy” Polacy, zarówno sanatorzy jak endecy, to nie byłaby Polska przedmurzem chrześcijaństwa

i nie byłoby Ostrońskiego, Kisiela, Kościuszki, Mickiewicza, Żółkiewskiego, nawet nie byłoby tego feljetonu, boby go nie miał kto napisać. Naród, to jest twór duchowy. Dlatego nie mogą do narodu naszego wejść Żydzi, bo są z innego świata duchowego, z innej cywilizacji.

Przypuszczam, że to wszystko nie trafia Panu do przekonania. Bo Pan napewno na naród patrzy tak, jak „starzy” Polacy, bo Pan powie, że to wszystko lacksa chytróść i nowa forma polskiego imperjalizmu, bo Pan będzie pytał tylko o to, czy to przybliża w czem budowę państwa ukraińskiego nad Dnieprem. Mogę Panu powiedzieć tylko jedno. Jeżeli jest możliwość budowy prawdziwego państwa ukraińskiego, to tylko i wyłącznie wtedy, kiedy centrum zachodniej cywilizacji, środek nowego porządku będzie w Polsce. Kiedy człowiek znad Dniepru będzie mógł wybrać nie rosyjski materializm, tylko polski spirytualizm, nie rosyjski kolektyw, tylko polską rodzinę, nie rosyjską produkcję, tylko polską twórczość, nie rosyjski internacjonalizm, tylko polską miłość własnej narodowości, nie rosyjski marksizm, tylko chrześcijaństwo. Kiedy będzie mógł wybrać, kiedy będzie chciał wybrać i kiedy „wybrawszy” będzie mógł i chciał w imię idei stoczyć walkę bezwzględna. Bo metody Petlury i tworzenia ukraińskiego państwa polskimi bagnetami nawet Pan chyba sobie nie życzy.

Widzi Pan, wiele z tego, co napisałem, jest jeszcze niesprecyzowane i niewyraźne. Tak! Ale parę lat temu nie było jeszcze nic — była tylko „narodowa prowincja”, a za parę lat może być nowy ustrój. Wolał-

bym, żeby Pan wziął udział w walce o ten ustrój, w jego tworzeniu. Ale rozumiem niestety, że to jest nieprawdopodobne.

## BEZWSTYDNIENAGA PRAWDA

— Bardzo to dziwna będzie rozmowa. Poraz pierwszy bodaj się zdarza od lat kilkunastu, by ukraiński nacjonalista rozmawiał bezpośrednio z polskim nacjonalistą.

— Tak, chyba po raz pierwszy od czasu wojny polsko-ukraińskiej w 1918 roku.

— Jestem ciekaw, do czego możemy dojść w tej rozmowie. Może bez długich wstępów weźmiemy byka za rogi: czego wy Ukraińcy chcecie?

— Niepodległości.

— Mam dziedziczną nieodpartą sympatię dla każdego dążenia do niepodległości. Nie mogę zaprzeczyć, że jesteście, przynajmniej na terenie Galicji, pełnym narodem. Ale moje sympatje dla waszej niepodległości mają jedną granicę — niepodległość mego narodu. Dlatego muszę od razu zapytać: czy i za jaką cenę możecie zrzec się pretensyj do Galicji i Wołynia?

— Za żadną. Bez nich nie możemy budować państwa. Ukraina za sowieckim kordonem stanowi wprawdzie ogromną większość naszego terytorjum narodowego, ale tam nie jesteśmy jeszcze w pełni zorganizowani jako naród. Chłop ma tam poczucie swej odrębności społecznej i językowej, nie ma pełni świadomości narodowej, inteligencji ukraińskiej jest zamało,

bo prawowiernych komunistów trzeba uważać za Rosjan — są zruszczeni przez bolszewizm. Tymczasem tu my stanowimy niezwykle spoisty organizm narodowy. Tu byłby rezerwar i wzór. Bez Galicji Ukraina, choćby sięgała za Ural, nie byłaby Ukrainą.

— A dla nas Polska bez Lwowa nie byłaby Polską. Galicja Wschodnia liczy mniej więcej tyluż uświadomionych Ukraińców — nie liczę tych, którzy nazywają siebie Rusinami, czy inaczej jeszcze — co Polaków, a kulturalnie włożyliśmy tam więcej niż wy. Teren jest gruntownie mieszany pod względem etnograficznym. Myśl jakiegokolwiek granicy na tych ziemiach jest nie do przyjęcia, nie mówiąc już o ich całkowitej utracie.

— Dla nas taksamo.

— Otóż przychodzi mi czasami na myśl próba zupełnie innego rozwiązania. Nie róbmy granicy, stwórzmy wspólne mocarstwo z jednakowymi prawami obu narodowości, z jednym rządem wspólnym, sięgające od morza do morza...

— Drogi panie! Niech pan sobie wyobrazi, że żyje pan w roku 1900-ym powiedzmy. Rosjanie proponują wam: Stwórzmy jedno wielkie słowiańskie mocarstwo, sięgające poza Odrę, ze wspólnym rządem. Prezesem ministrów zostanie Polak, obalimy carat i... zniesiemy wszelkie wewnętrzne granice. Co tam kłócić się o Chełmszczyznę i Kraj Zabroniony! Jeden naród rosyjsko-polski... Niech mi pan teraz powie — czy jakiegokolwiek uczciwy patriota polski mógłby się na to zgodzić szczerze, nie w chęci okpienia Moskali? Czy ruch, któryby stanął na gruncie takiego zjednoczenia,

nie byłby w oczach całego społeczeństwa polskiego natychmiast skończony?

— Pański przykład przekonał mnie całkowicie. Nasuwa mi także dalsze refleksje. Zaczynam rozumieć ostatni rozłam wśród Ukraińców na tle stosunku do Polski. To jest coś takiego jak rozłam Polaków na tle stosunku do Rosji w r. 1908. O. U. N. jest jak P. P. S.-Fracja—nieprzejednana, U. N. D. O. jest jak N. D. — chce nas wygrać politycznie, ale cel ma ten sam. Jak N. D.: najpierw sprawa szkolnictwa, potem samorząd gminny, potem autonomja, potem niepodległość, a w razie tej niepodległości... rządy wzięłaby za łeb O. U. N.

— Pańska analogja skolei utwierdza mnie w mojej wierze w szybkie zbudowanie niepodległej Ukrainy.

— Niech pan nie zapomina, że analogje historyczne są zawsze tylko częściowe. Tu różnice są wyraźne. Myśmy byli narodem z wielką i ciągłą przeszłością, zorganizowanym we wszystkich trzech zaborach. Wy nie macie nawet zaborów, bo wasze obecne terytorjum etnograficzne nigdy nie stanowiło jednego państwa. Żyjecie w czterech państwach, a z tych tylko w części jednego stanowicie pełny zorganizowany naród. I to stanowicie go w tem państwie tylko na części waszego terytorjum etnograficznego, gdy pozostała część jest bierna. Pozatem powstanie Polski nie likwidowało ani Niemiec ani Rosji do roli małego państewka. Powstanie Ukrainy likwidowałoby do tej roli Rosję, a także, choć w mniejszym stopniu, i Polskę. Główna różnica jest jednak ta, że jako całość jeszcze nie jesteście zdolni do wywalczenia i stworzenia sobie

państwa. Nie stanowicie jeszcze narodu na całym terytorjum narodowościowem. Moglibyście liczyć na równoczesny rozbiór Rosji i Polski tylko wtedy, gdybyście dla ewentualnego wspólnego wroga tych państw stanowili sojusznika silnego, mogącego wzniecić powstanie od Sanu po Ural. Do tego jest daleko. Tutaj może być walka, albo...

— Może być tylko walka. Ugoda jest także rodzajem walki, jest strategicznem zawieszeniem broni.

— Ma pan rację. Skoro co do przedmiotu sporu ani wy ani my ustąpić nie możemy, a wspólna droga jest nie do przyjęcia, pozostaje tylko walka.

— O ziemię.

— Nie o ziemię. Walka o dusze wszystkich ludzi w Polsce, którzy mówią po rusku. Także walka o typ waszej cywilizacji narodowej. Walka wiąże silniej niż przyjaźń. Od przeciwnika przejmuje się bardzo wiele. Nam zależy na tem, żebyście byli do nas jaknajpodobniejsi, żebyście naszą cywilizację nieśli na wschód.

— Kiedy nam zależy, żeby być jaknajpodobniejszymi do wschodu.

— Wiem, i to jest właśnie druga, wyższa płaszczyzna walki.

— Oto i doszliśmy do czegoś w tej rozmowie, jak pan chciał.

— Chciałbym żebyśmy nietylko do tego doszli. Doszliśmy do konieczności walki. Ale idzie o przeprowadzenie mimo tej walki jednej zasadniczej zmiany we wzajemnych stosunkach. Walka nie wyklucza, a nawet często łączy się z wzajemnym szacunkiem

i zrozumieniem. Nasza walka nie jest wynikiem pomyłki, intrygi czy złej woli — jest wynikiem konieczności dziejowej. Zrozumienie tego powinno prowadzić do wzajemnego poznania i szacunku. Tylko narodowcy mogą zrozumieć i uszanować w pełni uczucia narodowe innych.

## Z C Z E M D O G O Ś C I

*On ne méprise pas tous ceux qui ont des vices;  
mais on méprise tous ceux qui n'ont aucune vertu.*

La Rochefoucauld.

Zaczynam od francuskiej cytaty, bo ta sprawa zaczęła się od Francji. Wszak państwo pamiętają: Koskowski napisał: jesteśmy frankofilami, Piasecki napisał: nie wolno być nam frankofilami, musimy być tylko polonofilami, Stroński napisał: nie możemy być polonofilami, tylko Polakami, co nie przeszkadza, abyśmy byli frankofilami. Piasecki napisał: musimy być polonofilami, to znaczy nie być z zasady żadnymi obcofilami, być narodem nie narodkiem.

Rzecz oczywista, Piasecki miał rację, ale ją nienajszczęśliwiej wyraził. Nie idzie o to, żebyśmy byli polonofilami, idzie o to, żeby inni byli polonofilami. W tej chwili wytłumaczę tę sprawę, która pachnie napozór zawiłą grą słów.

Po wygranej wojnie Francja starała się na wschód od Niemiec stworzyć swój system Europy środkowej. W skład tego systemu wchodziły: Polska, Czechosłowacja, Rumunja i Jugosławja. Państwa te były z Fran-

cją związane sojuszami wojskowymi i były pomyślane jako podporządkowane kierownictwu Trzeciej Republiki. Niektórzy Polacy gorszyli się, że Francja która popierała nas po wojnie we wszelkich sporach z Niemcami, przeciw nam popierała Czechosłowację i inne mniejsze państwa swego systemu. Niema tu powodu do zgorszenia: Francja działała tak w myśl swego istotnego interesu, który nakazywał jej tworzenie państw dość silnych, aby stanowiły trwałe fundament systemu europejskiego, nie dość silnych jednak na to, by się mogły wyłamać z tego systemu.

Przechodzę do rzeczy ważniejszej. Cały system francuski nic nie byłby wart, gdyby się opierał tylko na sojuszach, tylko na wspólności interesów państwowych. Sojusze zawsze można zmienić, interesy ułożyć inaczej. Dlatego w świecie wartość przedstawiają tylko te systemy, które są oparte na głębszej, trwalszej jedności, na związku narodów, nietylko państw, na wspólnej idei. Tą ideją była idea rewolucji francuskiej, zasady humanitaryzmu i liberalizmu, ustrój demokratyczno-parlamentarny.

Wszystkie nowe państwa, na których oparła się Francja, powstały w myśl tej idei i tych haseł. Wszystkie były z ducha francuskiego.

W Polsce roku 1919 wszystkie partje były liberalno-demokratyczne. Na lewicy była reformistyczna i parlamentarna P. P. S., na prawicy na sposób francuski zorganizowany, szeroki, głównie właśnie frankofilstwem, a nie innymi zasadami złączony, liberalno-demokratyczny Związek Ludowo-Narodowy. W środku było najbardziej może polskie z typu Stronictwo Lu-

dowe, ale i w tym prymitywie główną rolę polityczną grała grupa w kulcie rewolucji francuskiej wychowanej radykalnej inteligencji. Ten stan ideowy miał swój odpowiednik organizacyjny. Były nim łoże wolnomularskie, nieliczne coprawda, ale ruchliwe, z Francji czerpiące inspiracje. Na lewicy posiadały one wpływy dominujące, a i prawica nie była od nich wolna.

Tak było w Polsce. Jeszcze wyraźniej było w Czechosłowacji. Katolicy Słowacy i Rusini nie liczyli się. Partje czeskie wszystkie były liberalno-demokratyczne, wszystkie żyjące francuską kulturą polityczną i kierowane przez związaną z Francją masonerję.

W Rumunji już nietylko panowała francuska kultura polityczna, ale nawet francuski język wśród inteligencji. Osią systemu byli liberałowie, ekspozytura frankofilskiej, lub zgoła francuskiej masonerji.

W Jugosławiji, podobnie jak w Czechosłowacji, katolicy Chorwaci i Słoweńcy pozostali bez wpływu na rządy. Rządzili serbscy demokraci i radykali, janczarowie paryskiego Wielkiego Wschodu.

Gdyby francuski system Europy środkowej powstał o sto lat wcześniej, byłby trwały. Wówczas bowiem idea liberalizmu i humanitaryzmu była świeża i zdobywcza. W roku 1919 przekroczyła już swe apogeum, już zmierzała do uwiądnienia. Już wówczas idea marksizmu przeorywała krwawo Rosję, rozpaliała Węgry i Niemcy, a równocześnie już wtedy we Włoszech i w Niemczech rozdziły się ruchy narodowe, ba nawet w Polsce powracający z frontu młodzi chłopcy stawiali się zarzewiem nowoczesnego ruchu narodowego.

Słabość idei rewolucji francuskiej stała się źródłem słabości francuskiego systemu. Zamieranie siły tej idei stało się przyczyną zamierania siły wewnętrznej Francji, przyczyną zamierania siły francuskich wpływów w Europie środkowej i francuskiego systemu politycznego.

Polska z tego systemu już wyszła i tego niema sposobu zataić. Utrzymanie sojuszu wojskowego z Francją będzie zawsze pożyteczne, — powrót do systemu francuskiego jest niemożliwy.

Odbudowywanie lub podtrzymywanie owego systemu francuskiego, to właśnie jest frankofilstwo, praca dla Francji jako szerszej ideowej ojczyzny, to jest brak własnej koncepcji dziejowej, rola narodu, nie narodu.

Polityczna kultura polska nie zrodziła się z rewolucji francuskiej. Nasz typ cywilizacyjny nie leży na linii Montesquieu — Rousseau — Robespierre — Bonaparte — Jaurès — Briand.

Leżąc między rasistowsko-pogańskimi Niemcami a marksistowsko-azjatycką Rosją, czujemy swoją odrębność, ale boimy się jej nazwać i nie umiemy wyciągnąć z niej konsekwencji. A przecież my, jedni z niewielu na świecie, a jedni w Europie północnej, wschodniej i środkowej, reprezentujemy cywilizację wielkiego narodu chrześcijańskiego, cywilizację idealistyczną. Dlatego źle nam było w ustroju francuskim. Dlatego źle nam jest w obecnym eklektycznym obcym, bo żaden z nich nie jest zgodny z naszym typem cywilizacji. Naszym zadaniem jest tej cywilizacji dać wyraz ustrojowy, otrzymać siłę, jaką daje narodowi

reprezentowanie idei uniwersalistycznej i w myśl tej idei urządzić Europę środkową.

Na kim mamy tę budowę oprzeć: na katolickich Słowakach, Węgrach, Chorwatach, czy na masonskich Czechach, Rumunach, Serbach? Komu dopomagać do zwycięstwa w Litwie, Rumunji, Niemczech, wśród Ukraińców?

Zastanów się nad tem czytelniku, pomyśl i męcz się tak temi problemami, jak ja się męczę. A przez nasze wysiłki powstanie może polski plan urządzenia Europy, plan godny narodu, nie narodku.

## G E R O N T O K R A C J A

Mamy nową konstytucję. Panuje przekonanie że powinna się ona podobać wszystkim przeciwnikom t. zw. demoliberalizmu. Niestety jest ona oparta na zasadzie demoliberalnej: elita i tłum. Czemże innem były rządy sztabów partyjnych w ustroju parlamentarnym? Także elita i tłum. Idea hierarchji jeszcze w te sfery nie trafiła.

Otóż, o ile oburzenie wielkie wywołało odsunięcie ogółu od prawa wybierania Senatu, o tyle nie wywołało oburzenia pozbawienie ogromnej części wyborców prawa głosowania do Sejmu. To, o czem chcę mówić, dowodzi najlepiej, jak dalece ten projekt jest niezwiązany z rzeczywistością polską i spreczny ze strukturą społeczną Polski.

W Polsce 70 procent ludności ma poniżej 35 lat. Jesteśmy narodem młodym, z tego punktu widzenia

najmłodszym w Europie. Wyborcy dotychczasowi, czyli ludzie pełnoletni, stanowią 55,4 proc. ogółu ludności. W tem... Otóż właśnie! W tem ludzie poniżej lat 30-tu stanowią 48 procent z ułamkiem, czyli po sanacyjnej reformie prawie połowa pełnoletnich jest pozbawiona biernego prawa wyborczego. Podnosząc granicę wieku dla wybieralności o 5 lat, zmniejsza konstytucja liczbę wyborców o dwadzieścia kilka procent.

A prawo wybierania? Tego pozbawiono tylko trzech roczników najmłodszych. Stanowią one przy strukturze ludnościowej Polski 20 procent ogółu wyborców.

Jak się już łatwo domyślić, przytoczyłem te cyfry nie dlatego, żebym był wielbicielem zasady większości, lub wierzył, że nowa konstytucja będzie przestrzegana, ale dlatego, żeby zwrócić uwagę na budowę społeczeństwa polskiego pod względem wieku.

Polska jest jedynym w świecie narodem rasy białej, który posiada 20 procent ludności w wieku od 20 do 30 lat. Nawet w Rosji procent ten wynosi tylko 17.

Najwyższy po Polsce procent takich ludzi dorosłych, ale młodych, mają — Niemcy, bo 18 proc. W Niemczech jest obecnie ustrój pajdokratyczny. Z szefów hitlerowskich jedynie Hitler i Goering są starzy, tak starzy prawie, jak nasi przeciętni piłsudczycy. Reszta, to „szczeniaki”. Goebbels ledwie przekroczył trzydziestkę, a Frick (rewolucja prawna), Hess (prawa ręka *Führera*), Darre (wielka reforma rolna), Baldur von Schirach („*Hitlerjugend*”) daleko

mają jeszcze do tego wieku. Metryki ministrów niemieckich pochodzą z 1906, 1907, 1908, 1909 roku.

Zdawałoby się, że i w Polsce powinien ustrój państwowy brać pod uwagę to, że jesteśmy najmłodszym narodem, że na półtora obywatela powyżej trzydziestki przypada jeden obywatel w wieku 20 — 30 lat i dwóch niepełnoletnich. (W Anglii na jednego obywatela w wieku od 20 do 30 lat przypada trzech powyżej trzydziestki). Chyba teraz jest jasne, że musimy być narodem ekspansywnym i rzutkim. Trochę więcej pajdokracji przydałoby się w projektach nowego ustroju. Inaczej nowy ustrój będzie jeszcze bardziej nieodpowiadający życiu, niż stary.

Pajdokracja gospodarcza, to zapewnienie pracy młodemu bezrobotnemu pokoleniu. Pajdokracja ustrojowa, to oparcie życia politycznego na hierarchji, należycie uwzględniającej znaczenie młodego pokolenia. Tego wszakże nie robi sanacja.

Albowiem ideał ustroju sanacyjnego jest nawskroś gerontokratyczny (starcowładztwo). Wedle tego ideału społeczeństwo składać się powinno z „Legjonu Młodych“, który niema nic do gadania i „Legjonu Zasłużonych“, który nie ma nic do powiedzenia.

Słowem jest to coś w rodzaju odwróconego do góry nogami wersetu z „Nieboskiej Komedji“:

„Młodzi, zgłodniiali i silni ustępujcie zgrzybiałym, robaczywym, pełnym napoju i jadła“.

A w każdym razie, jedni i drudzy czytajcie niekiedy „Rocznik Statystyczny“ Jest to lektura sensacyjna i z punktu widzenia sanacyjnego zawsze wywrotowa.

## N A R Y B Y

Wymyśliłem zabawę, która się nazywa „Na ryby“ — dłaczego, to się okaże w końcu tego felietonu. Narazie stwierdzam, że się nazywa „Na ryby“ i przystępuję do opisu zabawy.

W Polsce, w samych tylko największych ośrodkach (Warszawa, Poznań, Lwów) wychodzi około trzydziestu tygodników ideowo - politycznych, wszelkich możliwych kierunków, które łączy to tylko, że są redagowane przez ludzi, czy grupy ludzi, należących do pokolenia, zwanego spowodu naszego konserwatyzmu — młodem. Właściwie należałoby je już nazywać średniem (przeciętny wiek około 30 lat), a młodość polega na tem, że ludzie tego pokolenia nie mają wpływu na bieżącą, „poważną“ politykę i zajmują się programami. Są tam (mówię oczywiście tylko o pismach legalnie wychodzących w kraju) i organy „Myśli Mocarstwowej“ i „Związku Młodych Narodowców“ i „Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego“ i „Legjonu Młodych“ i „T.U.R'u“ i zachowawcze i skrajnie lewicowe i narodowo-radykalne i ludowe.

To był wstęp konieczny do naszej zabawy Zabawa należy do kształcących, tak, jak „Podróż dokoła świata“, bo na takich tygodnikach kształci się politycznie tysiące ludzi, od uczniów szkolnych poczynając, na młodszych politykach kończąc. Otóż zabawa polega na tem: ja wyciągam ze stosu tych pism cytate dotyczącą jakiegoś poglądu programowego, a państwo muszą zgadnąć, z jakiego to pisma i jakiego kierunku. Ponieważ i tak nikt nie zgadnie, odpowiedź będzie po-

dana niżej. Jednak warunkiem uczciwej gry jest najpierw zastanowić się samemu, a dopiero potem zająć do rozwiązania.

Naprzykład:

„Żyd nigdy nie był i nie jest elementem państwowo - twórczym... Lichwa, pośrednictwo, wyzysk — oto ich działania — bazy operacyjne. W życie społeczne wnosi rozluźnienie obyczajów przez swą bezsprzeczną niższość etyczną i moralną. Handel żywym towarem, domy publiczne — oto zasadniczy rys jego ekspansji w życiu zbiorowym... 90 proc. żydostwa bierze udział w pracy destrukcyjnej, w szeregach komunistycznych, czy innych anarchistycznych żywiołach, zmusza nas to do negatywnego ustosunkowania się do niego i odrzucenia problemu asymilacji”.

Wcale nie to, coście myśleli. To jest „Państwo Pracy” organ rządowego „Legjonu Młodych”, tej jego części, która się nie zbuntowała.

A teraz:

„W Wielkopolsce, gdzie wykorzystanie sił produkcyjnych równa się 100 proc. (podczas gdy na Kresach Wschodnich możliwość produkcyjna wyraża się w cyfrze 19 proc.) uprawia się: żyto, pszenicę, ziemniaki, chmiel i tytoń (np. na zach.), buraki cukrowe. Hodowla bydła i nierogacizny dobrze postawiona, sięga mniej więcej poziomu zachodniej Europy.

Wieś wielkopolska ma swą bogatą kulturę, której widomych znakami są czytelnie, biblioteki, salki teatralne, gniazda sokole, koła młodzieży, stowarzyszenia śpiewackie i organizacje gospodarcze”.

Ani to, ani to, bo właśnie „Wielka Polska”, organ „Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego”.

Więc proszę znowu:

„Ustrój kapitalistyczny... jest ustrojem wyzysku, zapewniającym kapitalistom duże zyski niewspółmierne do pracy, włożonej przez nich... Niewola kapitalistycznego wyzysku nie

może stworzyć atmosfery wolności i odpowiedzialności w życiu zbiorowym... W przeciwieństwie do obecnego stanu rzeczy ustrój...”

Jaki? Znowu pudło. Tam napisano: „narodowo - radykalny” („Jutro” poznańskie).

Albo dalej:

„Dopóki dzięki konserwatystom z rozmaitych Żyrardowów słowo konserwatyzm będzie niesłusznie synonimem krzywdy robotniczej, a słowo radykalizm synonimem walki o sprawiedliwość społeczną i ulżenie doli robotnika, to, dla naszej pracy politycznej (która mimo nazwy pozostanie zawsze tą samą i taką samą) byłoby już chyba odpowiedniejszym słowem: radykalizm, jak konserwatyzm”.

Kto? „Problemy”, organ grupy wyszłej z wileńskiego konserwatywnego „Słowa”.

Proszę teraz:

„Młode, a umięjące już samodzielnie myśleć pokolenie nie przystosowuje się z łatwością do ustępstw ideologicznych nawet na rzecz pewnych sukcesów polityki dnia bieżącego. Wobec zakneblowania ust w państwach dyktatury czy półdyktatury, reagują buntem, a nawet, jak to miało miejsce w Leningradzie, kulą rewolwerową”.

A to czyje? Lewicowa fronda „Legjonu Młodych” — pismo „Płoń”.

Bawmy się dalej:

„Ustrój polskiej sprawiedliwości społecznej będzie ustrojem opartym o ścisłą solidarność narodową, gdzie każdy uczciwy Polak, jako twórca polskiej cywilizacji będzie miał pierwszeństwo przed żydowskim przybyszem, będzie miał prawo do zdobycia koniecznych środków do życia, nawet kosztem żydów”.

I znowu pomyłka! To jest reklamowy tygodnik (same ogłoszenia), a nazywa się „Podaj dalej”.



Proszę jeszcze raz:

„Stosunek prywatnego kapitalisty do robotnika a stosunek Zarządu przymusowego, według zdania robotników jest identycznie ten sam... Gdy istnieje czy istniał powód powstania zatargu między państwem jako pracodawcą, a pracobiorcą, to warunki pracy narzuca się „ukazami”, bez pertraktacji, bez umów. Na powstanie wspólnego i jednolitego, bez względu na zapatrywania polityczne, frontu robotników, odpowiada się groźbą zamknięcia kopalni czy przedsiębiorstwa. Tak było w Wieliczce”.

To jest „Bunt Młodych”, organ prorządowej „Myśli Mocarstwowej”.

I jeszcze chwileczka:

„Stwierdzenia powyższe niech będą przestrożą dla wielu, którzy nie zdolni są dostrzec całego ogromu szykujących się przemian społecznych, które prędzej czy później muszą dojść do głosu i naznaczyć światu nowy porządek”.

„Chcemy, aby świat ochrzcił kiedyś wiek XX i następnym mianem „epoki Wielkiej Rewolucji Polskiej”.

„W odczuciu najbardziej zasadniczych spraw, jak i w instynktach swych, młodzież jest czemś jednolitem, stanowi zwarty, granitowy blok. I można z całą stanowczością twierdzić, że gdyby nie sztuczne zabiegi, proces krystalizacji instynktów tych w świadomą myśl i organizację polityczną nastąpiłby w tempie piorunującym i zmiotłby z powierzchni gromadzące się na niej męty, wytwarzane sztucznością sytuacji, a nie potrzebą życia”.

Teraz ja zapłacę fant, bo użyłem *truc'u*. Ten pierwszy ustęp jest z legjonowej „Płoni”, ten drugi z „Jutra”, ten trzeci z poznańskiego „Głosu”, stanowiącego wyraz literacki „Sekcji Młodych Str. Narodowego”.

Ale czas wyjaśnić tajemnicę nazwy tej cudackiej gry umysłowej. Mogłem ją nazwać zrozumialej na przykład grą w „Rozbite? - Jednolite?”, ale ryby biorą swój początek z pewnej bardzo starej anegdotki

o głuchych, (kto ją zna, niech nie czyta następnego ustępu).

Dwóch głuchych spotyka się i po chwili nieudolnej rozmowy, jeden z nich mówi:

— No, żegnaj pana, bo ja idę na ryby.

— Co? Aha, żegnaj, szkoda, myślałem, że pójdziemy na ryby.

— Co? Nie mogę, bo ja idę na ryby.

Kiedy się czyta te trzydzieści tygodników i dwutygodników sanacyjno - konserwatywnych i ludowo - radykalnych socjalistyczno - konserwatywnych i sanacyjno - radykalnych, ludowo - konserwatywnych i narodowo-radykalnych, narodowo-konserwatywnych i socjalistyczno - radykalnych, sanacyjno - narodowych i narodowo - socjalistycznych, to widzi się wyraźnie, jak tam się wszyscy ze sobą rozstają, bo wszyscy — idą na ryby.

## C H L E B I W Ł A D Z A

(Pisane na wiosnę 1933 r.).

Starszy pan rozwinął wielką płachtę śląskiego dziennika i zaczął odczytywać:

„Uderzający też jest brak zainteresowania się pracą wśród warstw niższych. Starsze pokolenie w swych latach młodzieńczych główny nacisk kładło na pracę społeczną wśród robotników i chłopów i w tej pracy upatrywało pomnażanie Polski. Młodzież dzisiejsza, chcąc odegrać tę rolę, którą inteligencja w życiu zbiorowym odgrywać powinna, zdaniem naszym zbyt zapatrzona jest sama w siebie”.

Młodszy uśmiechnął się sarkastycznie:

— Typowy pogląd na pracę polityczną ludzi minionej epoki. „Trzeba pracować wśród warstw niższych“, „potrzebna jest praca nad ludem“, „z polską inteligencją polski lud“, „człowieku, i ty jesteś Polakiem, zapisz się do nas“, „robotnicy i chłopci, głosujcie na nas“, „uświadamiajmy lud“.

Wszystko to w imię hasła „pomnażania Polski“, a tymczasem, jeżeli gdzie trzeba pomnażać Polskę, to właśnie wśród inteligencji, tej najmniej polskiej warstwy naszego kraju. O ileż lepiej rozumie i odczuwa np. zagadnienie żydowskie chłop śląski od redaktorów tego pisma.

— Ale wy wogóle nie myślicie o zagadnieniach pracy wśród ludu.

— Bo dla nas to zagadnienie nie istnieje. Lud, jako coś odrębnego, nazewnątrz nas, ów „lud potęgą jest i basta“, nie istnieje dla nas także.

— I pracujecie tylko wśród inteligentów?

— Wcale nie. W Obozie Wielkiej Polski były placówki akademickie i wolnych zawodów, wiejskie i robotnicze. Było wiele grup mieszanych, wśród kierowników placówek spotkać było można ludzi wszelkich warstw. I nigdy żadnemu z nas, inteligentów, nie przychodziło do głowy, że istnieje odrębne zagadnienie pracy wśród warstw niższych. Uświadomienie ludu? Broszurki? Nie. Prostu wszyscy młodzi kładliśmy organizacyjne fundamenty pod Wielką Polskę.

— Myśmy inaczej pracowali.

— Różnica stosunku do pracy politycznej między starem a młode pokoleniem jest zupełnie zrozumiała.

Dawniej inteligent, nawet nie „paniczyk“ z pochodzenia, ale syn chłopca czy robotnika, ukończywszy studia, dostawał stanowisko i zmieniał odrazu przynależność klasową i tryb życia. Dziś zmiana warunków gospodarczych wytworzyła właściwie z całego młodego pokolenia jedną klasę — klasę bezrobotnych.

W tej samej beznadziejnej sytuacji jest doktor filozofii i kandydat na czeladnika mularskiego: obaj żyją z cudzej pomocy i bez zasadniczej zmiany warunków nie widzą przed sobą — chleba. Między czterdziestoletnim urzędnikiem a fornałem jest duża różnica stanowiska społecznego, między dwudziestoletnim studentem a fornałem tej różnicy niema.

Jesteśmy beznadziejnie bezrobotni i na politykę patrzymy z punktu widzenia urodzonego bezrobotnego. I dlatego kształtuje się, często jeszcze instynktowny, wspólny program ustrojowy młodego pokolenia, pokolenia, które przyszłość osobistą widzi nie w kształceniu się fachowem, nie w zdobywaniu wiedzy, mało pomocnej bezrobotnym, lecz w pracy politycznej, w przebudowie życia.

— Program? Jakież wy możecie mieć program? Program, to nie taka prosta rzecz.

— Nasz program jest prosty i wydawać się może okrutny, ale jest jedyny. Zrobić miejsce dla idących pokoleń wśród inteligencji, w rzemiośle i handlu przez usunięcie żydów, w przemyśle i rolnictwie kosztem kapitalistów.

— To jest bolszewizm To materjalizm socjalistyczny.

— Nie! Nie jesteśmy materjalistami. Nie chcemy bogactw, nie szukamy „największej pomyślności dla

największej liczby ludzi". Jako pokolenie, które powróciło do religii, chcemy wytworzyć w państwie warunki, któreby sprzyjały realizowaniu dążenia do ideału „Przyjdź królestwo Twoje“, ale wiemy, że do tego potrzeba nam nie bogactw, nawet nie poprawy bytu, ale „chleba naszego powszedniego“. I dlatego całe młode bezrobotne pokolenie polskie, wśród którego nieistotny jest podział warstwowy, chce tego, co się trywjalnie określa, jako — chleb i władza.

## K O M P L E K S     J U D Y M A

— Tem, co mi się najwięcej podoba w naszym młodym pokoleniu jest jego zdrowy pozytywizm.

— Pozytywizm?

— Tak, proszę pana. Bo u nas w całym życiu państwowym, społecznym, politycznym, kulturalnym panuje szkodliwy romantyzm, wniesiony przez pokolenie czterdziestolatków. Młodzi tego nie znają, są nawskroś pozytywni.

— Pan nie mówi oczywiście o pozytywizmie i romantyzmie jako o prądach literackich, tylko ujmuje pan to zagadnienie w jego szerszym znaczeniu, w tym znaczeniu, które mają te dwie nazwy w Polsce?

— Tak, naturalnie.

— I uważa pan, że obecnie w Polsce panuje romantyzm, a młodzi niosą zdrowy duch pozytywizmu?

— Tak.

— Gdzie pan widzi w życiu polskim romantyzm? Albo nawet jakąś namiastkę romantyzmu? Pokolenie

czterdziestolatków? Mój Boże, gdzież u nich romantyzm? Chyba w tem, że parę razy do roku z okazji jakichś rocznic wspominają z sentymentem własną młodość, ale któż tego nie czynił? Gdzie romantyzmu owo „mierz siły na zamiary“? W polityce zagranicznej? społecznej? narodowościowej? gospodarczej? W życiu koncesjonowanych i subsydjowanych organizacji? W reformie ustroju pod hasłem „reprezentacyj interesów lokalnych“ i „wzmocnienia władzy wykonawczej“? Przeciwnie, panie, jeżeli chwalić pokolenie dziś rządzące Polską, to właśnie chyba za ich ostrożność, konserwatyzm, realizm, pozytywizm.

— Ale kult romantyków, Słowackiego?

— Gdzie go pan widzi? To nie Słowacki, to Bobrzyński umierając mógł powiedzieć „moje za grobem zwycięstwo“.

— Ależ jest w życiu polskim przecie romantyzm!

— Jest, tylko nie tam, gdzie pan szuka. To, co pan nazywa romantyzmem, jest deklamowaniem bez przekonania przez ludzi dziś nawskroś pozytywistycznie myślących pewnych frazesów. Deklamowaniem zresztą, które zdarza się już coraz rzadziej. U nas dzieje się wszystko nawywrót. Rasowi pozytywiści właśnie ci czterdziesto, pięćdziesięcioletni przybierają pozę romantyków, a rasowi romantycy, ci dwudziesto, trzydziestolatkowie przybierają pozę pozytywistów. Pan jedno i drugie bierze za dobrą monetę.

— Więc młode pokolenie nie jest pozytywistyczne?

— Nie jest, usiłuje tylko udawać, że jest. Ja sam wierzyłem w to niegdyś. Pozytywizm to miało być

życie samorządowe: Bratnie Pomoce, koła naukowe, stopniowe, organiczne przenikanie do życia społecznego. A to było złudzenie, to był tylko pretekst do marzenia o nowem lepszym państwie, do traktowania tego życia samopomocowego, jako odskoczni do wielkich celów. Gdyby młode pokolenie było pozytywistyczne, toby weszło całe do obozu rządzącego, przebudowałyby ten obóz od wnętrza, poszłoby na pracę organiczną na prowincję. A nie zrobiło tego! Chciało walk, ofiar, poświęceń nie tylko dlatego, że to było potrzebne z jakichś względów programowych, ale dlatego, że mu to odpowiadało psychicznie. To jest pokolenie w dużej mierze — szukające awantury, że się tak trywjalnie wyrażę. Przykłady? Służę chętnie i to z bardzo sprzecznych środowisk. Był O. N. R., co im szkodziło ułożyć jakiś *modus vivendi* i istnieć? Był „Legjon Młodych”. Miał subsydja i protekcje. Co im szkodziło słuchać i prosperować? A co pcha wielu młodych do komunizmu? Teoria koncentracji, naukowe pewniki Marxa? Przeciwnie! To ma być pozytywizm? To się wszystko odbywa na podkładzie romantyzmu.

— Tu już przepraszam pana. Idzie pan za daleko, a raczej zanadto w bok. Weźmy przykład typowego romantyzmu, nowego romantyzmu. Myślę o Żeromskim. Dla mnie obrazem typowym romantyzmu polskiego jest zakończenie „Ludzi Bezdomych”. Judym leży pod rozdartą sosną, wie pan? Objawem typowym dla polskiego romantyzmu społecznego jest — kompleks Judyma. A tego pan chyba w naszym młodem pokoleniu nie znajdzie.

— Nie znajdę może takiego, co by się położył pod rozdartą sosną i z żalem myślał o sobie. Ale to już jest nie romantyzm tylko „Młoda Polska”. Natomiast znam wielu młodych ludzi, chorych na kompleks Judyma, jak pan to nazywa. Ludzi, którzy mają ciągle to przeświadczenie, że jeszcze zamało robią dla sprawy publicznej i za mało się poświęcają. Zdarzyło mi się niedawno słyszeć z ust bardzo trzeźwego młodego człowieka zdanie, że ludzie pożyteczni dla sprawy publicznej nie powinni się żenić, gdyż tracą wówczas 75 procent swej wartości politycznej. Jest wielu takich, którzy wogóle nie mają swego życia osobistego. Znam takich, którzy zmuszeni do życia normalnego „lojalnego obywatela” po kilku tygodniach zaczynają tęsknić i wściekać się, nie mogą znaleźć chwili spokoju. To są typowe objawy kompleksu Judyma. Temniemniej gdyby pan któremukolwiek z nich powiedział, że jest romantykiem, byłby zdziwiony a zapewne i zgorszony.

— Poprzewracał pan swoim dowodzeniem wszystko do góry nogami.

— Nie. Chciałem tylko wykazać, że najtrudniej jest mieć właściwy sąd o swoim własnym społeczeństwie.

## M U Z A            W            M A M R Z E

Jeżeli czytelnicy przez czas dłuższy nie widzieli feljetonów „Z duchem czasu”, to jedynie dlatego, że jak się okazało, najbardziej z duchem czasu jest siedzieć w *mamrze*.

Dlatego też przed miesiącem w asyście *hintów* przekroczyłem progi *mamra* i zostałem *położony na lewo*, jako pierwszy w świecie feljetonista podejrzany o przekroczenie art. 165-go polskiego kodeksu karnego.

---

Szary przedświt w areszcie urzędu śledczego. Po ciemnobiałej ścianie sunie zwolna ku dołowi stadko pinetek, czyli poziomek. Minęły już dwa wielkie miecze z literami O.N.R., właśnie trawersują napis „Niech żyje strajk budowlany pod hasłem K.P.P.“. Areszt jeszcze śpi. I nagle z głębi korytarza dochodzi odległy odgłos śpiewu:

„My się jeszcze przebudzili,  
Byśmy Cię, Boże, chwalili”.

W tej chwili znacznie bliżej, gdzieś w sąsiedztwie rozlega się ta sama melodia:

„Tobie śpiewa żywioł wszelki”

i miesza się z dobiegającą z oddali zwrotką:

„Już zwycięstwa dzień nadchodzi,  
Wielkiej Polski moc to my!”

Ale teraz rozróżnić można już trzeci głos, zupełnie inny, wysoki. Sopran i alt śpiewają:

„Złoty słońca blask dokoła”.

Areszt budzi się do codziennego życia. Jest już jasno i na kominie fabryki Pulsa widać wyraźnie datę — 1868.

---

Cela Nr. 26 w więzieniu karnośledczym przy ul. Daniłowiczowskiej. Cela, która wyróżnia się dwiema specjalnościami: po pierwsze od połowy czerwca zajmują ją wyłącznie byli członkowie O.N.R., zmieniając się ciągle po trochu, po drugie od połowy czerwca trwa w niej, bez względu na obsadę, nieprzerwana dyskusja: co jest więcej warte, kawalerja czy piechota, przyczem dyskutujący dzielą się zawsze na dwa obozy, zależnie od tego, w jakiej broni służą (artylerja konna popiera kawalerję, łączność — piechotę). Dyskusja zaczyna się stereotypowo:

— W przyszłej wojnie kawalerja będzie miała rolę tylko zwiadowczą.

— A guzik! Niechbym ja was zająców dostał na 800 metrów...

— Co kawalerja naprzeciwko CKM-ów...

— Taczanki...

— Na ostatnich manewrach, uważasz koleś, to z temi waszemi taczankami...

— Co tam manewry. Na wojnie zając lata w opadniętych owijaczach, a my robimy wspaniałe rajdy. Weźcie taki Korosteń...

— Co tam Korosteń. Ułani od tego, żeby robili rajdy. Ale jak myśmy zrobili pieszy rajd pod Żabinkę w 20-tym...

---

Muza poezji polskiej — chuda, zmęczona, cierpiąca na anemję, napróżno szukała po całej Warszawie środowiska, gdzieby mogła się rozgościć. I wówczas, pod wpływem natchnienia, które, jak wiadomo, za-

stępuje u muz funkcję myślenia, wpłynęła przez zakratowane okno na korytarz czwartego piętra wielkiego czerwonego gmachu przy Daniłowiczowskiej. Wionęła do najbliższych drzwi i odsunawszy klapkę u judasza, zajrzała do wnętrza. Siedziało tam kilkunastu żydków. Takich zwykłych żydków, co są subiektami i rzeźnikami i studentami i uczniami. Muza chciała właśnie przypomnieć sobie jakiś dowcip o żydkach, kiedy usłyszała, że śpiewają:

„Hiszpanja w ogniu, czerwone rosna Chiny”.

Uśmiechnęła się smutno, bo zrozumiała, że nic tu po niej. Ci dostają piosenki gotowe i tylko tłumaczą tekst. Wiedziała także, że gdyby przyszła innego dnia, w jakieś święto, naprzykład niedawno na M.D.M., usłyszałaby po prostu:

„Bój — to budiet paslednij  
I reszatielnyj boj”.

Wobec tego zasunęła klapkę judasza i tchnęła na drugi koniec korytarza. Znowu zajrzała przez judasza i zobaczyła wielką celę, a w niej trzydziestu ludzi. Jeden z nich z dość długą już, rudawą brodą spacerował wzdłuż celi i śpiewał długą, monotonna pieśń o dziewczynie, łachmanach, młodzieńcu, bogactwie, grobie, kwiatach, warkoczach...

— Niech nie zobaczę Olimpu — zawołała Muza — jeżeli on nie jest z Bródna.

Wyjrzała dalej i ujrzała młodzieńca systematycznie wciągającego się na rękach na żelazną sztabę od podnoszonego łóżka. Przed oczyma Muzy zamajaczyło widmo Olszynki, Czwartaków, Chłopicckiego i wykrzyknęła:

— Jak Apollina kocham, grochowska zastawa!

A potem zobaczyła i Mokotów i Wolę i Politechnikę i Palestę i Pelcowiznę i Otwock. I wiedzona natchnieniem, odwróciła się i ujrzawszy starszego strażnika, owionęła jego korpulentną postać. Pod wpływem Muzy, strażnik otworzył drzwi i powiedział:

— Kto z panów na ustęp?

Tego tylko było potrzeba bogince, która wpłynęła do celi. Zbliżyła się do stołu i doznała radosnego bicia serca na widok książki w rękę młodego człowieka. Książka była stara z biblioteki więziennej i młody blondyn czytał nie tekst, lecz stary formularz, którym była wyklejona okładka. Muza zajrzała mu przez ramię i wyczytała:

„Postanowlenie”

pod tem było coś o trybie administracyjnym, potem „osiedlenie w...” i miejsce na podpis. Muza owinęła się dokoła skroni czytającego i ten pod wpływem natchnienia zawołał:

— Mam piosenkę!

I rozległy się smętne tony znanej melodji:

„Nie dbam, jaka spadnie kara,  
Bereza, Bystoń, Mokotów —  
Zawsze jam na wszystko gotów...”

— Psiakrew — zakłęła Muza — inteligent, nic bezpośredniości.

I z temi słowy wionęła, nie słuchając końca piosenki — ku grupie grających w „salonowca”.

— — — — —

Skutki działania Muzy wśród mieszkańców przedmieść stolicy nie dały na siebie długo czekać. Najpierw zjawiła się na melodję „Samosjerry” piosenka:

„A czyje to imię rozlega się sława,  
Kto walczy z żydostwem, sanacją plugawą...  
To robotnik polski...”

Jednakże w dalszym ciągu tekst odzyskiwał swobodę i odbiegał od pierwowzoru, przybierając rymy charakterystyczne dla warszawskiego folkloru:

„Burżuazjo polska, coś razem z żydami  
Znęcała się długo nad robotnikami”.

Najchętniej jednak posługiwała się rymami znanymi:

„P.P.S. C.K.W. czeka na cię krata  
Boś krew robotnika sączył długie lata”.

Ciekawe refleksje literackie znaczyły tę więzienną poezję:

„Nie pomoże pieniądz mocarstwa wrażego,  
Utniemy łeb hydrze mieczami Chrobrego”.

Potem pojawiła się druga, podobnej treści pieśń na starą melodję „Długo spała Polska święta”, gdzie wpływ poezji romantycznej był dominujący:

„Myśmy młodzi zrozumieli,  
Że już dosyć ludu łez”.

Ale wówczas muza pojęła, że jej działalność jest jednostronna i w wyniku powstała literatura weselsza:

„Pod dwudziestą szóstą celą  
Siedzi paczka klawa,  
I wre tam zabawa  
Fest, a fest!”

A potem wyszła na tęskną melodję „Rozmarynu” piosenka miłosno-polityczna:

„Piękna, mała Krysią w wielkiej rozterce,  
Młody obozowiec zabrał jej serce”.

poczem następowała zwięzła opowieść dziejów miłosnych i:

„Już od dwóch miesięcy  
Dzieli ich krata  
Męska piosnka Rysia i modlitwa Krysi  
W niebo ulata:  
— Wielką Polskę, Panie daj nam zbudować  
Byśmy mogli sobie w Polsce narodowej  
Miłość ślubować — ”.

I tego była mało Muzie, która uznała, że czas na własne melodje. I oto pewnego dnia džentelmen z krzyżacką brodą i złotym zębem, oświadczył: Mam melodję.

Do melodji znalazły się słowa, noszące piętno inteligentkiej już poezji w postaci asonansów:

„Praca dla Polaków, władza dla Narodu  
Naprzód obozowcy, zwycięży ruch młodych...”

I wreszcie nasiąknięcie atmosferą muz stało się tak wielkie, że kiedyś, po apelu, w mroku celi, bez autora i bez umowy, zagnała uderzył namiętny śpiew:

„O cześć wam panowie z sanacji”...

A wieczorem siadała Muza na skraju pryczy i za jej przyczyną ciągnęły się długie opowieści o duchach na Pelcowiznie i *ad hoc* układana powieść o Arabce Sachicie, która kochała porucznika ułanów krechowickich.

— — — — —  
Teraz już wiecie, gdzie jest w Warszawie — Parnas.

## FELJETON ROMANTYCZNY

Film „Młody Las“:

Gałęzie kasztanów schodzą aż do samej wody. Z pod mostku w Łazienkach wypływa łódź. Na dziobie siedzi chłopak w ciemnym mundurze. Kaszkiet nasunął na nos i gra na harmonijce. W środku, drugi wiosłuje, z tyłu siedzi dziewczyna.

Młodość, miłość, konspiracja. Przedewszystkiem konspiracja — miłość, może gdzieś na dodatek. Ten chłopak na dziobie może myśli o bracie zesłańcu; ten w środku, jeszcze przeżywa scenę z ojcem: gniew, potem żałosne odwołanie się do sumienia synowskiego, bo ojca wyleją przez niego z posady; ta dziewczyna ciągle widzi scenę ostatniej rewizji.

Oni dopiero zaczynają.

Pokolenie ich ojców zaczęło się szarpać przed wielu laty, szarpało się piętnaście lat, a przez następne piętnaście już nie mogło. Już miało dość więzień, zesłań, rewizyj, konspiracji, walki, ofiar, wyrzeczeń. Chciało odcinać kupony od swej młodzieńczej pracy. Zaczęło pracę organiczną — „*Enrichissez vous!*“

Tylko nieliczni, najlepsi, najbardziej ideowi nie obcinali kuponów...

Potem było pokolenie ich starszych braci i młodszych wujów. Zaczęli od założenia Ligi Narodowej i Socjalnej Demokracji. Szarpali się przez piętnaście lat, a dłużej już nie mogą. Mają dość więzień, zesłań, rewizyj, konspiracji, walki, ofiar, wyrzeczeń. Chcą odcinać kupony od swej młodzieńczej pracy. Chcą

być posłami do Reichstagu, Parlamentu, Dumy. Chcą być prezesami i dyrektorami.

Tylko nieliczni, najlepsi, najbardziej ideowi, nie obcinają kuponów...

Teraz zaczynają ci, tam w łódce.

Znowu piętnaście lat szarpania się, tym razem zakończonego osiągnięciem głównego celu. Strajk szkolny, Zet, Legjony, 1920. Minęło ich piętnastolecie. Już są zmęczeni więzzeniami, zesłaniami, rewizjami, konspiracją, walką, ofiarami, wyrzeczeniami. Chcą odcinać kupony od swej młodzieńczej pracy. Mają być wojewodami i starostami, prezesami i dyrektorami, posłami i dowódcami.

Tylko nieliczni, najlepsi, najbardziej ideowi, nie obcinają kuponów...

Film „Młody Las“:

Siedzi przydług wiecu gimnazjalnego, który proklamuje strajk. Siedzą poważni, ale jakby zarazem zadowoleni z kawału, ofiarni i pewni siebie — chłopcy w czarnych bluzach.

Co się z nimi dzieje teraz?

Znam niektórych: Jeden, ponieważ nie skończył szkoły i nie miał żadnych środków, zmarnował się zupełnie. Drugi poległ w Legjonach. Trzeci sparaliżowany po bitwie pod Radzyminem. Czwarty jest małym urzędniczkim prywatnym i ze wszystkiego zrezygnował. Piąty nie skończył nic, założył sklep i ma syna, właśnie relegowanego z uniwersytetu. Szósty skończył studia w Szwajcarii i jest profesorem, zajmuje się polityką i gwałtownie zwalcza siódmego, który jest dyrektorem banku państwowego, prezesem



czterech rad nadzorczych, posłem, protektorem, dygnitarzem...

A jeden z tych chłopców na sali nakręcił o nich film i zbija pieniądze. Ten także obcina kupony...

Ci nieliczni, ci najbardziej ideowi, ci, co skakali do oczu nauczycielowi historii, co z bronią w ręku bronili ucieczki młodszych kolegów, nie obcinają kuponów. Gdzie się podzieli — niewiadomo. Nie rządzą, nie sądzą, nie radzą, nie kadzą. Oni byli tylko taką odwieczną polską ofiarą, złożoną na ołtarzu idei.

Teraz jest nowe piętnastolecie. Jest młode pokolenie. I szarpie się. Szarpie się znowu. Znowu...

Ej, chłopcy w czarnych bluzach, coście zrobili z następnym piętnastoleciem?

Gałęzie kasztanów schodzą aż do samej wody. Z pod mostku wypływa łódź. Na dziobie siedzi chłopak w ciemnym mundurze. Maciejówkę nasunął na nos i gra na harmonijce. W środku, drugi wiosłuje, z tyłu siedzi dziewczyna...

To nic, to tylko w Polsce zmieniło się jedno pokolenie.

## S T Y L T O U S T R Ó J

## S T Y L T O U S T R Ó J

Prawdę mówiąc myślałem o tych rzeczach od dość dawna ale urywkowo i chwilami tylko. Pierwsza z tego zakresu refleksja złapała mnie na cmentarzu kolegiaty kruszwickiej.

Zobaczyłem wtedy przed sobą kościół w czystym romańskim stylu, jasno- szary, kamienny i prosty. Doznałem na jego widok dziwnego uczucia: wydało mi się nieprawdopodobne, by ten budynek miał być stary. Dopiero później zrozumiałem, że wydał mi się nawskroś nowoczesny. Miał w samym założeniu nie dające się bliżej sprecyzować podobieństwo do budynków, jakie teraz stawiają młodzi architekci.

Dużo później czytałem dzieło Fustel de Coulanges'a o instytucjach starofrancuskich. Coulanges zastanawia się, omawiając okres końca wędrówek ludów, co się stało z dawnymi plemionami germańskimi i skąd się wzięły nowe — Frankowie, Sasi, Longobardowie. Dochodzi do rewelacyjnego wniosku, że nie były to żadne plemiona, lecz organizacje wojowników, pochodzących z różnych plemion, a złączonych jednym dowództwem, najczęściej kierowane przez byłych żołnierzy rzymskich, jakbyśmy dziś powiedzieli byłych kombatantów. Rozbijały one stary ustrój plemienny, a stosunek wojowników do wodza był raczej osobisty. Z tych oddziałów i z tego stosunku wyłęgł się później ustrój feodalny, tak wielostronny i tak skomplikowany.

I znów czytając te wywody historyczne z epoki

wczesnego stylu romańskiego, doznałem wrażenia dziwnej ich współczesności.

Zupełnie inna jest przecież epoka gotycka. Gotyk ma zasadniczy wyraźny plan, ale plan ten jest przyśłonięty dziesiątkiem przybudówek, powstałych nie w zasadniczym planie, ale w historycznym rozwoju budynku. Ma setki ornamentacyjnych uzupełnień, będących ustępstwem od planu na rzecz fantazji i wygody ludzkiej. Taki sam jest ustrój społeczny epoki gotyku. Z poza pozornego bezładu przywilejów i statutów wyłania się zasadniczy plan układu społecznego z dziesiątkiem odchyień i setkami drobnych ustępstw na rzecz potrzeb żywego człowieka.

A styl innej znowu epoki, styl renesans — barok — rokoko — empire — biedermeier — secesja, mówiąc krótko, jeżeli o Polskę chodzi — styl barokowy. To jest styl kapitalizmu szeroko rozumianego. Główny akcent leży tu na bogactwie — bogactwie złocień, ornamentów, przestrzeni, materiału, wykończenia wnętrza. A przytem to styl konsumentów cywilizacji, styl, który korzysta z dorobku minionych epok, nie wnosi nic naprawdę nowego. Wnętrze kościoła św. Anny w Warszawie i front „eleganckiej” kamienicy na Marszałkowskiej to jest ten sam świat. Porównajcie to choćby np. z kościołem Panny Marii na Nowem Mieście, a zobaczycie, co to jest inny świat.

A styl naszej epoki? Trudno o nim wiele powiedzieć, jest w stadium początkowym.

Przez tę początkowość właśnie przypomina nie początki renesansu, który miał za sobą styl antycznego

Rzymu, ani początki gotyku, który miał za sobą styl romański, ale początki stylu romańskiego. Goła konstrukcja, celowość, ornamenty, umieszczone jakby z zawstydzeniem, to wszystko styl rozpoczynającej się epoki, bardzo jeszcze barbarzyńskiej i trochę ślepej, ale noszącej w sobie znamiona siły.

Nie, proszę nie rozumieć tego wszystkiego w sposób zbyt oderwany i metafizyczny. To nie jest jakaś tajemnicza siła, czy transcendentalny duch czasu. Po prostu w każdej epoce jest inny ideał społeczny i inny ideał życiowy. Bolesław Chrobry nie byłby wcale zadowolony, gdyby mu kazano mieszkać w Łazienkach, nie podpisałby także konstytucji Trzeciego Maja (nawet gdyby umiał pisać).

Zwycięzca z pod Wiednia nie stawiał kamiennych warowni romańskich, tylko barokowe pałace, bo nie potrzebował kryć się za mury, a inne miał pojęcie o potędze i bogactwie ten, kto zdobył luksusowe namioty wielkiego wezyra, rozporządzał dużemi sumami gotówki i mógł sprowadzić włoskie marmury — od tego, który w kraju nawpół pokrytym lasami i bagnami wprowadzał chrześcijaństwo.

Człowiek ma naturalny pęd do szukania jakiejś harmonii w życiu. Buduje państwo w myśl tych założeń, jakimi się kieruje przy budowie gmachu. I dlatego początek naprawdę nowej epoki, to jest początek nie tylko nowej hierarchji społecznej, ale i nowego stylu. W początkach epoki hierarchja jest nieustalona jeszcze, surowa i buduje się głównie przez przymus. W początkach epoki styl jest surowy i prosty i buduje się dla potrzeb prymitywnych. Dopiero znacznie póź-

niej przychodzi bogactwo form życia społecznego i bogactwo form architektury.

Dopiero znacznie później buduje się gotyckie katedry.

## ROZMOWA O KARYKATURZE

— Żałuję bardzo że jestem tylko konsumentem sztuki, nie jej twórcą.

— Dlaczego?

— Bo mi nie wypada powiedzieć tego, co o niej myślę. Nie śmiem. Boję się, że się skompromituję, że wyjdę na kołtuna, albo bluźniercę.

— Nie przesadzaj. Dlaczego nie miałbyś wyrazić swego zdania na przykład o poezji, jeżeli poeta może pisać o twojej specjalności — historii.

— Wiesz, to racja, zacznijmy od historii. Otóż mężczyźnie jedna analogja. Oczywiście z epoki upadku Rzymu, bo to teraz najmodniejszy okres. Otóż w tej epoce pojawiła się nowa poezja. Polegała ona na tem, że autor zestawiał w cudacznym porządku długi szeregi określeń i wyrażeń, często wprost bezmyślnych. Forma była sztuczna i oryginalna, treść w gruncie rzeczy niemal żadna. Poezja ta robi wrażenie dziwne: jakby karykatura. Autor zdaje się drwić z czytelnika i z siebie, wmawiając jednocześnie w niego i w siebie, że robi coś poważnego. Czytając współczesną poezję, odnoszę z niej zupełnie to samo wrażenie: zdolny karykaturzysta pokazuje swój rysunek i mówi „Patrzcie jaki nastrojowy obraz“. A wszyscy roztkliwiają się

i mówią: „Ach jakież głębokie i wzruszające uproszczenie linji. Jak wstrząsa obraz tej wielkiej głowy przy malutkim korpusie. Ileż sentymentu w tem osłem uchu“.

— Przedewszystkiem generalizujesz w sposób niedopuszczalny.

— Oczywiście, że trochę generalizuję. Są poeci niekarykaturzyści. Choć i ci nawet niekiedy ulegają ogólnej manjerze. Za niekarykaturzystów uważam paru: Bąk, Skuza...

— Wymieniasz akurat dwóch, którzy nie mają własnej formy.

— Otóż to! Dziś poeta najpierw szuka sobie formy, a potem treści. Forma nie wynika z jego typu psychicznego, z treści przeżyć, wynika ze zgóry zajętej pozy. Podoba mi się właśnie, że oni nie mają swojej formy poetyckiej. Własna forma zamienia się w autostylizację, autokarykaturę, nawet w karykaturę karykatury. Tu świetnym przykładem może być Peiper. Jego wiersze, pisane wpoprzek strony dużemi i małemi literami, łączone wedle podobieństwa sylab, przypominają mi żywo dzieło w tym gatunku, tylko znacznie lepsze. Mianowicie widziałem, wydany na cel dobroczynny, wiersz dość długi, pisany w kółko ślimakiem ku środkowi. Wszystkie jego wyrazy zaczynały się na ilterę P. a rymy były zabawniejsze niż u Peipera.

— Z przesadną ironją oceniasz objaw zupełnie zrozumiały. Po epoce koturnowej poezji, mającej zbawić ojczyznę, przyszedł czas, w którym człowiek wstydzi się trochę być poetą i przesłania oblicze drwiną.

— Nie, to nie o to chodzi. To jest zjawisko znacznie głębsze i znacznie szersze.

— Jakto szersze?

— Sięga poza poezję, poza literaturę wogóle. Czy widziałeś wystawę rysunków Czernańskiego do książki Lepeckiego?

— Widziałem. To świetne.

— Otóż właśnie. Prawdziwie nastrojowy i pełen treści obraz potrafi dziś zrobić tylko karykaturzysta. Malarze „poważni” robią to samo co poeci. Porządek, jakieśmy mówili: własna forma, autostylizacja, auto-karykatura, karykatura karykatury. To samo jest i w innych sztukach plastycznych. No, może jeden Karny stanowi wyjątek. Niestety jestem bardzo niemuzyczny, ale o ile coś z tej dziedziny odczuwam, to i tu panuje duch karykatury.

— Zrobiłeś z karykatury jakiegoś demona, rządzącego światem.

— Posłuchaj lepiej do końca mojej myśli, a zobaczysz, że wcale nie. Powiedziałem, że ten duch karykatury jest zjawiskiem szerszym i głębszym. Szerszym, bo obejmuje całą chyba sztukę. Dlaczego teraz głębszym? Bo to nie jest reakcja na „wielką poezję”. To jest wyraz istotny epoki. Nigdy nie skacze się z jednego okresu dziejów w drugi tak znagła. Zawsze jest ferment, im większa zmiana epok, tem większy. Ferment to negacja starych form życia i wykluwanie się nowych. Negacja idzie zawsze szybciej, pozytywne myśli wolniej. Dziś jest szalenie łatwo pisać satyrę. Na wszystko: na kapitalizm, na komunizm, na demokrację, na dyktaturę, na roman-

tyzm, na pozytywizm, na kler i na bezbożników. Nowe poglądy zaczynają się tam, gdzie są zawsze na początku: w dziedzinie filozofji, nauki ścisłej i programów politycznych. Sztuka zawsze chwytła panujący nastrój epoki. Tylko bardzo wielka sztuka chwytła nastrój tego, co nadejdzie. Otóż nastrój dziś jest satyryczny, negatywny, wątpiący. Miejsce pod przyszły entuzjazm twórczy dopiero robi się w duszach.

— Odbiegliśmy sporo od twojego Rzymu od któregoś zaczął.

— Dobrze, że to przypominasz. Właśnie mam przykład. W epoce upadku Rzymu, kiedy pisano k a r y k a t u r ą nie było jeszcze wielkiej poezji chrześcijańskiej, mimo, że było chrześcijaństwo. Poezja ta powstała dopiero później. Wtedy były tylko hymny potrzebne do kultu i słaba poezja współczesna pisana przez chrześcijan narówni z poganami I dziś powoli wzbiera fala nowego narodowego uczucia. Ale zanim odbije się ona na sztuce, zanim stworzy nowy obraz przeżyć, czytamy, oglądamy i słuchamy karykatury, czasem nawet wspaniałej, ale karykatury.

## TO ZALEŻY OD DŁUGOŚCI FALI

— Nie rozumiem, czemu zgadzamy się mniej więcej na to, czy jakiś powieściopisarz jest dobry, czy nie, conajwyżej dyskutujemy, który jest lepszy, a natomiast, jeżeli chodzi o poetów, mamy zawsze najsprzeczniesze zdania? Jeżeli się zejdzie kilku ludzi inteligentnych, czytanych w poezji, to tego samego

poetę jedni będą uważać za geniusza, inni za idjotę, a każdy wysunie jako najlepszego jakiegoś innego swojego poetę. Niema poety, nawet takiego, który ogólnie uchodzi za grafomana, żeby nie znalazł jakiegoś wielbiciela wśród mądrych nawet ludzi. I naodwrot nie ma takiego poety, nawet powszechnie uchodzącego za wieszczka, żeby ktoś skądinąd mądry nie uważał go za grafomana. Czemu tak się dzieje?

— Zdaje mi się, że bardzo wiele nam wyjaśni, to na co pan na początku zwrócił uwagę: różnica między stosunkiem do prozaika i do poety. Gdyby wśród ludzi interesujących się literaturą przeprowadzić ankietę na temat: „wymień trzech najlepszych twojem zdaniem, powieściopisarzy lub nowelistów“, to znaczna część odpowiedzi niewątpliwieby się pokrywała. Gdyby natomiast taką samą ankietę przeprowadzić na temat poetów, każda odpowiedź byłaby inna i wątplię, czy wśród setek, biorących udział w ankiecie, dwóch odpowiedziałyoby jednakowo. Gdyby się tacy dwaj znaleźli, to z pewnością byłiby to ludzie bardzo do siebie podobni w najgłębszych pokładach psychicznych, gdy tymczasem dwóch ludzi, uznających jednakowe autorytety wśród prozaików, mogłoby być absolutnie różnych.

— Dlaczego?

— Inny instrument. Prozaik działa przedewszystkiem przy pomocy intelektu. Dobry prozaik jest ten, który jest przekonujący. Tu jest łatwo znaleźć wspólny mianownik dla wielu ludzi — kryterja intelektualne są mniej-więcej obiektywne. Uczucie nadaje tylko barwę prozie. Chcę wyrazić się ściślej: prozaik

operuje przedewszystkiem świadomością, poeta operuje przedewszystkiem podświadomością. Prozaik używa telefonu, poeta radja. Toteż powodzenie poety zależy od tego, jaką ma falę, ile aparatów psychicznych jest nastawionych na odbiór tej fali, na której on nadaje. Aparaty te nie są umieszczone w świadomości, lecz w podświadomości. Dlatego niemal każdy potrafi powiedzieć, czy mu się dany poeta podoba, czy nie, nikt prawie nie potrafi powiedzieć, dlaczego w gruncie rzeczy ten poeta mu szczególnie odpowiada.

— Jaby to ujął z innego końca. Dobrym wedle nas poetą jest ten, który odtwarza nasze własne stany psychiczne i oddaje nasze wrażenia. A zatem wielkim poetą będzie ten, kto odtwarza w sposób nowy stany i wrażenia właściwe wszystkim ludziom wszystkich czasów, lub też daje najlepszy wyraz stanom i wrażeniom właściwym pewnej epoce lub pewnemu narodowi.

— Niewątpliwie. Ale to, co pan mówi o wielkości poety, nie ogranicza się tylko do literatury. To można by również dobrze zastosować do wielkich ludzi wogóle.

— Tak. Bo podział na poetów i prozaików nie ogranicza się do literatury. W życiu społecznym ma on równe znaczenie. Są wielcy prozaicy polityczni. To t. zw. mężowie stanu, twórcy programów, dyplomaci, założyciele ruchów politycznych — ci wszyscy, którzy działają argumentem, którzy swoim umysłem kształtują otoczenie. Ale są i wielcy poeci polityczni. To ci, którzy najlepiej oddają nastroje mas, dają wyraz woli otoczenia, krystalizują nieuświadomione

dażenia. Na czym polega znaczenie takiego np. Hitlera? Na tem, że jest on idealnym przedstawicielem przeciętnego Niemca, jest „*Ueberdeutscher'em*”. Każdy prawdziwy Niemiec na jego miejscu takby się czuł, tak chciałby postępować. Jego ojcowski stosunek do świata, jego brutalność, jego gadatliwość — to jest właśnie idealnie typowo niemieckie.

— Tak, on ma fałę, trafiającą do wszystkich niemieckich aparatów psychicznych.

— Nie wiem tylko, który z tych typów jest wyższy społecznie — prozaik czy poeta?

— To jest problem nierozwiązalny, niepotrzebny i niepoważny. Zarówno w życiu politycznym, jak i w literaturze. Można od biedy dyskutować, kto był większy — Sienkiewicz czy Żeromski, ale dyskusja, kto był większy — Słowacki czy Sienkiewicz, byłaby nonsensem. Natomiast pańskie uwagi o prozaikach i poetach politycznych nasuwają mi inne refleksje. Mam wrażenie, że w pewnych epokach przeważa gust do poezji, w innych do prozy — i to równocześnie w literaturze i polityce. Pozytywizm był trjumfem prozy w literaturze i prozy w życiu społecznym. Obecna epoka przynosi upadek powieści, rodzi zupełnie nowy typ poezji i kult heroizmu w życiu społecznym.

— Może...

## C Z Y J U Ż M I J A ?

Były czasy w Europie, że czytywano głównie modlitewniki i żywoty świętych. Były czasy, że czytywano głównie dowcipne traktaty dworskie i ucieszne poe-

maciki. Były czasy, że czytywano głównie poezje — długie poematy klasyczne. Były czasy nawet takie, że czytywano głównie listy i pamiętniki. W tych wszystkich czasach nie dominowała w lekturze ludzi powieść. Albo jeszcze jej nie było, albo była ubocznym produktem twórczości literackiej.

Nie przeważała powieść w żadnej epoce kultury antycznej, ani w całym średniowieczu, ani za renesansu, ani za klasycyzmu. Powieść pojawiła się na dobre w wieku XVIII-tym, aby stać się głównym filarem literatury. Nie zdajemy sobie sprawy, jak wielkie miał ten fakt znaczenie.

Trzeba sobie uprzytomnić stosunek nakładów powieści w drugiej połowie XIX-go wieku do nakładów jakichkolwiek innych rodzajów literackich we wszystkich innych epokach. Ale to jeszcze nie wystarczy. Świat przedstawiony w poematach, czy dysertacjach nie wżerał się tak w wyobraźnię ludzi, jak świat powieściowy. Kultura powieści dominowała nad ostatnim stuleciem w sposób niezwykle.

Verne bardziej się przyczynił do zmiany wyglądu świata niż ktokolwiek inny. Postaci Sienkiewicza są w pojęciu Polaków bardziej historyczne niż prawdziwe historyczne osobistości. Dawną Polskę widzimy poprzez „Potop” i „Krzyżaków”, dawny Rzym poprzez „*Quo Vadis*”. Kwestje socjalne oglądamy oczyma Żeromskiego, wieś — Reymonta. Francja przed wielką rewolucją to „*Naszyjnik Królowej*”, Anglia współczesna to „*Saga Rodu Forsytów*”, Egipt to „*Faraon*”, arystokracja polska to „*Lalka*”. Przypuszczam, że każdy inteligent znacznie więcej żyje doświadcze-

nieniem zdobytem z powieści, niż przekazaniem przez środowisko.

Mówiąc o epoce, której koniec oglądamy własnymi oczyma, obok elementów: kapitalizm, demokracja, liberalizm, dodać trzeba: powieść.

Czy powieść przetrwa tę epokę, czy będzie trwalsza od twórców gospodarczych i politycznych?

Trafiłem na dwa fakty, które dają tu trochę do myślenia.

Pierwszy: Biblioteka Narodowa ogłosiła statystykę druków, wydanych u nas w roku ubiegłym. Statystyka niestety nie w liczbach egzemplarzy wydrukowanych, ale w ilości utworów. Otóż w tej statystyce beletrystyka stoi na przedostatnim miejscu (przed podręcznikami szkolnymi). Na pierwszym miejscu są „dokumenty życia społecznego”. Stosunek między temi dokumentami a beletrystyką mniej więcej jak 8:1. Że mało się wydaje poezji — to wiadomo — ale w pojęciu beletrystyki mieści się cała powieść rodzima i tłumaczona. Czy rzeczywiście mniej ostatnio wychodzi powieści? Zdaje się, że wyraźnie: tak, Czy tylko z powodu kryzysu? Zdaje się, że nie.

Drugi fakt: W ankiecie drukowanej w „Prosto z Mostu” na temat najciekawszej książki bierze udział wielka ilość najrozmaitszych ludzi. Proszę zwrócić uwagę, jaki procent wymienia utwory powieściowe. Gdyby taką ankietę rozpisnąć trzydzieści lat temu, niewątpliwie większość odpowiadających wymieniałaby powieści. Czy tylko przypadkowy brak wielkich powieściopisarzy? — Jest bądź co bądź sporo młodszych utalentowanych reportażyistów, poetów,

nawet dramaturgów — powieściopisarzy właściwie niema.

Dwie widzę przyczyny bliższe: Jedna to zanik sfery społecznej masowych konsumentów powieści wszelkiej, przedewszystkiem t. zw. lekkiej, ale od czasu do czasu (czegoż nie zdziała trening) i poważniejszej. Druga to niemożność ogarnięcia przez powieść problemów pasjonujących współczesnych. Poezja już chwilami coś z tego chwyta, powieść jeszcze nie. To też rozwija się reportaż, „*vies romancées*”, lub upowieściowana teza ideologiczna (coś znacznie mniej powieściowego niż dawna powieść tendencyjna).

Czy powieść wróci do dawnej roli w przyszłości? Myślę, że nie. Może się odrodzi, pojawi znów, ale nie sądzę, by wróciła dawna jej rola. Epoka wybujałego rozkwitu powieści, wielkiej powieści kształtującej życie, chyba już nie wróci. Inny jest styl okresu komedji i powieści, inny okresu radja i filmu.

Osobiście nawet żałuję upadku powieściopisarstwa, ale jeżeli chodzi o rozrywkę, to czytuję tylko stare powieści.

## R A D J O G R A

Już kilka dni leżę i mam grypę. To pozwala poznać życie kulturalne kamienicy, nad którym normalnie człowiek się nigdy nie zastanawia.

Rano budzi mnie pobudka z mieszkania sąsiada z pod spodu — urzędnika ubezpieczalni. Zaraz potem słyszę komendę gimnastyki. To radjo gra. Gra cały



dzień bez przerwy. Bo jeżeli urzędnika niema w domu, to też nastawia radjo, i to bardzo głośno, żeby złodzieje myśleli, że państwo w domu. Jeżeli urzędnik na krótką chwilę zamknie radjo, to wtedy gra sąsiad z lewej strony, weterynarz. Była raz taka chwila, że obaj zamilkli. Ale wtedy jeszcze grał sąsiad z góry, policjant. Jest nas dwóch ludzi naprawdę kulturalnych, bo nie mających radja: mój sąsiad jakiś asystent i ja.

Radjo: płyty gramofonowe z chórem Dana, płyty gramofonowe z fokstrotami, reklamy, płyty gramofonowe z grą na fortepianie, odczyt jakiegoś głupka, płyty gramofonowe z tangiem, słuchowisko ludowe („hu! ha! ha! dana, dana!”) dające zgoła fałszywe i komiczne wyobrazenie o wsi niewiadomo jakiej, płyty gramofonowe ze skrzypkami, pogadanka dla dzieci (biedne, nieszczęśliwe dziatki, czemuż traktują was, jak starych głuptaków z przytułków), płyty gramofonowe z walczykiem...

Muszę tego słuchać, jestem chory i czuję, jak zwolna temperatura rośnie mi kreska po kresce. Może pan Bocheński jest bardzo miły człowiek, ale ja go do siebie nie proszę. Ja nie chcę, żeby ktoś wlaził ze swoim głosem do mego pokoju, żeby mi skrzeczał po całych dniach. Ja chcę mieć prawo wyboru.

Jeden z profesorów uniwersytetu tłumaczył mi kiedyś, że radjo jest wielką klęską kulturalną ludzkości. Sądziłem, że to przesada. Dziś nie jestem pewien.

Kultura? Niegdyś, kto chciał muzyki na codzień, uczył się grać. Mógł to robić każdy. Kogo nie stać

było na fortepian, kupował harmonję, lub gitarę, kogo nie stać było na gitarę, kupował organki, a kogo i na to nie było stać, mógł skrócić fujarkę. A poza tym śpiewano. Matka śpiewała nad łóżeczkiem dziecka, nad kuchnią wyciągano nabożne pieśni, śpiewano przy pracy i przy pijaństwie.

Każdy grał i śpiewał, to co chciał, powstawała samorodna twórczość i twórcze warjanty i adaptacje. Była bądź co bądź kultura muzyczna. Potem zjawily się gramofony. To już było cofnięcie się kulturalne. W gramofonie możność wyboru jest niewielka a współtwórczość żadna. Ale gramofon na szczęście był drogi. Potem przyszło radjo. Nowy krok wstecz. Żadnego wyboru, żadnego współdziałania. A potem gramofon przez radjo — szczyt bezmyślności.

Tam, gdzie jest radjo, nie rozlega się dziś dźwięk żywego głosu, ani żywej muzyki — nastawia się tam radjo.

A kultura umysłowa?

Niegdyś znano tylko książki, pamflety, karty ulotne. Między nimi można było wybierać — kształcić się, nawet przepisywać je z własnymi uwagami. Potem wymyślono coś odpowiadającego w tej dziedzinie gramofonowi — dziennik. Dziennik prenumeruje się jeden. Jest tam i powieść i pamflet i poezje i wiadomości. Możność wyboru minimalna, współtwórczość prawie żadna. Książek czyta się coraz mniej, ludzie pióra idą w służbę maszyny rotacyjnej. To jest też cofnięcie się kultury. A teraz radjo. Nawet dziennik niepotrzebny. Zestandardyzowana kretyńska mieszanka kulturalna gotowa — tylko zakręcić

kontakt. I znów szczyt bezmyślności: dziennik przez radio — komunikaty, recenzje, feljetyony, artykuły fachowe. Narazie jeszcze kołtun nie objął sztuk plastycznych, ale poczekajcie bracia na telewizję..

Nie jestem starszym panem, wrogo nastrojonym wobec wszystkiego, co względnie nowe. Nie jestem neurastenikiem chorym na radjosynkrazję. Nie żądam zburzenia wszystkich broadcastingów. Twierdę tylko, że radio jest nie na swoim miejscu.

Kiedy słyszę, jak Moskwa na cały świat powtarza „wsiem, wsiem, wsiem“ i nadaje po hiszpańsku komunikaty dla towarzyszków z Salamanki i Grenady, to wiem, że radio jest na swoim miejscu. Kiedy przez „funk“ przemawia doktor Joseph Goebbels i z hieratycznym akcentem wymawia słowa „*National - sozialistische Idee*“, to radio jest na swoim miejscu. Kiedy Rzym, Medjolan, Neapol, Florencja, Palermo — jednocześnie zapowiadają „*mobilisazione fascista*“, to radio jest na swoim miejscu.

Radio jest narzędziem niebywale potężnym. Jego treść nie może pozostawać w zbyt rażącej dysproporcji do jego technicznych możliwości. Nadawać przez radio płyty taneczne, reklamy, bajeczki dla dzieci i feljetoniki z podróży, to coś równie groteskowego, jak deklamowanie wierszyków dla dzieci — na posiedzeniu parlamentu, lub rzucanie z samolotów w nieprzyjaciela kamieniami.

Radio — pogódźmy się z tem, pasuje tylko do państwa podporządkowanego jednej władczej idei, do państwa totalnego. Radio może grać rolę bez porównania większą, niż parlament w życiu narodu. Natu-

ralnie, radio nie może być nieustającym wiecem, ani mównicą wyłącznie polityczną. Bo też współczesne państwo nie ogranicza się do kierowania administracją. Kształtuje także kulturę — jest bowiem tylko narzędziem narodu i aż narzędziem narodu. Radio może i musi dawać muzykę i literaturę, ale w myśl wyższych, wyraźnie ukształtowanych narodowych celów, musi rozpowszechniać to, co jest przeżyciem dla narodu. Radio jest pełniejsze od parlamentu i od prasy i od teatru. Na tych, którzy niem rządzą, spoczywa szalona odpowiedzialność. Nie mogą to być ludzie wczorajsi, ani ludzie puści w środku, jak pęcherze, ani ludzie-matolki.

Radio to główne narzędzie kierowania kulturą społeczną, a nie przedsiębiorstwo do zabijania czasu.

— — — — —

Podemną, nademną i zamną odbywa się w tej chwili słuchowisko. Co ta para kretyńców tam wygaduje? Śpiewają już. Ach, żeby się popsulo coś na stacji w Raszynie, żeby nie musiał słuchać tej bezmyślnej siekaninki kulturalnej!

## GENEALOGJA GENEALOGJI

W każdym pokoleniu zdarzają się ludzie różnych temperamentów, zamiłowań, poglądów. W różnych pokoleniach powtarzają się te same rodzaje typów psychicznych, temperamentów, zamiłowań, poglą-

dów. A jednak jest zjawiskiem znanem, że pomiędzy poszczególnymi pokoleniami zachodzi czasem taka różnica, iż ludzie jednego środowiska, typu i poglądów z dwóch różnych pokoleń nie mogą się ze sobą porozumieć, chociaż pozornie łączy ich wszystko prócz wieku, a ludzie dwóch przeciwnych środowisk, warstw, poglądów i temperamentów z jednego pokolenia porozumiewają się natychmiast. Gdzie tkwi przyczyna?

Mam wrażenie, że przyczyną tą jest wyobraźnia społeczna. Wyobraźnia powstaje na fundamencie zjawisk widzianych. Wyobrażamy sobie coś zawsze w sposób podobny do rzeczy już znanych. Przetwarzamy je tylko i grupujemy inaczej. To samo jest i w sprawach społecznych. Tutaj decydujące o całym sposobie wyobrażania sobie przyszłości, to znaczy o ideale społecznym, jest to, co najbardziej opanowało wyobraźnię człowieka na początku jego myślenia społecznego. O niewyrażonym nieraz i niecałkiem świadomym ideale decydują najsilniejsze przeżycia wczesnej młodości.

Nie zrozumie młodego pokolenia polskiego, kto nie uświadomi sobie, że jego wyobraźnię kształtowały trzy wielkie obrazy dziejowe: odzyskanie niepodległości, przewrót bolszewicki i marsz czarnych koszul na Rzym. A czyż w ideale państwowym średniego pokolenia polskiego nie odbija się — Japonja z 1904-go roku?

Kiedy zaczęli myśleć społecznie ludzie urodzeni w połowie zeszłego stulecia, a do nich należy Świętochowski, był właśnie rok 1864. Tragedja narodowa

kształtowała wyobraźnię Świętochowskiego, Popławskiego, Prusa.

Wszyscy współcześni ludzie myślący odczuli ogrom tragedji narodowej, którą wywołał upadek ostatniego powstania. Ale nie wszyscy sięgnęli do samej głębi tej tragedji. Bo najbardziej tragiczne było nie to, że złamane zostały wszelkie nadzieje na odzyskanie niepodległości, że zaczął się okres przesładowań, emigracji, kurczenia się polskości, upadku kultury polskiej. Najtragiczniejsze było to, że tragedia 64-go roku, nie była tragedją całego narodu. To była tragedia szlachty, duchowieństwa, mieszczaństwa, oficyalistów wiejskich. Najliczniejsza warstwa, większość Polaków nie odczuła tego jako tragedji. Przeciwnie, większość ta właśnie w tym roku tragicznym została uwłaszczona, dostała ziemię. Upadek powstania był dla niej upadkiem panów, ale nie chłopów, łączył się z faktem radosnym, z wielką reformą rolną dobrego cesarza.

Wymieniłem wyżej nazwiska: Popławskiego, Prusa i Świętochowskiego, bo ci trzej ludzie właśnie zrozumieli głębię tragedji: żyliśmy kłamstwem — Polacy nie są jednym narodem, Polska dotychczasowa skończyła się na powstaniu. Każdy z tych trzech wyciągnął inne wnioski, ale żyli pod tem samem wrażeniem. Popławski w swoich „Dwóch kulturach” chce budować naród na chłopie, na jego kulturze, wbrew całej górze społecznej. Na tem socjalnem podłożu powstała polska idea narodowa, a to socjalne podłoże było wynikiem troski o losy całego narodu. I Prusa „Ziemia — prosty człowiek — i Bóg” wypływa

z tej samej troski i ma to samo podłoże. Ten sam narodowy punkt wyjścia mają socjalne poglądy Świętochowskiego.

Świętochowski niesłychanie ostro odczuł pierwiastek krzywdy, wyrządzonej Polsce przez tragedję 64-go roku. Więc całym frontem zwrócił się przeciwko sprawcom krzywdy — przeciwko szlachcie polskiej. Nie zapomni jej tego nigdy, gniew jego ma ton pogardy i osobistego żalu, boli go każdy ślad szlachectwa, cieszy każdy dowód jej zaniku. Do najważniejszego zadania całego życia urasta stworzenie z Polaków narodu, zniszczenie szlachecczyzny, unarodowienie chłopów i uchłópienie całego narodu. Na to zdaje się mało jednego życia, a zmiana jeszcze ciągle nie jest całkowicie dokonana, jej pożądanie zmusza do działania i wystąpień.

Narody zachodnie nie miały tego przedziału ostrego, bardziej były narodami, stąd u Świętochowskiego poczucie niższości, jakby zazdrość.

Młodość jego, to był okres rośnięcia potęgi Prus: Szlezwik-Holsztyn, Sadowa, Sedan, cesarstwo. Prusy w wyobraźni urastały do symbolu przemocy, organizacji państwowej i militarystyki. A przecież przegrały, upadły, zwyciężyła sprawiedliwość, zadeklarowana ustami amerykańskiego humanitarysty! Więc jednak dobroć zwycięża przemoc, sprawiedliwość siłę. Zjawia się cześć dla Wilsona - symbolu, wiara w wyższość dobroci w społeczeństwie nad organizacją. Bo sprawa organizacji państwowej jest dla Świętochowskiego drugorzędna. Pierwszorzędna jest sprawa stworzenia narodu z Polaków.

Zapewne, że dziś nikogo w Polsce nie porywa idea Ligi Narodów. Zapewne, że w roku 1935 nikt nie twierdzi, by Polacy byli narodem odznaczającym się dobrocią i prostodusznością. Zapewne, że niechęć do wojskowości jest najzupełniej obca ideałom współczesnego Polaka. Zapewne, że nie można mierzyć miarą dzisiejszych stosunków społeczeństwa osiemnastego wieku. A jednak...

A jednak cykl artykułów Świętochowskiego wszystkich, którzy go czytali, poruszył, wielu zapalił, wielu oburzył, spowodował nawet prywatną anatemę t. zw. „rodzin historycznych“ na nasze pismo. A jednak wszyscy go czytali i nikt po przeczytaniu nie ustosunkował się obojętnie. Musiał bronić, albo atakować to, co napisał Świętochowski.

To nie jest sprawa talentu i temperamentu. Taką siłę poruszania mają tylko ludzie, oddani pewnej idei. Wszystko, co Świętochowski pisze, służy jednej sprawie: przebudowy narodu. Sprawa zrodziła się w roku upadku powstania, w roku uwłaszczenia chłopów. Ta data stanowi o rodzaju wyobraźni, o kolorycie twórczości Świętochowskiego. Sprawa sama — przebudowy ustroju narodowego — i namiętne pożądanie sprawiedliwości w życiu społecznym powodują to, że nie można przejść obojętnie koło artykułów Świętochowskiego.

Pięknie jest umrzeć w późnej starości, jak Limanowski, otoczonym będąc powszechnym szacunkiem, w nikim nie budząc nienawiści — mieć taką pozycję moralną w dniu śmierci, że w kondukcji za srebrnymi krzyżami idą czerwone sztandary, a autorytatywny

rząd czarną krepą spowić każe latarnie na ulicach. Ale bardziej imponujące jest w późnej starości mieć odwagę wbrew całemu dotychczasowemu otoczeniu zobaczyć znaczenie kwestji żydowskiej, a w 87-ym roku życia swemi publikacjami zapalać i drażnić, oburzać i wywoływać dyskusję, atakować i być konfiskowanym.

Świętochowski, który Popławskiego nazywał „młodym człowiekiem“, który gorszył naszych pradziadków, dziś zmusza do dyskusji — nas. Zmusił i mnie do napisania tego feljetonu.

## Y A C O Y A T H O V Y E M

Pamiętam taką powieść dla młodzieży, znanego zresztą autora, w której chłopiec współczesny, przeniesiony w połowę trzynastego wieku, nie może zrozumieć ówczesnych ludzi, wydaje mu się, że mówią po czesku jakby, i dopiero z wysiłkiem uczy się ich mowy — i to w dodatku ma się dzieć w Wielkopolsce. Tymczasem...

„Com uczynił Alźbiecie to za jej początkiem, gdy mi stryja dławiała et dixit kurwymacierzy synu“,  
albo:

„Jako ja to wiem, iż Marcin Wojtkowi nie ukradł kapusty z ogroda, ani z niej użytku ma“,  
albo:

„Jako Pietrek na Jakusza na drodze kamieniem godził i kół z płota nań wziął“.

albo:

„Siostrę swą wianował i dał jej gotowych pieniędzy trzy kopy i wieprzy dwu“.

albo:

„Jako Wojtkowa parobka we młynie Staszek pobił i żyto jemu siłą mocą wziął“.

Taki to dziwny i niezrozumiały język przemawia do nas z kart starych ksiąg sądowych z czternastego i piętnastego wieku. Dwie pierwsze zapiski pochodzą z Mazowsza, trzecia z łęczyckiego, czwarta z Małopolski. Zachowałem ich brzmienie dosłowne, tylko transkrypcję dałem nowoczesną. Można by wydać niezły tomik takich zapisek polskich, wplątanych w urzędowy łaćniński tekst.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że taki polski „feodał“ postawiony przed dzisiejszym Sądem Grodzkim na prowincji, nie raziłby zupełnie. Dawałby sobie zresztą radę świetnie: wystawiłby dwunastu świadków w sprawie zaoranej miedzy i prawowałby się o obstrząśnięcie gruszek z gruszy przez parę lat. (Jest taka jedna sprawa w zakroczymskiem na początku piętnastego wieku). Na weselach bili się wtedy cprawda mieczami, a jak ktoś drugiego postrzelił, to z kuszy, ale to istotnej różnicy nie czyni.

Coprawda towarzystwo bardzo arystokratyczne, niemal sami rycerze, ale pożał się Boże, jak odlegli od współczesnych sobie np. francuskich feodałów. Kmieci przed sądami ziemskimi niewiele. Wolą własne sądownictwo ławy z sołtysem na czele. (Są i liczne księgi sądowe wiejskie, ale przeważnie późniejsze). Pozatem broń nawet noszą, jak szlachta i niedotrzymują często umów z dziedzicami. Daleko jeszcze wtedy do pańszczyzny, a powstające miasta ciągną najlepszy żywioł wiejski do siebie.

Obrazki obyczajowe niezłe. Oto przed sądem staje w jakiejś spadkowej zawilej sprawie wdowa pozwana przez krewniaczki. (Opis tym razem, niestety, po łacinie). Staje z osłoniętą twarzą, co wywołuje starannie zanotowane przez pisarza, złośliwe docinki przeciwników. Wreszcie proponuje jej synek jednej z krewniaczek, zwany z szacunkiem „młodym panem z Krzaczkowa“, by zdjęła zasłonę, bo nie są pewni, czy to rzeczywiście ona. Stara oświadcza, że raczej w ogień piekielny pójdzie, niż odsłoni twarz. Dowcipny młodzian ofiarowuje swoją pomoc w zdjęciu zasłony. Oburzenie niewiasty przechodzi wszelkie granice i wypowiada szereg krytycznych uwag o wieku i rozumie młodzieńca i jego matki i ciotki, przyczem zaznacza (tego już pisarz na łacinę nie umiał przetłumaczyć i zapisał po polsku), że „do pięt mi nie dorósł“.

Ten język jest nietylko o wiele zrozumialszy od języka siedemnastego, czy osiemnastego wieku, jest także o wiele bardziej polski i bardzo chłopski. Dialekty takie jak dziś. Na Mazowszu pisze się: „Scepan dał przez pieniendzy“, w Małopolsce odmienia się „dawał będzie“, a w Wielkopolsce mówi się „dajał“.

Tylko na Rusi Czerwonej wszystko starannie tłumaczone na łacinę. Słów polskich i ruskich bardzo mało. Tu są wielkie majątki, duże puste przestrzenie i pisarze wykształceni. Nawet pop ma odmianę łacińską „*videlicet poponem et popadium*“.

I jeszcze coś niezwykle ciekawego. Najwięcej klną na Mazowszu, najmniej w Wielkopolsce. Na Mazow-

szu poważna część spraw sądowych wynika z rozmowy. Najulubieńszy rodzaj wymysłu, to czepianie się matki, które rzadziej zdarza się w Małopolsce, a prawie nigdy w Wielkopolsce. O pewnym poziomie higieny świadczy wymysł „utrzydupek“.

Od takich słów najczęściej przychodzi do bitki. W najgorszym razie ktoś na kogoś „godzi z ostrą bronią“, albo też „mieczem go pobił“, częściej wystarczy kij, kamień, albo kołek z płota. W Małopolsce takich bójek mniej, ale zato więcej spraw o odszkodowanie — za głowę brata, lub ojca.

W Wielkopolsce i Małopolsce mówi się: niwa; na Mazowszu zwykle: płosza (czy nie stąd pochodzi słowo: wypłoszyć?). Taksamo zamiast żyto zwykle mówią zapiski mazowieckie: rza (stąd rżysko zamiast ściernisko). Niesposób zastanawiać się, co jest w tym języku współczesnego i zrozumiałego. Trzeba postawić sprawę odwrotnie: co jest innego. Prócz pewnych wyrażeń są tam dwie rzeczy ciekawe: przymiotniki własnościowe kończą się spółgłoską (wojtków, annin) i odmieniają jak rzeczowniki: wojtkowa wieprza, annina żyta), czasami zaś zdarza się, zamiast jak, słowo kak (jak w rosyjskim), a także kaki, kako.

Temniemniej, gdyby kogoś z czytelników wezwano na świadka do sądu, niewiele inaczejby zeznawał, niż ów świadek z Kujaw:

„Jakom przytem był, kiedy Jasiak za Macieja ręczył Każkowi“.

Z poza makaronicznej mowy, z poza kontuszów i czamarek wyłania się przesłonięta niemi starsza, bardziej polska, bardziej nowoczesna i bardziej rozumiała —

Polska Alzbiety, Marcina, Jakusza, Pietrka i Jaśka, Polska starych notatek sądowych, Grunwaldu, Kopernika i Wita Stwosza.

## N O C L I S T O P A D O W A

Już wiem: będą obchody oficjalne, akademje, reweje, wieńce, Kordjan, weterani i Lipiński albo Malinowski. Pochylą się lśniące cylindry, jakiś emerytowany major napisze gdzieś referat o bitwie pod Iganiami, „Warszawski Dziennik Narodowy” będzie snuł refleksje na temat narodu i masonerji, a „Kurjer Poranny” na temat Czynu żołnierskiego i Targowicy. W radjo odegrają Warszawiankę, w szkołach powszechnych odśpiewają „Tysiąc Walecznych”, a w średnich oddeklamują fragmenty z Wyspiańskiego. Będzie jeszcze coś z Sowińskim na Woli, ale nie potrafię dokładnie przewidzieć co: chyba wycieczka na Redutę. I tak co roku, coraz słabiej, coraz nudniej, coraz sztuczniej. Biedni, ubronzowieni Belwederzycy!

Rzeczywistość nocy listopadowej skryła się za barwne mundury, za patos Wyspiańskiego, za ponure odkrycia szkoły żydoznawczej, za drobne przyczynki cywilnej i wojskowej historjografji.

Ja myślę, że to było tak:

Masoni byli, owszem. Starsi panowie, mecenas, konsyljarze i radcy, profesorowie i generałowie *en retraite*. W białych starannie zawiązanych halsztukach, zażywali tabakę i dyskutowali.

— Konstytucję gwałcą mości panowie! Cesarz przysięgi nie dochowuje. Praw człowieka nie szanują. Wschodnia dzicz. Kraj musi zaprotestować!

— Pewną mamy wieść z Belwederu, że Wielki Książę ciężko zaniemógł. Widma go dręczą, pod stół włazi i zagląda, nawet szczeka, jak pies szczeka prosię ichmościów. Z rozumem i zdrowiem Konstantego coraz gorzej, a z jego śmiercią wiele się zmieni. Musimy na ten moment być przygotowani.

— Otóż to, przygotowani. A tymczasem w „Astrei” jakoweś fermenta. Wielkiemu mistrzowi trzeba pomóc. Inicjowaćby trzeba do wyższej łoży kogo z „Astrei”.

— Ale kogo? Tam albo młodzi, albo kupczyki, albo niepewni zgoła.

— Pawła do godności Rycerza Kadosz podnieść!

— O nie, ja protestuję! Jeżeli Piotr z „Przyjaciół ludzkości” niedość naszego grona godny...

— Ale w młodej generacji nasza nadzieja. Nasza młodzież dobrze sobie postępuje. Trzeba otworzyć więcej łoż adopcyjnych. Nowy niższy stopień wprowadzić.

— Czy nie zawiele? Czy bracia macie dostateczną kontrolę nad tak wielką machiną organizacyjną? To nam nad głowy wyrośnie. Nie można przecie młokosom, subalternom, studentom i aplikantom arkanów polityki powierzać.

— Nasza dzielna młodź niech manifestacją przeciw samowładztwu uorganizuje, niech temperamenta podnosi. Protest kraju musi być słyszany w całej Europie. Deptanie prawa zgoła w cywilizowanym świecie nie-

spotykane! Pamiętam tuż przed wojną w 1812-ym roku...

— Ale pierwsza sprawa Mistrza Katedry w „Świątyni Minerwy” nowego wybór przeprowadzić. Ten ma ambicją zbytnią, zgółta niebezpieczny człowiek. W plockiem województwie mówią...

Byli i Belwederczycy, owszem.

— Co robi góra, bracie poruczniku? Jakie instrukcje? Tak niesposób. Po piętach szpiegi depczą, Michała wczoraj z kwatery wzięli. Akademicy już nie chcą czekać. Insurekcja musi być przed zimą.

— Góra nie wie co robić? Wystąpmy, zacznijmy, muszą iść za nami. Trzeba ich pociągnąć. Damy sobie radę. My a nie oni jesteśmy siłą. Wpatrzeni w przedkongresowe czasy, zapomnieli, że tylko przez nas coś znaczą. Ciągłe czekają, aż wrócą czasy jawnego wolnomularstwa, aż znów szef policji będzie na konwenta przychodził. Oni o sesji sejmowej myślą. Obradują, debatuja, deliberują. Rozkazu wydać nie umiają. Planu nie mają. Co nas ich łoże, ich obrządki, ich inicjacje, ich stopnie obchodzą? Musimy zacząć!

Zaczęli na mostku pod Sobieskim.

Góra nie poszła. Zaskoczeni mistrze łoż na naiwny krzyk: „Do broni!” odpowiedzieli zamykaniem okiennic. Ulica poszła, młodszy oficerowie wyprowadzili pułki. I tu zaczyna się tragedia.

Kto ma prowadzić? Z przywódców sprzysiężenia nikt niemal nie dochodzi trzydziestki. Szczeniaki. Kto ma być wodzem? Wysocki solidny, ale za głupi. Zaliwski za młody. A zresztą, czy może być wodzem naczelnym porucznik? Starzy zawiedli. Nie brali po-

ważnie własnych słów rewolucyjnych. Subalterni, akademicy i aplikanci wzięli je poważnie. Ale kto poprowadzi rewolucję i wojnę?

Niema własnych generałów, to są inni generałowie, w których bije polskie serce, którzy widzą nastrój kraju, umieją dowodzić, wykazali wartość w czasie wojen. Czemużby nie któryś z nich — legjonowych żołnierzy? Stać! Ktoś nadjeżdża. To generał Trębicki. Najzdolniejszy generał i najmłodszy. Generale prowadź! Generale prowadź! Generale prowadź!! Nie chce. Nie chce? Odmawia. To w łeb!

Pod arkadami pałacu Staszycy leży trup człowieka, który nie chciał być wodzem insurekcji.

Nikt z „ludzi poważnych” nie chciał być wodzem. Wielu posądzało, że cały wybuch jest prowokacją Konstantego. Za powstaniem było: 70 niższych oficerów, kilkudziesięciu literatów, dziennikarzy i prawników, trzy grupy akademików, a wszystko rozbite na trzy różne konspiracje: Wysockiego, Zaliwskiego i Mochnackiego i wszystko ograniczone tylko do terenu Warszawy. Przeciw tej garści szczeniaków był Sowiński i Chłopicki, Lubecki i Czartoryski, opinia i organizacje.

Przez jedną noc listopadową grupa szczeniaków dokonała przewrotu, wygrała zamach. Przegrała władzę. Nad ranem wyszli z domów starzy wolnomularze, uznane przez Belwederczyków autorytety. Stworzyli rząd jedności narodowej, stanęli na czele, aby uspokoić, paktować i wkońcu iść wbrew własnej woli na tę drogę, którą narzucili im młodzi, tylko iść już za późno.



Tak musiała wyglądać ta noc, ciemna ale odbronzowiona, wypełniona żywymi ludźmi.

## MICHAŁ ANIOŁ I ŁOWICKIE PORTKI

W ciągu niecałych stu lat z kontuszowych szlachciców zmienili się w surdutowych inteligentów. W ciągu tego samego okresu chłopci jak byli w sukmanach, tak i pozostali. Stąd też u starej generacji inteligenckiej zrodziło się mniemanie o odrębności kulturalnej ludu, o niezmienności tej chłopskiej kultury i jej odrębnych własnych źródłach. To mniemanie przeszło do średniego pokolenia inteligencji, nawet tej, która wyszła wprost z chłopów, a od niej — na wieś. Uwierzono powszechnie w jakieś praźródła, w jakąś słowiańskość odwieczną, w przedchrześcijańskie tradycje, w najściślejszą narodową odrębność, tam, gdzie wśród ludu.

Bujda to jedna z większych. Owszem, prawda, że w kulturze chłopskiej jest bardzo wiele sił odżywczych, że stamtąd trzeba czerpać i na znanych chłopskich tradycjach budować kulturę współczesną polską. Ale nie dlatego, że to są złoza jakiejś mitycznej odrębności, tylko dlatego, że tam się lepiej przechowała kultura narodowa, cywilizacja dawnej Polski, nie zapaskudzona nalotami dziewiętnastego wieku, cywilizacja bardzo narodowa, ale i bardzo zachodnio-europejska, bardzo chrześcijańska i taka jak — za Kochanowskiego.

Nie mówię już o tem, że pojęcie duszy, tak jak je

chłop rozumie, jest to pojęcie czysto kartezjańskie, przez pijarów stojących na gruncie nauk pana Descartes, przed paru wiekami na wieś zanesione. Nie mówię o tem, że chłopskie gorsety to strój paryskich elegantek z siedemnastego wieku. Ale pomówimy o łowickich pasiakach w ogólności, a pasiastych portkach w szczególności.

Te pasiaki, to przecież dowód rzekomej chłopskiej odrębnej kultury, ten gust, to jędrne swoiste poczucie stylu i barwy etc... A tymczasem łowickie portki nie są wynikiem żadnych pokładów dawnych i tajemniczych, uspionych właściwości słowiańskich dusz, lecz kompozycją znanego skądinąd artysty i dekoratora Michaelo Angelo da Buonarotti. Ów Michał-Anioł skomponował bardzo piękne mundury dla gwardji papieskiej, mundury w barwne pasy, pięknie zestawione. Te mundury gwardji watykańskiej wprawiły w zachwyt (i słusznie) prymasów polskich. A że Łowicz z szeroką okolicą był własnością arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, przeto propagować zaczęli pasiaste portki na wzór pantalonów gwardji Jego Świątobliwości. Potem już i baby nosić zaczęły pasiaste zapaski. Michał Anioł znalazł uznanie wśród chłopów mazowieckich.

Więc wniosek pierwszy: nie należy ulegać sugestjom automatyzmu dziejowego i ostrożnie brać wszystko, co płynie rzekomo z prainstynktów i z kolektywnej duszy. Człowiek żywy ma o wiele więcej do powiedzenia w świecie, niż to sobie wyobrażamy.

Wniosek drugi: absolutna odrębność narodów jest możliwa tylko na wschodzie, tam, gdzie każdy naród stanowi zarazem cywilizację, a raczej właściwie,

gdzie niema narodów, a są tylko cywilizacje. Europa, a raczej chrześcijaństwo nie Europa, stanowi mimo wszystko pewną całość. Najbardziej stanowiło ją w średniowieczu, a najmniej w okresie „międzynarodowości“, „kosmopolityzmu“ i esperanta, bo ta epoka chciała się opierać nie na tem co było wspólne narodom chrześcijańskim, lecz na tem, co im było obce.

Wniosek trzeci. Niezmiernie śmieszne są wszelkie pomysły budowania jakiejś kultury niechrześcijańskiej w oparciu właśnie o cywilizację wsi. Przecież o żadnej religji, czy cywilizacji słowian pogańskich w Polsce my naprawdę nic nie wiemy. Prof. Brückner wykazał, że te wszystkie Światowidy i Marzanny to był czysty wymysł, że wogóle cała religja polskich słowian ograniczała się do pewnych mętnych pojęć i kultu przodków, że nie było nawet kapłanów. Polska Walhalla nie istnieje. Natomiast piętno chrześcijaństwa wygląda z każdego drobiazgu chłopskiej kultury, nie wyłączając nawet pasiastych portek.

\*

Wśród starszych ludzi panuje przekonanie, że człowiek kochający naród, narodowiec, czy ludowiec tembardziej, z urzędu niejako musi być kultywatorem stroju ludowego. Już się pogodzono z tem, że kontusz to strój wschodni, i że trochę śmieszne jest, gdy się Radziwiłłowie na wielkie narodowe uroczystości ubierają w żupany i delje. Ale strój ludowy, to wytwór ducha narodu, najpiękniejsza tradycja.

Nie ruszając narazie dalszych zagadnień, pozwolę

sobie uderzyć w jeszcze jedną „świętość“ — w strój góralski.

Cyfrowane portki z parzenicami, zarzucona na ramiona cucha — to strój pochodzący od zbójników tatrzańskich, przedtem nieużywany.

Oto przed nami stoi zbójnik: wysoka czapa z orlem piórem, na ramionach guńka, czerwone bogato wyszyte obcisłe portki, kierpce. A teraz dokonajmy w tym obrazie maleńkiego retuszu: do czapy dodajmy daszek, orle pióro zastąpmy pióropuszem, a kierpce butami z niskimi cholewami — i oto stoi przed nami żołnierz austro-węgierski z początków zeszłego wieku. Żołnierz zdezerterował, obdarł daszek, zgubił pióropusz, zdarł buty. Gdy zniszczy piękny dolman, zarzucony na ramiona, zastąpi go w ten sam sposób noszoną cuchą, gdy zedrze czerwone spodnie, każe sobie taksamo ozdobić, z węgierska wyszyć zwykłe wełniane portki, zachowa nawet rozcięcie u dołu, przeznaczone do schowania spodni w niskie obcisłe buty.

Ten strój dezertera - zbójnika przyjmie się na podtatrzu i rozszerzać zacznie na całe Podhale. A dziś? Dziś gunię i serdak wypiera inna moda — granatowa wojskowa kurtka ze stojącym kołnierzem, kurtka austro-węgierskiej przedwojennej armji.

Nie chcę przez ten przykład wcale powiedzieć, że strój ludności jest tylko małpowaniem możniejszych tego świata. Przeciwnie—umiejętność wyboru i zdolność przystosowania go i przetworzenia dowodzi dużych zdolności i dużej chłonności cywilizacyjnej chłopa. Ale to nie jest żaden szczególny wytwór ducha

narodowego. Strój ludowy, to znaczy różny strój jednej warstwy społecznej i różny strój w różnych okolicach, dowodzi zawsze jednego: nierównomiernego rozwoju poszczególnych grup w narodzie. Jeżeli człowiek miejski nosi strój, wymyślony w Anglii czy we Francji przed pół rokiem, a człowiek wiejski strój papieskiego gwardzisty sprzed czterystu lat, francuskiej damy sprzed trzystu, austriackiego żołnierza sprzed stu, czy karykaturę żupana sprzed dwustu lat (sukmana), to nie świadczy to wcale o jakichś niespożytych siłach w narodzie, tylko o jego chorobliwym rozwoju. Naród nowoczesny nie jest konglomeratem stanów czy szczepów. Musi on stanowić zwartą jedność, także i pod względem obyczaju.

Więc ideałem jest, by ostatnia moda londyńska natychmiast rozszerzała się po całej Polsce, by chłop nie zmieniał stroju co sto lat, ale co rok? Wprost przeciwnie. Ideałem jest, by strój polski był wzorem dla innych narodów. Ale nie jakiś żałosny ślad parowiekowego zastoju wsi, tylko strój nowy, noszony przez wszystkich Polaków. Oczywiście to nie jest coś, coby można uchwalić, nakazać i wprowadzić w życie. Do tego potrzebne jest, żeby Polakowi nie imponował Anglik, ani jego typ życia, ani jego fabryki. Żeby, przeciwnie, innym zaimponował Polak, jako przedstawiciel nowego porządku gospodarczego, społecznego i politycznego.

## RYCERZ, DŻENTELMEN I IDEOWIEC

Nie bierzcie nas, panowie, na sentyment dżentelmeństwa. Przestańcie pisać i mówić: takby nie postąpił dżentelmen, to jest po dżentelmeńsku, dżentelmen, mena, nowi, em, ie, m... Dajcie także spokój z wywracaniem na wszystkie boki przymiotnika: rycerski. To już nie bierze.

Co to jest *gentleman*? *Gentleman* jest to nowożytna angielska mieszczańska parafraza rycerza. Dżentelmen to jest rycerz bez zbroi i bez obowiązków istotnych rycerza. Obowiązkiem istotnym rycerza, wyróżniającym go od innych ludzi był obowiązek wojowania. Gdy wojny przestali prowadzić rycerze, a zaczęło wojsko zawodowe, rycerz zamienił się w szlachcica, czyli w synekurzystę rycerskiego. Zachował przyzwyczajenia rycerzy, zapominając skąd one pochodzą i jakie jest ich uzasadnienie. Szlachcic nie był już nieustannym wojownikiem, ale zachował manjery wojownika. Spowodowało to degenerację, której karykaturalny obraz daje staropolska anegdotka o waśni dwóch szlachciców:

— Waćpan niegodnyś mnie gdzieś pocałować!

— Co? Niegodnym? Ja tu Waści...

— A niegodnyś!

— Niegodnym? To stawaj, Waszel!

Zaczęli się rąbać. „Niegodny” zwyciężył: Przeciwnik z rozplątanym łbem przewrócił się na ziemię. Zwycięzca z dumną miną popatrzył na leżącego:

— A co, nie mówiłem Waści, żeś godny?

Stopniowo wszakże szlachta nietylko straciła mono-

pol wojowania, ale przestała być warstwą kierowniczą. Wówczas to typ rycerza uległ dalszej degeneracji. Szlachcic przemienił się w dżentelmena. Dżentelmen już nie musiał mieć herbu, jak szlachcic, zachował jednak zasadniczą cechę szlachecką — obronę honoru z bronią w ręku, przybyły mu nowe mieszczańskie atrybuty: płacenie długów honorowych w 24 godziny, honorowanie swego podpisu i pewien cenzus majątkowy. Z tem wszystkim ów angielski typ *bourgeois-gentilhomme* ogromnie imponował światu. Do dziś dnia różne bubki, żyjące na koszt społeczeństwa i nie grzeszące zbyt odważą ani w myśli, ani w czynie, głoszą chwałę typu „gentleman”, typu formalistycznego, próżnego, zdegenerowanego w drugim stopniu. Wiele także „mdłych białogłów” tęskni do typu „prawdziwego dżentelmena”, który jest grzeczny, wytworny, zamożny i skłonny do spraw honorowych.

Cofnijmy się do zasadniczego zagadnienia. Skąd się wziął rycerz, dziadek dżentelmena? Pierwotny rycerz, ten sprzed epoki państwa stanowego, był to człowiek, który dobrowolnie porzucił swój zawód, niezależność (choćby względną), swój ród i szedł pod wodzą księcia czy wodza przelewać krew. Nawet, kiedy po zwycięskich wyprawach otrzymał ziemię i niewolników, to otrzymywał ją z obowiązkiem stawienia się na każde wezwanie wodza i z warunkiem pozostawiania po sobie następcy — syna. Inaczej ziemia i niewolnicy wracali do państwa. Ten typ rycerza — dobrowolnego ofiarodawcy krwi za ogół, na tle napięcia uczuć religijnych w epoce krucjat, nabrał

nowej cechy — apostołstwa. Rycerz miał obowiązek nie tylko wojować, miał też obowiązek szerzenia chrześcijaństwa. Rycerz prawdziwy, pełny typ rycerski, musiał choć raz walczyć z rodzimymi czy zamorskimi niewiernymi. Stąd też uzasadnieniem wyższości rycerza, jedynym uzasadnieniem na przestrzeni dziejów, było połączenie trzech cech: dobrowolnej ofiary własnej krwi za społeczeństwo, podporządkowania się dobrowolnego organizacji wojennej i szerzenia wiary. Dopóki rycerze zadość czynili tym trzem warunkom, mieli jeszcze podstawy do imponowania innym. Syn i wnuk rycerza — szlachcic i dżentelmen żerowali już tylko na zasługach duchowego dziadka. Powoływanie się dziś na typ dżentelmena, na namiastkę namiastki nie budzi wesołości tylko dzięki odepnięciu społeczeństwa przez konwenans.

Zamiast namiastki rycerza, szukać trzeba w dzisiejszym społeczeństwie prawdziwych cech rycerskich — nie tych, polegających na wymianie biletów i wymianie strzałów, na „excusez” przy przebijaniu szpadą i odmierzaniu ścisłej równości sił w razie walki („w pięciu na jednego! Co za ohyda!”), ale tych, które stanowią podstawę dawnej autentycznej rycerskości, podstawę tak silną, że pozwoliła przez wieki żerować na wytworzonej przez siebie sugestji społecznej. Otóż te istotne cechy rycerstwa wymieniał już raz: dobrowolna ofiara własnej osoby, bytu i niezależności dla dobra społeczeństwa i duch apostołstwa idei.

Jesteśmy już bliscy ostatecznych wniosków. Mógłbym wprawdzie w tem miejscu przerwać, w myśl

maksymy, o czułym słuchaczu, który resztę w duszy swej dośpiewa, ale niestety, jesteśmy narodem tak mało muzykalnym, że wolę położyć kropkę na i.

Współczesnym rycerzem jest nie dżentelmen, który reguluje długi honorowe w 24 godziny i udziela satysfakcji z bronią w rękę oraz podaje damie rękę, wysiadając z tramwaju, ale ideowiec, choćby był kiepskich manjer, a nawet cham w walce. Oczywiście ideowiec całkowity, poświęcający się bez zastrzeżeń i obdarzony poczuciem swej misji nawracania innych.

## ALICJA W KRAINIE CZARÓW

W całym świecie słynna jest niedorzeczna angielska książka dla dzieci: „Alicja w krainie czarów”, dzieje snów małej dziewczynki. Książka ta nie całkiem jest dla dzieci polskich zrozumiała, mimo, że kilkakrotnie była na język polski tłumaczona. Chcąc ją uprzystępnąć polskiej dziecinie, przystosowałem ją do współczesnego życia polskiego, co jest obecnie u nas bardzo mile widziane.

## J E Z I O R O Ł E Z

...Nagle opodal Ala usłyszała plusk. Coś znów wpadło do stawu i płynęło koło niej. Była to mysz, która widać przez nieostrożność wpadła do wody.

Ala odezwała się bardzo grzecznym głosem:

— O myszko, dobra myszko, wyprowadź mnie na suchy ląd, nie umiem znaleźć drogi, zmęczona jestem ciąglem pływaniem i tak mi zimno.

Mysz nie odpowiedziała, poruszyła tylko zakrzywionym nosem.

— Ach zapomniałam, że myszy pochodzą z zagranicy, że przybyły do nas z Zachodu. Trzeba do niej przemówić po cudzoziemsku.

Ala, jak wszystkie nasze dzieci, bardzo mało znała obce języki. Powiedziała więc pierwsze zdanie, jakie jej się najczęściej obijało o uszy:

— *Heil Hitler!*

Mysz podskoczyła w wodzie, zatrzęsała się z wrażenia, a pyszczek jej poszarzał. Ala dopiero teraz zauważyła, że mysz ma ucięty ogon.

— Ach daruj mi — mówi Ala szczerze zmar-

twiona — zupełnie nie zauważyłam, jakiej jesteś narodowości. Nie będziemy już więcej o tem mówić.

— My! dobra jesteś sobie — oburzyła się myszka, drżąc cała — nigdy nie będę rozmawiać o podobnej bestji. Całe moje plemię niecierpi hitlerowców. Są to plugawe, dzikie, chamskie, okrutne, nieludzkie draby. Płynimy do brzegu — dodała. — Tam ci opowiem swoją historję, a zrozumiesz, dlaczego my nie znosimy hitlerowców.

Była to najodpowiedniejsza chwila, gdyż cała powierzchnia stawu była zatłoczona różnemi zwierzętami i ptakami, które podobnie jak i Ala powpadały do wody. Ala z myszką płynęły do brzegu, za niemi podążała cała czereda.

— Co to jest za jezioro? — zapytała Ala myszkę, gdy tylko wyszły na brzeg.

— Jest to jezioro łez. Kiedy przyszedł do nas Kryzys, wszyscy zaczęli płakać z rozpaczy i z tych łez powstał staw.

— Nie powinni byli płakać — wtrąciło się w tej chwili do rozmowy nastroszone Orlątko.

Ale natychmiast przerwała mu Papuga Lora:

— Mam większe prawo zabierać głos, aniżeli ty. Jestem starsza i moje doświadczenie jest pewniejsze. Tyś nic dotąd nie robił i nic nie robisz, więc na niczem się nie znasz.

— Właśnie dlatego, że nic dotąd nie robiłem — odparło Orlątko — więc znam się lepiej od ciebie na wszystkim. Życie dawniejsze tylko ludzi ogłupiało. A robię bardzo dużo. Zresztą nie mogę robić ilebym

chciał, bo mi wszyscy przeszkadzacie. — Wszystkie stworzenia spojrzały obrażone na Orlątko, a Orlątko dokończyło:

— Jak zostanę sam jeden na świecie, to wtedy zrobię bardzo dużo

— Uciszcie się, chcę mówić — zawołała mysz — obiecałam opowiedzieć swoją historję. Słuchajcie uważnie, proszę mi tylko nie przerywać. „Książę Lech, porzuciwszy swych braci, przybył w te strony. Dzicy ludzie, którzy tu mieszkali, nie łatwo daliby się zwyciężyć, gdyby nie pomoc, jaką dali Lechowi zdawna tutaj mieszkający dwaj wodzowie Kohen i Kagan. Oni to przyprowadzili Lechowi cały lud, który uznał go swoim wodzem, pod warunkiem, że we wszystkim słuchać będzie Kohena i Kagana. Od tej pory...”.

— Przepraszam — przerwał Kaczor — miałaś opowiedzieć swoją historję, a nie jakieś stare dzieje, których nie rozumiem.

— Miałaś powiedzieć — dodaje Ala — dlaczego nie lubisz Hitlera.

Mysz zamilkła, ale po chwili znów zaczęła mówić. Ala słucha tego, co mówi mysz i powoli całe opowiadanie zwierzątko staje przed jej oczyma w postaci mysiego ogonka:

— Nie uważasz! — zawołała nagle mysz do Ali — o czym myślisz?

— Och nie, przepraszam, cię bardzo, myślałam tylko, dlaczego myszy siedzą zawsze w cudzych domach i żyją cudzem jedzeniem.

— Jesteś zupełnie pozbawiona kultury. Jesteś

ciemną, głupią dziewczynką, nie będę z tobą mówić więcej. Nie rozmawiam z huliżankami — zawołała mysz i szybko pobiegła przed siebie.

## R A D A   G A Ś I E N I C Y

Nawprost Ali, na środku małej polanki rósł wielki grzyb. Dziewczynka okrążyła go dokoła i ze zdumieniem zauważyła że na szczycie grzyba siedzi spokojnie, wachlując się grubą pliką papierów błękitna gąsienica.

Wśród głębokiego milczenia Ala i gąsienica dość długo patrzyły na siebie. Wreszcie gąsienica przestała się wachlować i cikliwym, mdłym głosem zapytała:

— Imię, nazwisko, wiek, zawód, dowody osobiste?

Ala odpowiedziała z pewnym lękiem:

— Ja nie wiem naprawdę. Ja jestem sobą, nazywam się Ala.

— Powód przybycia? — zapytała surowym głosem gąsienica.

— Chciałabym się dowiedzieć co to za grzyb?

— Po informacje zgłaszać się z drugiej strony grzyba.

Ale posłusznie obeszła grzyb, gąsienica obróciła się w jej stronę i, spojrzawszy pogardliwie, rzekła:

— To jest grzyb subsydjarny. Jeżeli ktoś, albo coś chce urosnąć i utyć, powinien odłamać kawałek grzyba i zjeść go. Ale jeżeli zje za wiele, zaczyna gwałtownie maleć i znika całkiem, o ile w porę nie dostanie nowego kawałka grzyba.

— A co to znaczy subsydjarny? — zapytała zawsze ciekawa dziewczynka.

— Robię ci uprzejmość, że wogóle odpowiadam w porze nieurzędowej, a ty śmiesz jeszcze pytać. Proszę iść! — krzyknęła gąsienica.

— Wstrętna jesteś — zawołała Ala w największej złości — jesteś niegrzeczna i źle wychowana.

Gąsienica nie poruszyła się. Tylko jej bezzębna gęba ułożyła się w dziwny grymas i popatrzawszy zgóry na Alę zapytała:

— Czyś kupiła pożyczkę narodową?

W tej chwili Ala poczuła, jak gwałtownie poczyna maleć, więc ostatnim wysiłkiem podskoczyła, i chwyciła oburącz brzeg kapelusza grzyba. W rękach jej został spory kawał. Zaczęła go jeść bardzo szybko i poczuła, że rośnie.

— Och jak wielka jestem — zawołała uszczęśliwiona.

Ale radość niedługo trwała. Naprózno dziewczynka starała się ujrzeć swoje stopy, gdyż nawet ramion nie było widać, głowa wznosiła się na niezmiernie długiej szyi, a gdzieś zdołu wystawały potwornie długie ręce. Były zasłonięte jakąś zieloną masą. Ale ze zdumieniem spostrzegła, że są to wierzchołki drzew, pod którymi niedawno błędziła. Wdzięcznie skręciła swą giętką i długą szyję, by zanurzyć się w gęstwinę, gdy usłyszała koło uszu ostry pisk.

To dziki gołąb nadleciał i począł skrzydłami uderzać ją po twarzy.

— Komorniku — krzyknął rozpaczliwie. Komorniku!



— Nie jestem żadnym komornikiem — obraziła się Ala.

— Chroniłem mój dobytek gdzie tylko mogłem — szlochając gwałtownie gołąb — przenosiłem moje gniazdo z miejsca na miejsce, wreszcie uwiłem je tu, zdala od świata, a tymczasem komornicy z nieba spadają.

— Nie jestem komornikiem — jestem małą dziewczynką — zaprzeczyła Ala.

— Myślisz że ci uwierzę! Może powiesz, że nawet nie należysz do „Legjonu Młodych”.

— Nie, nie należę — rzekła Ala, lecz ponieważ zawsze mówiła prawdę, dodała — chociaż nauczycielka zapisała mnie do „Straży Przedniej”.

— Widzisz, więc jesteś czemś w rodzaju komornika. Idź precz! — krzyczał gołąb.

Ala zrozumiała, że musi zmaleć. Przypomniała sobie słowa gąsienicy i z radością stwierdziła, że w ręku trzyma kawałek grzyba. Wyciągnęła więc swą długą rękę i zjadła resztę grzybowej masy. Po chwili odzyskała już normalny wzrost.

## SZALONY PODWIECZOREK

Po dłuższym spacerze dróżką wśród lasu, Ala doszła wreszcie do niewielkiej polany, na której stał dosyć duży domek. Nawprost domu pod drzewem stał stół, nakryty do podwieczorku, a przy nim siedzieli zając Październikowiec i Kapelusznik. Stół był duży i nakryty na kilkanaście osób, lecz obaj biesiadnicy siedzieli przy jednym jego końcu.

— Niema miejsca, niema miejsca! — zawołali, gdy zobaczyli Alę.

— Niema miejsca? — zawołała obrażona — ależ kilkanaście osób jeszczeby się zmieściło. — Mówiąc to, usadowiła się tuż koło zająca Październikowca.

— Możebyś się napiła wina? — zapytał Kapelusznik bardzo uprzejmym tonem.

— Nie widzę tu wina — zauważyła Ala.

— Bo też go i niema — powiedział zając Październikowiec.

Kapelusznik tymczasem otworzył szeroko oczy i zapytał:

— Czem się różni kapitalizm państwowy od państwa kapitalistycznego?

— Przyszna, że nie umiem ci na to odpowiedzieć — rzekła po chwilowym namyśle dziewczynka.

— W takim razie powiedz, co myślisz o tem.

— Właśnie mówię to, przynajmniej myślę, co mówię. Czy nie to samo?

— Mogłabyś w takim razie utrzymywać — wtrącił zając Październikowiec — że „kapitał wyzyskuje pracę”, to jest to samo, co „praca wyzyskuje kapitał”.

— W takim razie równoznaczne byłyby też określenia dodał Kapelusznik, — „wolna gospodarka podstawą dobrobytu” i „dobrobyt podstawą wolnej gospodarki”.

— Lecz powiedz, jaka jest odpowiedź na twoją zagadkę — prosiła Ala.

— Na jakim byłaś uniwersytecie? — zapytał Kapelusznik.

— Na żadnym.

— W takim razie nie dostaniesz odpowiedzi—rzekł zając Październikowiec.

Ala zniechęcona westchnęła, a po chwili spytała:

— Ale co się u was właściwie dzieje?

— Pokłóciliśmy się z czasem — rzekł płaczącym głosem Kapelusznik — Zając Październikowiec kiedyś powiedział do mnie: „Ojciec Marx jest ponad czasem”, a ja powiedziałem na to: „To Ojciec Smith jest ponad czasem”. Czas to usłyszał i bardzo się obraził. Nigdy obecnie nie chce spełniać tego, o co go prosimy. Uparł się i teraz jest ciągle rok 1850-ty i ciągle godzina szósta.

Nareszcie Ala pojęła wszystko.

— To dlatego macie tyle przyborów do herbaty?

— Oczywiście, tu zawsze jest podwieczorek, nie mamy czasu nawet na mycie naczyń. Gdy zbrudzimy talerze, posuwamy się o jedno miejsce na prawo albo na lewo. Gdy posuniemy się na lewo, to zając Październikowiec ma przed sobą nową porcję, a ja mam jego wyjedzony talerz, gdy zaś posuwamy się naprawo, to ja mam nową porcję, a zając Październikowiec dostaje moje brudne nakrycie.

— Czy nie życzysz sobie więcej herbaty? — zapytał naraz Alę zając Październikowiec bardzo poważnym tonem.

— Nie poczęstowaliście mię nią dotąd — skarżyła się zdziwiona — więc nie mogę chcieć więcej.

— Rozumiem, że nie mogłabyś chcieć mniej herbaty, aniżeli nic — tłumaczył z powagą Kapelusznik — lecz chcieć więcej, to nie jest ekonomicznie niemożliwe.

— Co myślisz o nadwartości — zawołał nagle zając Październikowiec.

— Mnie pytasz? — rzekła Ala bardzo stropiona — ja nic nie myślę.

— Jeżeli tak, to nie wtrącaj się do rozmowy i milcz — pisnął zając Październikowiec.

Ala już dość wysłuchiwała impertynencyj, wstała więc z wielkim niesmakiem i odeszła.

Żaden z uczestników podwieczorku nie zwrócił uwagi na jej odejście.

— Oh! nigdybym już tu nie wróciła — rzekła do siebie — to był „szalony podwieczorek”. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

## P R O S I Ę I P I E P R Z

Błąkając się wśród lasu, Ala natrafiła wreszcie na łączkę. Pośrodku stał małeńki domek. Dziewczynka energicznym ruchem nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły. Weszła do dużej kuchni pełnej dymu. Pośrodku na trójnogiem krześle siedziała Księżna, nianąc dziecko. Kucharka stała przy kominie, zawzięcie mieszając jakiś płyn w rondlu.

— Stanowczo za dużo pieprzu w tej zupie — powiedziała do siebie Ala, kichając mocno.

Pieprzu rzeczywiście było za dużo. Od kichania nie mogła się ustrzec nawet Księżna, a cóż dopiero dziecko. Kichało ono raz po raz, w krótkich zaś przerwach przejmująco wyło.

Spokojnie zachowywały się w kuchni tylko dwa

stworzenia: Kucharka i duży kot, który siedział na przypiecku i szczyrzył zęby od ucha do ucha.

— Przepraszam cię Księżno, czybyś nie chciała mi powiedzieć, dlaczego ten kot szczyrzy zęby? — zapytała Ala nieśmiało.

— To kot Młodzieżowy — powiedziała Księżna.

— Nie wiedziałam, że kot Młodzieżowy może szczyrzyć zęby.

— Cóż ty o tem możesz sądzić — powiedziała Księżna — wszak wiesz tak mało.

Niemile dotknięta Ala postanowiła zmienić temat rozmowy.

— Cóż takiego gotujecie w tym rondlu?

— Coś, coby się i tobie przydało — odpowiedziała kucharka surowo — zupełę wychowania państwowego. To, co nazwałaś pieprzem, nie jest wcale pieprzem, tylko aktualnością.

— Czas nakarmić przyszłego obywatela! — zawołała w tej chwili Księżna.

Kucharka podeszła z rondlem do dziecka i wlewać mu zaczęła w nos gęstą polewkę pieprzową pośród ogłuszającego ryku malca.

Księżna zaczęła go kołysać, śpiewając coś w rodzaju kołysanki, a Kucharka i dziecko wtórowały jej przy ostatnich słowach:

„Surowo karzę mego chłopca  
I biję go, gdy kicha,  
Bo wielką rozkosz mu to sprawia,  
Gdy pieprzem nos zapycha;  
Chór: Au, au, au!”

— Poniańcz teraz trochę przyszłego obywatela,

oczywiście, jeżeli chcesz — powiedziała Księżna, rzucając jednocześnie dziecko w stronę Ali — mało już mam czasu, a muszę się ubrać, by pójść do Królowej na partję walki z kryzysem — i wybiegła z kuchni.

Kucharka rzuciła za nią patelnię, lecz nie trafiła. Ala chwyciła dziecko.

— Jeżeli go stąd nie zabiorę — powiedziała — na pewno je uśmierca, jeżeli nie dziś, to jutro. Gdybym je tu zostawiła, przyczyniłabym się do morderstwa.

Ostatnie słowa wypowiedziała zupełnie głośno, a małe stworzenie chrząknęło w odpowiedzi. Po wyjściu z domku przestało kichać. Ala niespokojnie spojrzała mu w twarz. Nie ulegało wątpliwości, dziecko się zmieniało. Miało dziwnie podniesiony nos, do ryjka podobny, oczki małe, za małe stanowczo na oczy człowieka. Pozatem cały wyraz fizjonomji był dziwnie niemiły. Nie ulegało wątpliwości, że było to, ni mniej ni więcej, tylko najzwyklejsze prosię. Zrozumiała, że piastowanie go było najzupełniej bezcelowe. Postawiła zatem prosiątko na ziemi, a ono pobiegło do lasu, radośnie pokwikuując.

Nagle Ala drgnęła. Niedaleko na gałęzi wysokiego drzewa siedział kot Młodzieżowy i szczyrzył zęby.

— Ale, ale! — powiedział — co się stało z dzieckiem?

— Poszło do lasu, jako mały wieprz — odpowiedziała Ala zupełnie spokojnie.

— Byłem pewien takiego końca — rzekł kot i zniknął.

## HISTORJA FAŁSZYWEGO ŻÓŁWIA

— Czy widziałeś Fałszywego Endeka? — szepnęła królowa do Ali.

— Nie — odpowiedziała Ala — nawet nie wiem, co to jest fałszywy endek.

— Ma cielecą głowę zamiast zwykłej — objaśniła Królowa.

Ala z Królową prędko doszły do Grafa, wylegującego się na słońcu i pogrążonego w głębokim śnie (wyglądał, jak zwykły gryf, tylko nie miał skrzydeł, pazurów i był łsy).

— Leniuchu wstań — dobywając resztek głosu, krzyknęła Królowa — wstań natychmiast i zaprowadź tę młodą damę do Fałszywego Endeka, niechaj jej opowie swoją historję.

Ala poszła wolno za Grafem. Wkrótce zobaczyli Fałszywego Endeka, siedzącego samotnie na małym występie skały. Był tak smutny, że Alę odrazu ogarnęło głębokie współczucie.

— Niegdyś — powiedział Fałszywy Endek z głębokim cichem westchnieniem — byłem prawdziwym Endekiem i posiadałem realność.

— Co posiadałeś? — zapytała Ala.

Ale Fałszywy Endek nie odpowiedział, tylko zaczął ciężko szlochać.

— Później — zaczął mówić już spokojniej, lecz ciągle napół szlochając — chodziłem na akademję imieninową. Uczono nas tam, że naród to państwo, a państwo to rząd, a więc, że rząd to naród.

— Mnie uczono inaczej — przerwała Ala.

— Złe cię uczono — zawołał gniewnie Fałszywy Endek — czy nie wiesz, jak powiedział poeta:

„Ja jestem miljon, bo od milionów  
Czerpię i zbieram fundusze”.

Ala umilkła zawstydzona, a Fałszywy Endek ciągnął po chwili dalej:

— Tem tylko różnię się od prawdziwego endeka, że nie jestem endekiem. Jestem antysemitą, ale działanie endeków przeciw żydom uważam za antypaństwowe i niecelowe. Nie jestem rasistą. Wiesz zapewne, jak mówi poeta:

„Ich hasse  
Die rasse  
Die kleine  
Gemeine,  
Die meine”.

Tu zaszlochał fałszywie, a potem ciągnął dalej:— Jestem nacjonalistą, ale uważam, że endecy zupełnie źle rozumieją nacjonalizm, bo chcą go pogodzić z chrześcijaństwem, a nacjonalizm, powinien być ateistyczny i zwalczać księżą międzynarodówkę. Jestem katolikiem, ale uważam, że endecy są złymi katolikami, bo są nacjonalistami, a dobry katolik musi zwalczać nacjonalizm. Jestem proletarjuszem i zwalczam endeków, bo są burżujami, ale jestem obrońcą sfer gospodarczych i uważam, że endecy mają bolszewickie pomysły. Teraz rozumiesz czem jestem: jestem prawdziwym endekiem, a endecy są fałszywymi endekami.

— Nic nie rozumiem — powiedziała Ala.

— Zapomniałem ci powiedzieć — dodał fałszywy endek — że w akademji imieninowej mieliśmy lekcję. Powtarzaliśmy zawsze, że jest coraz lekcej u nas i to nazywało się lekcją.

— Masz rację — powiedział Graf lecz daj już temu wszystkiemu pokój. Zaśpiewajmy coś lepiej.

Fałszywy Endek głęboko westchnął i zaczął śpiewać. Nie przychodziło mu to łatwo. Od czasu do czasu głęboki szloch wyrывał mu się z gardła.

„O cudna zupo, wonna od ziela,  
Rozkosz się z wazy twojej wydziela.  
Chylimy głowę przed tą skorupą,  
Zupo rządowa, o cudno zupo!  
O cu-udna zu-upo,  
O cu-udna zu-upo,  
Zu-upo rządowa,  
O cudna, cudna zupo!  
Gdy, cudna zupo, bucha woń twa,  
O jakież inne jądło któż dba?  
Odda się cały za parę groszy,  
By cię smakować, pełna rozkoszy,  
Zupo rządowa, o cudna zupo!  
O cu-udna zu-upo,  
O cu-udna zu-upo,  
Zd-upo rzą-ą-do-owa,  
O cudna, cudna, zupo!”

## S P I S R Z E C Z Y

WALKA Z CIENIEM . . . . .	5
Wywiad z Kopernikiem . . . . .	7
Czucie i szkiełko . . . . .	12
Feljeton tylko dla inteligentnych . . . . .	16
Walka z cieniem . . . . .	22
Msza myślana . . . . .	27
MORALITET . . . . .	33
Moralitet . . . . .	35
Idealizm dziejowy . . . . .	51
Opowiadanie dziadunia . . . . .	60
Zdenacjonowani . . . . .	63
„Das Leid der deutschen Geschichte” . . . . .	66
Sowietskaja nacja . . . . .	69
Europa i barbarzyńcy . . . . .	73
Niespodziewani królowie . . . . .	76
Demokracja XX-go wieku . . . . .	80
Prawdy zbyt proste, żeby je można było wytłumaczyć . . . . .	85
Półciężarówka z Niborku . . . . .	89
In memoriam — in spem . . . . .	92
UTOPJA . . . . .	95
Saga rodu Forsistów . . . . .	97
Water-cywilizacja . . . . .	100
Epoka buchalterów . . . . .	103
Bajka z komentarzem . . . . .	107
Sapiens, oeconomicus i peccans . . . . .	110
Oraison funèbre . . . . .	115
Czy współczesny człowiek ma poczucie honoru. . . . .	118
Rozmowy z prostym człowiekiem . . . . .	121
Prawo handlowe dla dzieci, z obrazkami . . . . .	128
Praca? . . . . .	133
Nowa powiastka o chłopku-Roztropku . . . . .	136
Zgłaszam projekt! . . . . .	140
Quo vadis oeconomia? . . . . .	144

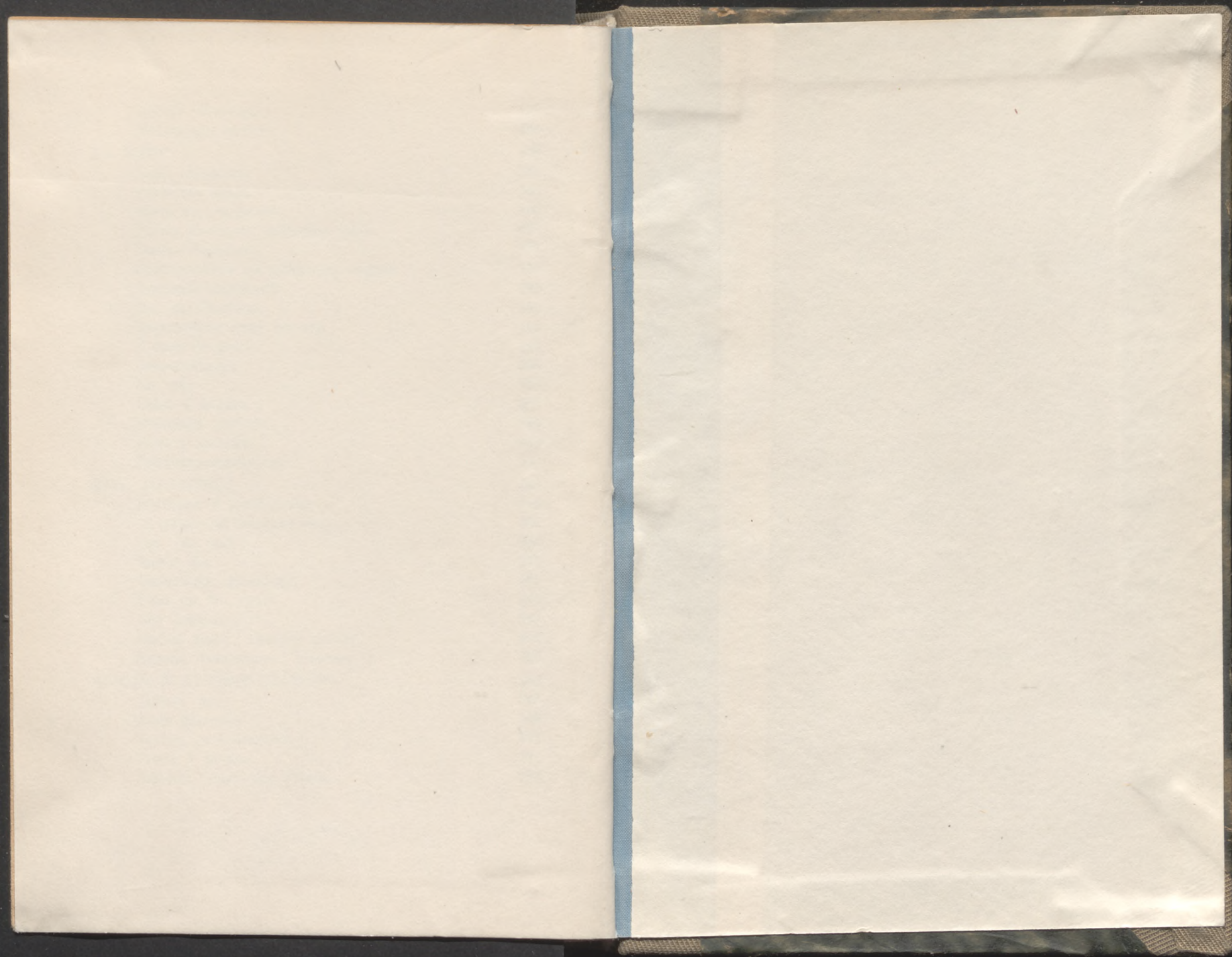
Biblioteka Główna UMK



300044883619

Rzeczy oburzające . . . . .	151
<i>Natura agit saltatim</i> . . . . .	156
NA RYBY . . . . .	159
Duch reformacji . . . . .	161
Przekłeta zgoda . . . . .	165
Niech żyje wolność! . . . . .	168
Prawo dwunastu milionów tablic . . . . .	172
Spała i Poczdam . . . . .	175
Spółceństwo na glinianych nogach . . . . .	179
Będziecie liszeńcami . . . . .	183
List do Ukrainca . . . . .	186
Bezwstydnie naga prawda . . . . .	192
Z czem do gości . . . . .	196
Gerontokracja . . . . .	200
Na ryby . . . . .	203
Chleb i władza . . . . .	207
Kompleks Judyma . . . . .	210
Muza w mamrze . . . . .	213
Feljeton romantyczny . . . . .	220
STYL TO USTRÓJ . . . . .	223
Rozmowa o karykaturze . . . . .	229
To zależy od długości fali . . . . .	231
Czy już mija? . . . . .	234
Radjo gra . . . . .	237
Genealogja genealogji . . . . .	241
Yaco ya tho vyem . . . . .	246
Noc listopadowa . . . . .	250
Michał Anioł i łowickie portki . . . . .	254
Rycerz, dżentelmen i ideowiec . . . . .	259
ALICJA W KRAINIE CZARÓW . . . . .	263
Jezioro łez . . . . .	265
Rada gąsienicy . . . . .	268
Szalony podwieczorek . . . . .	271
Prosię i pieprz . . . . .	274
Historja fałszywego żółwia . . . . .	276





Biblioteka Główna UMK



300044883619



Biblioteka Główna UMK



300044883619

